



Cajio Linda

Noce w białym atłasie



Od autora

Słowa nie są w stanie wyrazić mojej wdzięczności dla Rainy Kirkland, dzięki której wszystko stało się możliwe. Bardzo dziękuję Lindzie i Rogerowi L. za przyjęcie znajomej znajomych w swym uroczym domu. Nadal widuję Anglie w snach.

Książkę tę dedykuje Chrisowi, który wciela w życie istotę tradycji i ducha Kornwalijczyków. Lokalizacji domu Rogera Moore'a została zmieniona dla dobra osób postronnych.

PROLOG

- Co zrobiłaś?

Jill Dancforth patrzyła na matkę z niedowierzaniem.

- Sprze... sprzedawałam naszyjnik -ponownie wyznała Caroline Dancforth, wzbogacając następnie tę skróconą wersję wydarzeń obfitym płaczem. - Twój ojciec mnie zabije!

- Szmaragdy Dancforthów należały do naszej rodziny od ponad trzystu lat, a ty je sprzedawałaś -wycodziła Jill przez zaciśnięte zęby, niewzruszona szlochom matki. Caroline już w przeszłości niejednokrotnie okazywała swój kapryśny charakter, ale to wydarzenie zyskiwało palmę pierwszeństwa. -Oczywiście, że ojciec cię zabije. Ja też mam zamiar to zrobić. Gdzie się podział twój rozum, mamo?

-Kiedy ja myślałam, że będziecie wszyscy zadowoleni, że unikam okropnego skandalu - broniła się matka. – Dowiedziałam się od Rogera... chciałam powiedzieć pułkownika Fitchworth-Leedsa, że dawno temu jakiś Dancforth ukradł te szmaragdy jego rodzinie. Pokazał mi fotokopie starego listu do króla Karola II, w którym opisano to zajście i domagano się zadośćuczynienia. Był on nawet poświadczony notarialnie. Pułkownik podałyby nas do sądu, jestem tego pewna... Pomyśl o skandalu... o pozycji twojego ojca... o jego firmie prawniczej. Stalibyśmy się pośmiewiskiem. Byłam tak bardzo przekonana, że najlepiej będzie odsprzedać naszyjnik. Przecież wtedy nie mógłby nas zaskarżyć, prawda? Podpisał akt kupna. Domagałam się tego, by widać było, że uważa on ten zakup za zgodny z prawem.

Matka rozpromieniła się ma myśl o swym sprycie.

-Musiałby być durniem, by nas zaskarżyć - odparła Jill.

Jej matka oddała za psie pieniądze bezcenne klejnoty rodzinne i uczyniła z nich ponadto ładny i legalny podarunek. Fitchworth-Leeds musiał być zachwycony znalezieniem frajerki, która dała się nabrać na jego marną bajeczkę. Przez długą i trudną do wytrzymania chwilę nic nie widziała z powodu czerwonej mgiełki złości.

-Dlaczego, do cholery, nie mogłaś mu dać imitacji, którą zamówił dla ciebie tata, bo chciałaś ciągle nosić naszyjnik? Jestem pewna, że nawet pułkownik by się na nią nabrał, oczywiście, zanim by nie dał jej do wy-ceny.

-Ależ Jill, to nie byłoby uczciwe! - krzyknęła jej zaszokowana matka. Jill skierowała prosząco oczy ku niebu.

-Świetnie, moja matka jest Diogenesem. Będziesz musiała powiedzieć tacie...

-Nie! On mnie znienawidzi. Nigdy mi tego nie wybaczy.

„Faktycznie” -pomyślała Jill, ponownie zła na matkę.

Z drugiej strony nie mogła jej winić. Na jej miejscu Jill też by nie chciała mówić o tym ojcu. Patrzyła, jak Caroline bierze kolejną chusteczkę z ozdobnego porcelanowego pojemniczka stojącego na stoliku z lichtarzem i kładzie się na szezlongu. Kolejny puszek wśród całej różowo-białej puszystości sypialni - przy czym jej matka wyglądała jak Kamila, która zaraz wyda ostatnie tchnienie. Nic dziwnego, że niektórzy z przyjaciół Caroline nazywali ją „Puszkciem-Okruszkciem”. Jill może i odziedziczyła po matce ciemne włosy, szare oczy i szczupłą wysoką budowę, ale nie odziedziczyła rozumu - przynajmniej miała nadzieję, że nie.

Kiedy matka zadzwoniła i poprosiła ją, żeby przyszła omówić coś ważnego, ostatnią rzeczą, jaką Jill spodziewała się usłyszeć, była wiadomość, że szmaragdowy naszyjnik Dancforthów stracono wskutek szwindla, na który małe dziecko nie dałoby się nabrać. Cóż, nie mogła zaprzeczyć temu, że matka miała uczciwe zamiary -nierozważne, ale uczciwe.

Doszła do wniosku, że mogło być gorzej. Dobrze, że matka po namyśle zaczęła mieć złe przeczucia po tym, jak pułkownik powrócił do Anglii. Mogła równie beztrąsko powiadomić o swej pomysłowości dopiero po latach - gdy już nie byłoby jakiegokolwiek szansy odnalezienia pułkownika Fitchworth-Leedsa.

Ogarnęła ją złość na myśl o straconym naszyjniku. Wepchnęła zaciśnięte pięści do kieszeni, by w nic nie uderzyć. Cholera, to jej dziedzictwo sprzedano za bezcen. Wiadomo było od urodzenia, że ma otrzymać ten naszyjnik, mieć pieczę nad nim przez jakiś czas, a następnie przekazać go potomkom. Jeszcze nigdy przedtem nie czuła się tak bezradna.

- To wszystko wina twojego ojca! -oświadczyła nagle matka.

Jill spojrzała na nią oniemiała.

Caroline energicznie skinęła głową.

-Gdyby on nie był tak zajęty tą sprawą funduszu powierniczego, zwracałby większą uwagę na pułkownika i cała ta historia w ogóle nie miałaby miejsca.

-Mamo, nawet tata nie uwierzyłby w to. Caroline opadła na poduszki.

-Wydawało się to takie słuszne. Myślałam, że będziecie wszyscy dumni z tego, co zrobiłam, by uratować rodzinną reputację. Co teraz będzie? Musisz mi pomóc, Jill. Jesteś taka rozsądna, wpadniesz na pomysł, jak odzyskać naszyjnik. Caroline znów zaczęła płakać. -Nie mogę powiedzieć twojemu ojcu. Po prostu nie mogę. On mnie znienawidzi, on mi nigdy nie przebaczy, nigdy...

Jill przeklęła półgłosem. Jeśli matce wydawało się, że pułkownik zrobi afery, niech tylko zaczeka, aż o tym wszystkim dowiedzą się zamożne rodziny, zamieszkujące główne ulice Filadelfii. Wszyscy będą się śmiać do łez. Ojciec będzie zdruzgotany.

„Ten cholerny pułkownik Fitchworth-Leeds zniszczył moją rodzinę - pomyślała z wściekłością. Był uroczy i uprzejmy. Nawet jej się spodobał, gdy poznała go na przyjęciu u Harperów, na którym był gościem honorowym. Sądziła, że powinna zadzwonić do Harperów, choć byłoby to upokarzające. Marion Harper plotkowała sporo i często, a Jill nie miała ochoty opowiadać tej kobiecie o klęsce Dancforthów.

Kto by zresztą miał? Zaczęła się zastanawiać, jak Fitchworth-Leeds zdobył od brytyjskich wyższych sfer listy polecające, które umożliwiły mu odpowiednie przyjęcie w Stanach. Zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby złapać złodzieja.

Niestety, nie z jej wykształceniem. Posiadanie stopnia naukowego z historii średniowiecznej nie przygotowywało do takiego zadania.

Właściwie zbytnio do niczego jej nie przygotowało -oprócz nauczania. Dla Jill było to mniej więcej na równi z obcinaniem paznokci. Po szybkim zawarciu i unieważnieniu małżeństwa znalazła sobie miejsce jako ochotniczka w filadelfijskim zoo. Zajmowała się tam społecznie rezerwacją miejsc dla pracowników na wycieczki dookoła świata. Z powodu swego funduszu powierniczego nigdy nie uważała za sprawiedliwe podjęcie pracy zarobkowej

-Aż do poprzedniego miesiąca, kiedy zaproponowano jej prestiżową posadę kierownika ochotników. Obecny kierownik, Hart Redding, miał w sierpniu przejść na emeryturę.

Jednak pomimo tego, że lubiła swą pracę i kochała zwierzęta, nie umiała poradzić sobie z tą sprawą. Chyba jedynym, co mogła zrobić, było wypożyczenie Iwa Webstera i poszczucie go na pułkownika...

- Czy zastanawiasz się nad jakimś sposobem odzyskania naszyjnika? - spytała matka z nadzieją w głosie. Jill zrobiła grymas.

-Raczej nad zemstą.

-Tak, bardzo przepraszam -szepnęła matka. -Jilly, proszę, pomóż mi. Jill westchnęła. Jej matka może i nie myślała zbyt logicznie, ale miała dobre serce. Przypomniała sobie, jak Caroline wiernie ją wspierała po tym, jak jej nieszczęśliwe małżeństwo skończyło się. Jill miała wobec matki dług wdzięczności.

Tak bardzo chciała odzyskać naszyjnik i zemścić się na pułkowniku. Musiało być coś, co mogłaby zrobić...

Otworzyła szerzej oczy. Uświadomiła sobie nagle, że chociaż sama nie wie co zrobić, to zna kogoś, kto będzie wiedział.

Ta wspaniała osoba miała znajomości w Anglii, a ponadto była bardzo dyskretna.

Podeszła do stoliczka nocnego, podniosła słuchawkę i zaczęła wykręcać numer.

- Co robisz? -spytała matka.

-Dzwonię do Marshalla Dillona -odpowiedziała Jill.

-Przecież my nie znamy żadnych Dillonów!

-Ależ znamy. To inaczej zwana Lettice Kitteridge.

-...tak, mój syn Edward ma wiele znajomości wśród władz angielskich - powiedziała nieco później Lettice Kitteridge, jedna z wiodących postaci towarzystwa filadelfijskiego.

-Jestem pewna, że będzie mógł ci pomóc, Jill.

-Cudownie -szepnęła Jill.

Prawie nie przerywając, Lettice mówiła dalej.

-Żałowałam, gdy rodzina postanowiła tam pozostać po tym, jak Edward przestał być ambasadorem. Tylko Susan, jego córka, była na tyle rozsądna, że wróciła. Ciekawe dziecko z Susan. Pełne niespodzianek. Natomiast mój wnuk, Rick... hm, mój wnuk Rick. Ale dlaczego ja tego już dawno nie zauważyłam...

- Co do mojego problemu... -wtrąciła się Jill, zdecydowana nie dopuścić do całkowitej zmiany tematu. Jeszcze tylko tego jej brakowało, by wysłuchiwać monologu na temat jakiegoś wnuka.

-Tak, oczywiście. Coś mi się wydawało już wtedy na przyjęciu u Harperów, że ten cały Leeds trochę za bardzo zgrywał typowego Anglika - powiedziała Lettice. -Nie podobał mi się. No, ale trzeba przyznać, że chytrze działa -wpierw przedstawił twojej matce skandal, który trzeba było zatuszować, a potem pozostawił całej rodzinie kolejny, z którym musi zrobić to samo, by nie narazić się na pośmiewisko. Ciekawe, ilu on już nabrał w ten sposób.

-Z nami mu się udało -odparła Jill -i to mi już wystarczy.

-Edward pomoże ci odzyskać naszyjnik, Jill. Nie martw się.

Jill poczuła, że pojawił się promyk nadziei, który zmieniał jej złość z silne postanowienie. Odzyska rodzinny honor niezależnie od tego, ile to będzie ją kosztować.

ROZDZIAŁ I

-No, co się tak gapisz! Nie umarłam i nie przybyłam z zaświatów, choć mogę takie sprawiać wrażenie.

Rick Kitteridge patrzył się na swoją amerykańską babkę, której wyglądowi jak zwykle nie można było niczego zarzucić.

Jej jasnoróżowa, delikatna welniana garsonka nie była w ogóle pognieciona, a wszystkie srebrne włosy układały się tak, jak powinny. Choć sam był wysoki, nie musiał się schylać, by mogła go ucałować w policzek. Wkroczyła naste pnie do domu - do jego domu, jego Dworu Diable i fermy w sercu Anglii.

- Co... -Przewycięzył swoje zaskoczenie. - Co ty tu robisz?

-Twojego ojca nie można było zastać -odpowiedziała konkretnie Lettice. Rzuciła swą torebkę na stoliczek w przedpokoi już

-A w ogóle, to gdzie są twoi rodzice? I dlaczego jesteś cały pokryty kudłami i Cóż to za obrzydliwy zapach?

-Roztwór do kąpienia owiec -odrzekł Rick. -Właśnie strzygliśmy owce. A moi rodzice są w Moskwie...

-W Moskwie! Ależ on nie może być w Moskwie! - krzyknął jakiś głos za ich plecami.

Rick odwrócił się szybko i ujrzał na progu drugą kobietę stojącą w otwartych drzwiach, które wpuszczały świeże wiosenne powietrze.

Babka go zaskoczyła, ale przy tej kobiecie go zatkało.

Jej oczy miały barwę morza. Choć pełne zdenerwowania, widać w nich było coś, co wskazywało na zmysłowość. Była wysoka i szczupła, a jej rysy były drobne, nie idealne, ale takie, że przyciągały ponownie wzrok... i to nie raz. Miała cerę bladą, ale bez skazy. Jej ciemne włosy były ściągnięte w typowo amerykański kucyk, który sprawiał, że wyglądała na nastolatkę, choć musiała mieć ponad dwadzieścia lat. Prosta drelichowa spódnica i bluzka w kratkę ledwo ukazywały jej smukłe kształty i nagle zdał sobie sprawę z tego, że patrzy się na prawie niewidoczną koronkę wystającą zza drugiego rozpiętego guzika bluzki. Kusiła go myśl o tym, co ukrywało się pod spodem. Jedwab i atlas - niewinne i czarujące zarazem. Babka może i zjawiała się przed jego drzwiami niezapowiedziana, ale nie przyszła z gołymi rękami. Kim była ta śliczna kobieta i dlaczego tak przejmowała się tym, gdzie znajdował się ojciec?

- Oj, ale jestem głupia! - powiedziała Lettice, przerywając jego zahipnotyzowane spojrzenie. Przyłożyła palec do policzka w geście nagłego oświecenia. - Zupełnie zapomniałam, że ojciec wybierał się na ten szczyt ekonomiczny razem z twoją matką. Czy to w tym tygodniu, Rick?

- To trwa cały miesiąc, babciu, wiesz przecie....

- Cały miesiąc! - Zmysłowa Madonna wyglądała na zdruzgotaną. Zataczając się doszła do skrzyni z rzeźbionymi kasetonami i opadła na nią. - Chyba zemdleję, albo zwymiotuję.

Wszelkie marzenia Ricka rozwiały się w mig. Rozejrzał się po przedpokoju i podał jej pierwszy przedmiot, który mógł być przydatny - po uprzednim usunięciu zawartości.

- Masz.

- Chcesz, żebym zwymiotowała do stojaka na parasole? Zapytała sucho, oglądając wysoki mosiężny pojemnik z wytłoczonymi winogronami. Wzruszył ramionami, nadal trzymając w reku parasolki.

- Mnie on zawsze przyprawiał o mdłości.

- Mówiłam ci, żebyś coś zjadła w samolocie, Jill - powiedziała Lettice. - Ułóż jej nogi wyżej niż głowę, Ricku, żeby nie zemdleła.

Niewinne słowa Lettice wywołały wyjątkowo mało niewinny obraz w wyobraźni Ricka.

- Co według ciebie powinienem zrobić? - zapytał, odsuwając od siebie tę myśl. - Mam postawia ją do góry nogami?

-Litości, już i tak mi się wszystko kręci -powiedziała Jill.

Jęknęła i zamknęła oczy. - To tylko zmęczenie po locie.

Rick spoglądał na nią, urzeczony delikatnym łukiem brwi i tym, jak jej rzęsy spoczywały na kościach policzkowych.

Opierał się chęci dotknięcia jej twarzy i sprawdzenia, czy ta blada skóra była rzeczywiście gładka jak porcelana.

Przypomniał sobie, że „wszystko jej się kręci” i zaczął wyrzucać sobie własne myśli.

- Czy jesteś chora?

Otworzyła oczy i spojrzała na niego tak, jakby mu nagle wyrosły dwie głowy. Musiał przyznać, że trudno by było zadać bardziej bezmyślne pytanie. Zapewne sytuacji nie poprawiał zapach roztworu do kąpienia owięc.

- Jeszcze nie.

-Toaleta jest naprzeciwko schodów. -Wskazał na prawy koniec korytarza, zanim zdał sobie sprawę z faktu, że nadal trzyma parasolki. Usta-
wił je przy ścianie, czując się przy tym jak dureń.

-Dzięki -powiedziała Jill. -Nie będę musiała zupełnie się kompromitowa-
wać. Musiałam być nienormalna, żeby przyjeżdżać tutaj z tobą bez ja-
kiegokolwiek przygotowania, Lettice.

I co teraz?

-Nie wszystko stracone -odparła Lettice ze zwykłym dla niej niezmor-
dowanym zdecydowaniem. -Rick, to jest Jill Dancforth. Nie sadzę, abys
kiedykolwiek miał okazję ją poznać w trakcie którejś z twych rzadkich
wizyt w Stanach. Nawet nie przyjechałeś na ślub własnej siostry, czego
ci jeszcze nie wybaczyłam. Przywitaj się z Rickiem, Jill.

-Cześć! -powiedziała Jill niskim, zmysłowym głosem. Na ten dźwięk
Rickiem wstrząsnął dreszcz i nagle pożałował, że nie przebrał się w coś
bardziej eleganckiego niż wytarte spodnie sztruksowe i twedowa mary-
narka, które miał na sobie. Żałował też, że częściej nie jeździł do Sta-
nów, skoro zamieszkiwały tam kobiety takie, jak Jill.

Zdając sobie sprawę, że dał się całkowicie zbić z tropu, wymamrotał.

-Bardzo mi miło. -A następnie znów zajął się Lettice. -Babciu, co ty tu
robisz?

Lettice zwróciła się do niego ze srogim spojrzeniem, zwanym w rodzi-
nie „miną królewską”.

-Przyjechaliśmy do Anglii. A ty co myślisz? Jill jest wykończona,

te siedem godzin w samolocie to całkiem wystarczające, by mnie postarzyć o dziesięć lat, na co na pewno nie mogę sobie pozwolić, nie mówiąc już o dojeździe tutaj...

-Chyba dziesięć razy okrążyliśmy każde rondo między Londynem, a tym domem -wtrąciła Jill. -A wszystko dlatego, że twoja babcia nie mogła się zdecydować, którą drogę wybrać. -Zasłoniła sobie oczy i wzdrygnęła się.

- Ty prowadziłaś? -zawołał Rick.

-No, na pewno nie robiła tego królowa angielska mruknęła Jill.

Trzygodzinna podróż. samochodem w kierunku północno-wschodnim oddalała jego dom na wzgórzach Cotswold w hrabstwie Gloucester od lotniska Heathrow. Był położony praktycznie w połowie drogi do Wilii. Ponadto w związku z ruchem lewostronnym wszystko na pewno wyglądało odwrotnie. To, że się nie zabiły, zakrawało na cud.

-Musicie być chore umysłowo.

Uśmiechnęła się gorzko, dając mu przez chwile wyobrażenie o ukrytej energii.

-Widzę, że już przedtem jeździłeś ze swoją babcią.

-Ależ, Jill -powiedziała Lettice. -Chciałam po prostu być pewna, że jesteś na dobrej drodze. Nie martw się. Przenocujemy u Ricka.

-Przenocujecie tutaj? -Rick gapił się na nią. Nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatnio kogoś u siebie przyjmował poza rodzicami. Nie wiedział nawet, w jakim stanie były pozostałe pokoje. Tysiące przerażonych myśli kłębiło się w jego głowie. Dotyczyły przede wszystkim tego, że Jill Dancforth będzie w pobliżu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie był pewien, czy to dla niego piekło, czy raj.

-Bądź porządnym gospodarzem, Ricku -poleciała jego babka.

-Przynies torby z samochodu, a ja w tym czasie zaprowadzę Jill do któregoś z pokoi.

- Jeszcze czego! -wrzasnął zupełnie zdenerwowany Rick.

Jego spokojne życie rozpadło się z chwilą, gdy babka wkroczyła przez drzwi. Miał przeczucie, że knuła coś, co miało związek z jej piękną towarzyszką. Wiedział, że się zachowuje nieelegancko, ale chciał otrzymać jakieś wyjaśnienie i to natychmiast.

-Wszystkie te cholerne prywatne szkoły a za grosz dobrych manier! - Przerwał mu donośny głos. Rick jęknął, gdy do przedpokoju zamaszyscie wszedł duży i łysy mężczyzna.

-Swoją postawą na pewno sprawiasz, że Jeeves się w grobie przewraca
-powiedział Rick do swego majordomusa.

Grahame Sulford tylko zmarszczył brwi.

- Jeeves miał cholerne szczęście, że opiekował się tępym chucherkiem, a nie tobą. -Grahame rozpromienił się na widok Lettice i wziął ją za rękę. - Co za przyjemność znów ujrzeć szanowną panią. A kimże jest ta urocza istotka, która przybyła razem z panią?

-Jill Dancforth -odparła Lettice, uśmiechając się radośnie.

-Jill, to jest Grahame Sulford. Pracuje dla Ricka, ale nie wiem, co dokładnie robi.

- Ja tego też nie wiem -mruknął Rick, przeczesując włosy palcami. Zaczynał się gubić w tym tłumie.

-Ten chłoptaş nie przeżyłby beze mnie. -Grahame ujął rękę Jill i ucałował ją szarmanckim gestem. - Jeszcze nigdy przedtem murów tych nie zaszczyciła swą obecnością taka piękność.

Jill uśmiechnął się i jej blada twarz przybrała odcień bardziej zbliżony do zwykłej różowości. Rick poczuł dziwną zazdrość na widok postępowania drugiego mężczyzny.

-A propos -dodał Grahame, zwracając się do Ricka. Ten dureń, co się zowie zarządcą fermy, właśnie dzwonił. Ten wymyślny traktor znowu się zepsuł. Przez wieki nikt niczego nie potrzebował oprócz kosi i pługa ręcznego.

-Świetnie -powiedział Rick. Właśnie tego mu brakowało -kolejny kłopot. Pomimo uwagi Grahame'a na temat jego manier, nigdy by nie wyrzucił babki. A Jill najwyraźniej musiała odpocząć po podróży. Już od lat nie miał prawdziwego towarzystwa; teraz odrobi to z nadwyżką. - Grahame, mamy gości, więc przynieś bagaże z samochodu i zaprowadź panie do ich pokoi.

- Czy wyglądam na cholernego służącego? Rick uśmiechnął się szeroko.

- Od tego właśnie jest majordomus i dlatego de zatrudniam.

-Ale za mnie był głupiec.

Grahame odebrał od Jill kluczyki samochodowe i ciężko stąpając wyszedł.

Rick już miał zamiar ponownie zażądać od swej babki wyjaśnień, kiedy zobaczył, że Jill opiera się o ścianę i zamyka oczy. Jej twarz znów przybrała odcień skorupki od jajka. Wyczuł, że to nie tylko zmęczenie

doprowadziło ją do takiego stanu. Coś jeszcze ją wycieńczało i gorąco pragnęła to odkryć.

Zdając sobie sprawę z tego, w jakim kierunku przebiegły jego myśli, Rick nagle cofnął się. Jill Dancforth może i stanowiła kuszącą rozrywkę, ale on miał na głowie całą funkcjonującą fermę.

Nie miał czasu na rozrywki.

- Za twoim pozwoleniem - powiedział, kiwając głową w stronę babki. - Muszę się zająć pewną nagłą sprawą. Zobaczymy się później, babciu. Lettice uśmiechnęła się, wyglądając jak kot, któremu właśnie udało się spałaszować kanarka.

Rick wykrzywił usta. Nie miał pojęcia, dlaczego jego babka wyglądała na tak zadowoloną z siebie, ani dlaczego śliczna Jill Dancforth miała taką ochotę zobaczyć się z jego ojcem, ale, cholera, na pewno jeszcze się dowie.

-No, to by było na tyle, jeśli chodzi o Plan A - powiedziała do siebie Jill. Jeszcze przed kilkoma godzinami oddałaby wszystko za kąpiel i łóżko, a teraz, gdy już skorzystała z tego wszystkiego - nie mogła się zrelaksować.

-I nic dziwnego - mruknęła sama do siebie, odrzucając narzutę i siadając. W pracy zawsze doradzała ludziom, by nie zasypiali w czasie pierwszego dnia w obcym kraju, wtedy szybciej przyzwyczajają się do równicy czasu. Powinna skorzystać z własnej rady, choć w głowie się jej kręciło od braku snu. Już od iluś dni nie spała dłużej niż po kilka godzin. Lettice zaproponowała, żeby natychmiast poleciały do Londynu i porozmawiały z jej synem Edwardem i aby Jill była na miejscu, jeśli trzeba będzie spotkać się z władzami.

Nie zastanawiała się nawet przez chwile, czy Lettice omówiła z nim całą sprawę. Przy takich odległościach, kto do jasnej cholery, by tego nie zrobił? Najwyraźniej Lettice. Przyjazd do pustego i zamkniętego domu byłego ambasadora w dzielnicy Wimbledon był koszmarem, podobnie jak odkrycie, że teraz, w środku sezonu turystycznego, nie było wolnych pokoi hotelowych - a przynajmniej nie było takich, w których Lettice raczyła by się zatrzymać. Potem nastąpił kolejny koszmar związany z wynajęciem samochodu i dojazdem do domu wnuka Lettice.

Trzy godziny. Jill wzdrygnęła się na samą myśl. Dobrze, że już kiedyś prowadziła samochód w Anglii, bo tak to by pewnie spędziły noc na ławce przed Pałacem Buckingham. Po jeździe z Lettice w charakterze

pilota, byłoby to i tak lepszym wyjściem.

Pokręciła głową.

-Nadal nie mogę w to uwierzyć. Moskwa!

Krótką rozmowę, jaką odbyła z Lettice po wejściu na górę, nie dodała jej otuchy, pomimo obietnicy starszej kobiety, że zadzwoni do Moskwy i zdobędzie pomoc zza granicy -nawet gdyby trzeba było siłą wyciągnąć syna z jego spotkanią na szczycie.

Przedtem Jill mogła żyć choć nadzieją; teraz czuła tylko bezradność.

Co będzie robić przez miesiąc, zanim syn Lettice powróci do Londynu? Zostało jej tylko sześć tygodni przed rozpoczęciem nowej pracy.

„Cholera! -pomyślała, lekko uderzając pięściami w łóżko.

-Oto jestem na terenie Fitchworth-Leedsa i nie wiem, jak odzyskać naszyjnik i wymierzyć mu sprawiedliwość". Mogła tylko mieć nadzieję, że syn Lettice pomoże jej z oddali.

Ból głowy powoli mijał i Jill wstała, zakładając na koszule nocną bawełniany szlafrok. Po zaprowadzeniu jej do sypialni Grahame troskliwie przyniósł dzbanek słabej herbaty i trochę herbatników. Zjadła herbatnik, a następnie podeszła do okna i zdjęła misternie kutą haczyk, który je zamykał. Wychyliła się, aby popołudniowy wietrzyk mógł ochłodzić jej spoconą skórę.

Jej mieszkanie w Rittenhouse nie dorastało temu miejscu do pięt, przyznała, wdychając głęboko powietrze. Dwór Diabła był przytulnym małym dworkiem, zbudowanym z szarego kamienia typowego dla wzgórz Cotswold, o wysokich wąskich oknach. Przypomniała sobie, że zanim zawładnął ją wewnętrzny chaos, ujrzała masywne drzwi nabite ozdobnymi gwoździami oraz trójkolorowy dach pokryty gontem, którego szczyt ciągnął się w poprzek. Prawdziwe owce skubały główny trawnik tak skutecznie, jakby były współczesną kosiarką. Trudno było wyobrazić sobie mniej diabelski Dwór Diabła.

W oddali ujrzała małą wioską Winchcombe, gnieźdzącą się w środkowej kotlinie otoczonej pagórkami. Wszędzie na stokach rysowały się kwadraty żywopłotów, a tu i tam widniały niskie kamienne murki. Na zielonych pastwiskach widać było owce i bydło. Obraz ten był uspokajający, ale przypomniał jej, kto codziennie go oglądał.

Rick Kitteridge.

Kiedy Lettice wspomniała o swym wnuku, Jill nie wyobraziła sobie atrakcyjnego mężczyzny nieco powyżej trzydziestki. Żałowała, że tego

nie zrobiła. Wówczas byłaby na to lepiej przygotowana. Jej pierwsze przelotne spojrzenie trwale zapisało się w pamięci. Był wysoki i wysportowany, choć nie przesadnie umięśniony.

Miał szczupłą, zwartą figurę tenisisty. Jego rysy były bardzo wyraźne, a twarz mocno opalona, żywy dowód tego, ile czasu musiał spędzać na świeżym powietrzu. Włosy ciemne, choć miejscami rozjaśnione przez słońce nachodziły na kołnierz i widać było, że już od kilku tygodni odkłada wizytę u fryzjera. A jednak wyświechtane ubranie i zapach zwierząt nic nie ujmowały jego imponującej postawie. To Rick Kitteridge panował nad swym ubiorem, a nie ubiór nad nim.

Te oczy -niebiesko-zielone. Jak u babki, a pomimo tego zupełnie inne - oczarowały ją już w pierwszych chwilach poznania.

W jego spojrzeniu była zawarta jakaś moc, która sprawiała, że czuła się bezbronna, jakby wszystkie jej tajemnice były w niebezpieczeństwie, a pragnienia niezaspokojone. Bicie jej serca zwolniło, a krew pulsowała przez żyły jak gorąca lawa. O tak, daleko mu było do tego prawie czterdziestoletniego wnuka o wydatnym brzuszku, którego sobie wyobrażała. „Musiałam wyglądać jak głupia -myślała ponuro gdy tak trzymała z całej siły stojak na parasole, podczas gdy szok i wycieńczenie po podróży zbierały swe żniwo”. Próbowała odzyskać nieco równowagi i prowadzić w miarę normalną rozmowę. Zrobiło jej się gorąco ze wstydu na myśl o tym, jak mało brakowało, żeby zwymiotowała. A teraz była w jego domu, w jego sypialni „No, w jednej z jego sypialni” -poprawiła się, myśląc o zasłonach i narzucie w kwiatki i o podobnym wzorku na tapecie. Nie był to pokój mężczyzny - szczególnie nie takiego mężczyzny, jak Rick Kitteridge. W przeciągu półtora roku, jaki minęło od jej rozvodu, Jill nie spotkała żadnego mężczyzny, którym byłaby zainteresowana dłużej niż przez kilka wieczorów w restauracji. A teraz, gdy musiała się w pełni skupić na aktualnym problemie, spotkała mężczyznę, który powodował, że zaczynała Myśleć o sprawach przyjemniejszych niż sama kolacja.

-Nie rozpraszaaj swej uwagi – mruknęła sama do siebie, siłą odsuwając obraz intrygujących oczu Ricka. Przynajmniej Lettice uważała, że nie powinny powiedzieć mu o prawdziwych przyczynach wizyty. Jill poczuła wdzięczność na myśl o powściągliwości starszej kobiety. Było to nieco mniej upokarzające, a zresztą ta sprawa nie dotyczyła Ricka.

W tej chwili nie mogła nic robić, jeśli nie liczyć zabawy w turystykę. Pomyślała, że powinna dać znać swojej matce o szczęśliwym przylocie. W Filadelfii była godzina przedpołudniowa. Skorzysta z telefonu w sypialni i za koszty zapłaci kartą kredytową.

Po krótkiej rozmowie z telefonistką Jill usłyszała w słuchawce głos matki.

-Cześć, mamó! -powiedziała i zrobiła grymas, słysząc wymuszoną wesołość w swym głosie.

-Jill, czy to ty?

-Tak, to ja -odpowiedziała, zastanawiając się, jak jej matka mogła rozpoznać głos, a pomimo tego nadal się pytać kto dzwoni

Ku jej przerażeniu, Caroline się rozpląkała.

Jill mocniej uchwyciła słuchawkę.

-Mamo, co się stało? Czy komuś się coś przytrafiło? Choroba? Czy to z tatą? Na samo wspomnienie o ojcu szloch wzmógł się. Żadne namawianie nie mogło przekonać Caroline, by udzieliła rozsądnej odpowiedzi i Jill w koncu poddała się i czekała, aż burza minie.

- Czy ty... -Matka zachłysnęła się. - Czy jesteś w Anglii?

-Tak, dotarłam szczęśliwie i przykro mi, że nie dałam rady zadzwonić wcześniej. No, a co się stało w domu?

-Twój ojciec... nasza rocznica w przyszłym miesiącu... on chce, żebym miała na sobie naszyjnik. będzie taki zły. Wszyscy nasi znajomi. Chce wydać przyjęcie. Pomyśli, że ja... Co ja mam robić, Jill?

Jill zacisnęła zęby.

-Powiedz mu prawdę, mamó. W tej sytuacji cóż innego możesz zrobić?

-On mnie znienawidzi. będzie chciał rozwodu! -Płakała matka. -A mówił, że ma wyrzuty sumienia, że mnie zaniedbuje.

Ja tylko próbowałam wszystko naprawiać. Wszyscy pomyślą, że jestem taka głupia!

Jill westchnęła. Kochała matkę, ale czasami miała wrażenie, że zamieniły się rolami.

-Mamo, bądź rozsądna. Nie możesz tego wечно ukrywać...

-Pomyślałam, że skoro jesteś w Anglii, mogłabyś porozmawiać z pułkownikiem i odzyskać naszyjnik.

-Porozmawiać z pułkownikiem!

-Odzyskaj naszyjnik, Jill. Musisz to zrobić. Wiesz, że te klejnoty są przecież twoje. A raczej miały być...

-Więc po jaką cholere je oddalaś? -odcięła się zdenerwowana.

-Nie wiem, nie wiem. -Matka znów zaczęła płakać. -Wtedy to wydawało się takie słuszne. Twój ojciec... To by go tak zraniło. A ja za nic nie chce go ranić. Jill? Jill?

-Jestem tu.

Miała ochotę krzyczeć, ale znowu przypomniała sobie, jak matka ją wspierała podczas rozvodu. Była wówczas wdzięczna, że komuś na niej zależało w momencie, gdy mówiono, że nie radzi sobie jako żona i kochanka. Choć „Puszek-Okruszek” Dancforth, chwilami w pełni zasługiwał na to miano, nie opuścił jej wtedy.

-Miałam zamiar poprosić syna Lettice o pomoc... - powiedziała niechętnie Jill.

-Wiedziałam! Powiem twojemu ojcu, że dałam naszyjnik do oczyszczenia przed przyjęciem, w czasie jak ty go będziesz odzyskiwać, na wypadek, gdyby ojciec chciał go zobaczyć, czy coś.

- Mamo...

-Jill, jesteś wspaniała, po prostu wspaniała.

-Mamo, jest pewien problem -powiedziała stanowczo Jill.

Niestety, jej matka miała do niej ogromne zaufanie.

-Dasz sobie rade. Czuje się o niebo lepiej. Wiedziałam, że tak się poczuje po rozmowie z tobą. Kocham cię, Jilly. Baw się dobrze i pozdrów ode mnie Lettice. Cześć, kochanie!

-Mamo! -krzyknęła Jill, ale słycać było odgłos odkładanej słuchawki po drugiej stronie Atlantyku. Rzuciła swoją i spojrzała na ozdobny telefon z rozgoroczeniem.

Teraz musiała odzyskać naszyjnik przed przyjęciem i zanim pułkownik przekaże go jakiemuś paserowi -o ile tego już nie zrobił. Nie będzie Myśleć o takiej możliwości, zdecydowała. Nie miała zamiaru robić tego wszystkiego nadaremnie.

Musi odzyskać rodzinną spuściznę, jeśli chce pomóc matce. Ale znajdowała się w samym środku prowincji, bez środków, z których mogłaby skorzystać i bez czasu na rozmyślanie.

A co gorsza, bez jakiegokolwiek planu!

Chyba, że...

Odwróciła się i spojrzała na małą kosmetyczkę, którą kurczowo trzymała przy sobie przez całą podróż samolotem.

Zaczął jej świtać pomysł. Wyciągając z torebki malutki kluczyk,

otworzyła kosmetyczkę i zaczął szperać wśród różnych „artykułów pierwszej potrzeby”. Serce zabiło jej mocniej, gdy palce dotknęły miękkiego aksamitnego woreczka. Wyciągnęła go i podeszła do łóżka. W głowie zaczęło jej się krecia, gdy rozsypała sznureczek i położyła połyskujący naszyjnik na kołdrze. Zielone kamienie w kopii naszyjnika Dancforthów błyszcząły jak prawdziwe. Dwadzieścia trzy szmaragdy misternie poprzytyskane perłami, a raczej, w tym przypadku, fałszywe kamienie i fałszywe perły. Ale nawet jubiler miałby kłopoty z rozróżnieniem ich. Następnie rozłożyła na łóżku drugi naszyjnik, który lśnił autentycznym węglowym płomieniem. Ojciec powiedział kiedyś, że brylanty powinno się nosić na słońcu, które uwydatnia ich blask. Widząc, jak kamienie świecą w naturalnym świetle dnia, stwierdziła, że miała rację. Nie wiedziała, dlaczego przywiozła diamentowy naszyjnik. Był wart prawie tyle, co szmaragdowy. Kiedy jednak wyjęła tamtą kopię, leżał ten i nawoływał ją. Wepchnęła go z powrotem do woreczka, przeklinając własną głupotę. Trzymała w reku kopię, czując jej ciężar, widząc jej blask... i wiedząc, że nie była prawdziwa. Miała nadzieję, że Lettice dodzwoniła się do Moskwy i czegoś się dowiedziała. Jak nie, to cała ta podróż byłaby na nic, a Jill musiałaby wrócić do domu bez naszyjnika. „I -szepnął gdzieś w jej głowie szelmowski głosik - bez bliższego zaznajomienia się z Rickiem Kitteridge'em”. Jill powiedziała głosikowi, by zamilkł. Nie miała zamiaru ulec pokusie rozrywki, a wnuk Lettice stanowił najbardziej zmysłową i pociągającą rozrywkę, jaką kiedykolwiek widziała. Po prostu musiała przy nim zachowywać się chłodno i uprzejmie oraz nie myśleć o nim, gdy go nie ma obok, a klejnoty rodzinne odzyska, obojętnie jak. Nie wróci bez nich do domu.

ROZDZIAŁ II

-Jej mąż był agresywnym supermenem -powiedziała Lettice, spacerując z Rickiem ścieżką w ogrodzie. - Spodziewał się, że wystarczy palcem kiwnąć, a ona musi przybiec. Od samego początku uważałam, że był zupełnie nieodpowiednim partnerem.

-Mhm -mruknął Rick niezobowiązująco, choć z uwagą słuchał gadaniny swojej babki. Gdy tak czekali, aż Jill zejdzie na śniadanie, zwiedzanie ogrodu przemieniło się w nieustający monolog, do wysłuchania którego czuł się wewnętrznie zmuszony. Daisy, ulubiony szkocki owczarek Ricka, jak cień przemykała obok jego nóg. Robiła to zawsze, gdy wychodził na zewnątrz, na teren jej królestwa.

-Jill nie jest jakąś papierową lalką. - Lettice na chwile zamilkła. -No i te wszystkie romanse...

-Jill romansowała! -wykrzyknął Rick, obracając się nagle w stronę babki. Skomląc Daisy usunęła się z drogi. Nie zwracając zbyt wiele uwagi na to, co robi, Rick wyciągnął rękę, by pogłaskać psa uspokajająco.

-Oczywiście, że nie, głuptasie. Mówię o Bretcie, jej byłym mężu. - Lettice zmarszczyła czoło. -A zresztą jej też wolno było romansować. Jest przecież dorosłą kobietą, a w dodatku piękną... Cóż to za urocza roślina z długą łodygą i purpurowymi kwiatkami? Wygląda jak fiołek. Rick otrząsnął się, odsuwając od siebie kalejdoskop uczuć na myśl o oczach Jill przymkniętych i przyzwalających, gdy jakiś mężczyzna schylał się, by ją pocałować. Problem polegał na tym, że to nie on był tym mężczyzną. Nie spędziła pod jego dachem nawet doby - a on nie przebywał z nią nawet przez godzinę - ale był nią zupełnie zafascynowany.

Miał też wrażenie, że babka wie o tym i dlatego wyrzuca z siebie nie-dbale to opowiadanie, zupełnie na zasadzie kuszenia osiołka marchewką. Cholera, a co gorsze, udawało jej się to. Chciał wiedzieć więcej. Co się z nim działo?

- Rick, ta roślina...

Zmuszając się do tego, by zająć się babką, powiedział: - To jest fiołek - fiołek trójbarwny. Widzisz, jak jego płatki się krzyżują? -Wskazał na rosnący w pobliżu, bardzo podobny kwiat. -A tam masz te samą odmianę, tylko że z białym kwiatem.

Lettice ogarnęła wzrokiem klomby otoczone kamieniami.

- Czy wszystkie te rośliny rosną dziko? Są takie piękne. Nie wyglądają tak, jak te pulchne róże i petunie, które zazwyczaj rosną w ogrodach -są delikatne i zwiewne.

-Trudniej jest je uprawiać niż róże i petunie -odparł, patrząc, jak kilka pszczoł leniwie brzęczy nad ozdobnym niebieskim mleczem. Cieszył się, że rozmowa toczyła się teraz wokół ogrodnictwa. Jeżeli Jill roman-

sowała, to była to jej sprawa. On z pewnością nie mógł sobie rościć do niej praw.

A zatem nie powinno go to interesować. Pewien, że panował nad swymi emocjami i nad libido, dodał: -Dziki kwiaty rosną wszędzie tam, gdzie ich nie chcesz, a w ogóle nie rosną tam, gdzie chcesz. Od jak dawna jest ona rozwódką?

Zacisnął szczękę, ale już było za późno na powstrzymanie jego niespodziewanej i niechcianej ciekawości. To by było na tyle, jeśli chodziło o brak zainteresowania.

-Gdzieś od półtora roku. Całe szczęście, nie było dzieci.

-Następnie powiedziała coś, co wyrwało go ze smutku. -Jill jest rozsądną dziewczyną. Jestem pewna, że nie było wielu mężczyzn od czasu rozwodu. A jak idzie farma? Czy nie powinieneś się zajmować tym czymś, co się zepsuło?

- To już jest zrobione. Tak rozplanowałem swój harmonogram, by móc spędzić tego ranka trochę czasu z tobą, babciu, a ty teraz narzekasz.

-Trochę czasu, to ile? -spytała.

-Śniadanie? -odrzekł, myśląc o nieszczęsnym zarządcy, którego przyjął do pracy. Zaczynał się zastanawiać, czy Grahame aby nie miał racji, co do umiejętności tego człowieka.

Babka zaśmiała się cicho.

-Dobrze, niech będzie i tyle. Powinam ponarzekać, że mnie zaniedbujesz, ale wiem, ile ten dworek dla ciebie znaczy, kochanie.

Rick uniósł brwi ze zdziwieniem. Jego babka zazwyczaj prawiała mu kazania o tym, że nie poświęcił się służbie konsularnej, jak jego ojciec. „Ukrywa się wśród owiec” -tak brzmiał jej zwykły komentarz. Już otwierała usta, by spytać, kiedy ten cud miał miejsce, ale po namyśle natychmiast je zamknęła. „Nigdy nie powinno się kwestionować cudu - pomyślał. -Należy się nim tylko rozkoszować”.

Słyszając jakiś dźwięk, podniósł wzrok i ujrzał, jak Grahame wychodzi przez drzwi tarasowe, niosąc praktycznie wszystkie srebra rodzinne, a przynajmniej takie to robiło wrażenie. Za nim szła Jill, trzymając prawie tak samo pełną tacę.

- Co za... -Rick przerwał przekleństwo i dużymi krokami przeszedł przez trawnik do tarasu. Szła za nim Daisy.

-Pomyślałem, że wasza lordowska mość może zechcieć zjeść kontynentalne śniadanie na tarasie -powiedział Grahame.

Postawił tace na białym stoliku z kutego żelaza.

-Zgoda, ale Jill nie powinna tego nieść. -Rick sięgnął po jej tacę. Gdy złapał za uchwyty, przez moment jego palce spotkały się z jej chłodnymi i szczupłymi paluszkami. Poczul nagle ciepło. Krew zdawała się wolniej płynąć w żyłach, gdy spojrzął w jej niesamowite oczy, pełne uczuć, których nie potrafił określić. Miał ochotę pogłaskać jej delikatny policzek; trzymać jej głowę w swych rekach, jej ciało w swych ramionach.

Powrócił do rzeczywistości i wyjął tace z rąk Jill, zmuszając się do tego, by odwrócić się od niej.

-Już rzeczywiście dawno nie jadłem śniadania na tarasie.

-Postawił tacę na stoliku obok tamtej. -Wiem, że masz sporo do zrobienia, więc zagram rolę „mamusi” i naleje wszystkim herbaty.

Grahame sprawiał wrażenie zakłopotanego tym, że Rick najpierw się z nim zgodził, a następnie go odprawił. „To dobrze” -pomyślał Rick. Jego stary przyjaciel pod wpływem wieku stawał się coraz bardziej impertynencki.

-Zmiałaj, psie -powiedział do Daisy, która krążyła wokół. Pomógł babce usiąść, a następnie rzucił gniewne spojrzenie w stronę Grahame'a, który uprzedził go w asystowaniu Jill. W końcu przystał na to, by usiąść obok niej. Daisy ułożyła się u jego stóp, zupełnie jak przysłowiowy dywanik.

Gdy zwrócił się do niej z zamiarem zapytania, co woli herbatę, czy kawę, ponownie ujęła go otaczająca ją aura delikatności i zmysłowości. Nawet nie zadał pytania.

Miała na sobie lekki bawełniany sweterek z krótkimi rękawkami i falującą spódnicę w kwiaty. Już wcześniej zauważył, jak rąbek wirował wokół jej łydek. Nie wiadomo dlaczego spodziewał się obcisłych dżinsów, które wyszczególniałyby każdy centymetr jej nóg. Zamiast tego, na jego wyobraźnię działał w sposób niepohamowany, ledwo widoczny pod miękkim materiałem, zarys szczupłych ud. Nigdy przedtem nie uważał kostek kobiety za szczególnie erotyczną część ciała, ale na widok Jill, krzyżującej nogi, rosło jego ciśnienie.

Zdając sobie sprawę z faktu, że się gapi, Rick oderwał wzrok. Od jej przyjazdu jego wyobraźnia cholernie sobie folgowała. Poprzedniego wieczora wrócił bardzo późno, już po kolacji. Po wysłuchaniu kilku odpowiednich komentarzy od Grahame'a na temat dobrych

manier, położył się do łóżka, które nigdy przedtem nie wydawało się puste. Przed zaśnięciem przypomniał sobie, że musi spędzić trochę czasu ze swoją babcią, ale uczucie niespokojnego oczekiwania, wypełniające jego ciało zdradzało, z kim naprawdę chciałby się widzieć.

Zauważył cienie pod jej oczami i wiedział już, że ona też źle spała. Zapewne z trudem przystosowała się do różnicy czasu. Nie chciał kusić losu myślą, że to mogło być przez niego.

- Czy jesteś pewna, że nie rozchorowałaś się, Jill? - spytała Lettice. - Wyglądasz strasznie.

-Dziękuję ci, Lettice -odparła Jill z gorzkim uśmiechem.

- Ty też wyglądasz ślicznie.

Rick zaśmiał się na widok nagłego badawczego grymasu, jaki pojawił się na twarzy jego babki. Niewielu osobom udawało się jej odciać.

- Czy w twoim pokoju wszystko jest w porządku? - spytał, myśląc, że to może coś w nim sprawiło jej kłopot.

-Tak, jest piękny. Kto wybrał wzór na obiciach ze sklepu Laura Ashiey?

-Moja matka. Czy łóżko jest wygodne? To znaczy, czy na pewno nic ci nie przeszkadza?

-Kurczę, muszę wyglądać gorzej, niż myślałam.

- No... -zaczął dyplomatycznie. -Uważam, że wyglądasz zupełnie dobrze. Może tylko jesteś trochę zmęczona. Czy dobrze przyzwyczajasz się do różnicy czasu? W pierwszej chwili Jill nie odpowiedziała.

- Nie... niezbyt dobrze. Ten etap... ten etap zawsze wymaga trochę czasu. Kilku dni. Jestem przekonana, że jutro wszystko będzie w porządku.

-Rick właśnie pokazywał mi swój ogród pełen dzikich kwiatów - powiedziała Lettice.

-Naprawdę? -Iskierka entuzjazmu zamigotała w oczach Jill. -Ludzie w Stanach nie interesują się dzikimi kwiatami tak, jak Anglicy. Jaka szkoda, że nie. Zupełnie zapomniałam, że gdy przyjedziemy, wszystko będzie w pełnym rozkwicie.

Czy mogłabym obejrzeć ogród po śniadaniu?

-Oczywiście -odrzekł Rick półgłosem, zadowolony, że ją także pasjonowały dzikie kwiaty. Ale jak ona mogła zapomnieć, że będą kwitły akurat wtedy, gdy będzie w Anglii?

Tym bardziej, że, jak twierdziła, tak bardzo je lubi. Odsunął od siebie te pytania, dochodząc do wniosku, że w pośpiechu pakowania walizek kwiaty musiały stanowić nieistotny szczegół.

- Ja cię oprowadzę, Jill -powiedziała Lettice. -Rick musi wrócić do pracy natychmiast po śniadaniu. Mam tylko nadzieje, że nie zapomni o swych dobrych manierach i obsłuży nas, zanim zapadnie zmrok.

Rick zacisnął zęby, nie chcąc się zarumieniać. W końcu rozmawiał z Jill tylko tak, jak by to zrobił każdy dobrze wychowany gospodarz. I dlaczego powiedział babce, że da radę być z nimi wyłącznie na śniadaniu? Przeklinał swoją głupotę.

Udało mu się porozdzielać ciasta, herbatę oraz Timesa w miarę sprawnie. Po raz pierwszy od lat nie zależało mu na natychmiastowym przejrzeniu swego egzemplarza gazety.

Nie mogło być w niej nic bardziej fascynującego niż jego gość.

-Mam nadzieje, że nie jest ci zbyt przykro, iż nie ma mojego ojca, Jill.

- To mnie jest przykro -odpowiedziała mu Lettice. - Jill nie zna twojego ojca, kochanie. Ona tylko przyjechała, by mi towarzyszyć. A ja z tego wszystkiego zupełnie pokręciłam daty konferencji Edwarda. Przepraszam, Jill, za cały ten bałagan.

Jill spojrzała na Lettice wzrokiem pełnym zarówno zrezygnowania, jak i oszołomienia. Był w stanie zrozumieć te uczucia. Zamieszanie nie pasowało zupełnie do Lettice.

Zgoda, miała prawie osiemdziesiąt lat, ale trudno by było znaleźć bystrzejszą osobę. Patrzył na babkę, zastanawiając się nad jej nagłym roztargnieniem.

-Twój dom jest przepiękny. -Jill najwyraźniej próbowała zmienić temat.

-Gdzie mogłabym kupić taki sam?

-Coś mi się wydaje, że spodobał się jej -powiedziała Lettice z zadowoloną miną.

- Ciesz się mnie to. -Rick uśmiechnął się. A nuż oznaczało to, że Jill zostanie dłużej.

-Jak się stało, że tutaj zamieszkałeś? -spytała.

- Po zakończeniu studiów zająłem się trochę historią naszej rodziny i odkryłem, że jestem w prostej linii potomkiem niejakiego Sir Thomasa Carricka. Był on, mówiąc delikatnie, czarną owcą. W czasie wojny domowej, w siedemnastym wieku, był na początku rojalistą, ale gdy zobaczył, jak przebiega wojna, przerzucił się na stronę Cromwella i jego purytańskich żołnierzy. Reszta rodziny tak bardzo się go wstydziła, że w końcu po upadku monarchii przeniosła się do kolonii i zmieniła nazwisko na Kitteridge. Archiwa wskazywały na to, że Sir Thomas był

właścicielem Dworu Diabła w Cotswold. Byłem zaintrygowany i przyjechałem, by zobaczyć, czy ten dwór nadal stoi. Stał, a ponadto był na sprzedaż. -Wzruszył ramionami. -No więc go kupiłem.

-Nie było to głupie -powiedziała Jill, spoglądając na zielone pagórki i doliny. -Jestem skłonna uwierzyć, że widać stąd Walię.

Rick parsknął, myśląc raczej o niustających awariach urządzeń, o kosztach utrzymania dworu oraz o ustawicznie wahających się cenach wełny, zboża i mleka, które ciągle uniemożliwiały mu nawet osiągnięcie względnej stabilizacji.

- Czasami wydaje mi się to dosyć głupie. Ale nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej.

-Skoro dajesz sobie radę z prowadzeniem samochodu, Jill -powiedziała Lettice -pomyślałam, że mogłybyśmy dzisiaj pojechać do zamku Sudeley. Rick zmarszczył czoło na myśl o tym, że Jill opuści dwór, a następnie zmarszczył je jeszcze bardziej z powodu swej natrętnej myśli. Przecież nie mógł spędzać z nią czasu. Co za różnica zatem czy ona tu będzie, czy nie?

Lettice mówiła dalej.

-To tylko z drugiej strony wioski. Czy byłaś tam kiedykolwiek?

Jill pokręciła przecząco głową. Lettice uśmiechnęła się.

- To prześliczny mały zameczek o bardzo ciekawej przeszłości. Żyła w nim Katarzyna Parr ostatnia żona Henryka VIII. Po jego śmierci zabrała tam całą rodzinę królewską.

Zadzwoń i dowiem się, czy obecny właściciel jest w domu.

Może mogłybyśmy pojechać z wizytą. Mary Elizabeth pochodzi ze Stanów, a konkretnie z Kentucky. Spodoba ci się. Jill przytaknęła.

-To brzmi świetnie.

Rick wątpił w to. Zauważył, jak jej ręka drżała, gdy podniosła filizankę, ale pohamował się od uwag, kiedy zapanowała nad mięśniami, wzięła łyk i odstawiała ją stanowczym ruchem.

Podobnie jak poprzedniego dnia, był pewien, że coś było nie tak, że to nie tylko zmęczenie po podróży, ale się nie odezwał, wiedząc, że nie otrzyma szczerzej odpowiedzi. Pomyślał, że może nie powinien pozwalać jej brać wozu. Sudeley było jednak tylko po drugiej stronie wzgórza i droga nie była trudna. Nie wiedział, jak sprzeciwia się, nie sprawiając wrażenia, że traktuje ją tak dziecko.

Jill skończyła ciastko, a następnie zrobiła głęboki wdech.

Rick omal nie zakrztusił się herbatą na widok jej piersi podnoszących się pod sweterkiem, który wyraźnie przylegał do krągłości.

-Tak mi się tutaj podoba -powiedziała. - Wiesz, nie sądzę, żeby ten obszar się zmienił od czasów, gdy osiedlili się tu Anglosasi. Ciekawa jestem, ile z obecnych farm i dworów istniało, gdy robiono spis własności w księdze Domesday.

Czy ktoś to może zbadał?

Rick, zaskoczony, otworzył szerzej oczy.

-Nie wiem.

-No, to ktoś powinien. Warto byłoby wiedzieć, ile z posiadłości spisanych ponad dziewięćset lat temu na rozkaz Wilhelma Zdobywcy nadal istnieje. Czy coś wiadomo na temat twojego drzewa rodzinnego na tych ziemiach przed sławetnym Sir Thomasem?

-Nie wiem -odparł ponownie.-Nigdy nie sięgałem dalej w przeszłość.

-Może ty powinnaś się nad tym zastanowić, moja droga -powiedziała Lettice do Jill.

Jill zamyśliła się.

-Może. Byłoby to o niebo ciekawsze od rezerwowania ludziom biletów na loty do Peru.

-Przeprowadzasz badania nad księgą Domesday i robisz rezerwacje do Peru? -spytał Rick bezradnie.

-Na uczelni moją specjalizacją była historia średniowieczna – wytłumaczyła. -W Stanach nie ma na to zbytniego popytu, chyba, że się naucza. Uwierz mi, że kiepska ze mnie nauczycielka. Pracuję jako ochotniczka w filadelfijskim zoo. Pomagam przy organizacji wycieczek i rezerwuję miejsca dla pracowników zoo. W sierpniu zostanę tam kierownikiem ochotników.

- Czy jeździsz na wycieczki jako pilot? -spytał Rick zafascynowany. Odzyskiwała energie, którą wcześniej dostrzegł u niej.

Roześmiała się.

-Broń Boże !Na wycieczkach korzysta się z usług ekspertów w dziedzinie zoologii, botaniki i ochrony środowiska.

Pojechałam raz do Boliwii w charakterze asystentki i zakochany osioł juczny złamał mi kostkę. Nie pytaj nawet, jak to się stało. Cieszę się, że teraz zajmę się prawdziwą pracą. Nie będzie mnie kusiło, by znów jeździć na wycieczki.

- To brzmi sensownie -stwierdził Rick.

Jego babka mruknęła coś pod nosem.

-Słucham?

-Powiedziałam, że mamy dziś piękny dzień.

Rick spojrział na nią z powątpiewaniem, a potem wzrok swój ponownie skierował na Jill. To, czego się dowiedział, jeszcze bardziej wzmogło jego zaciekawienie tą Amerykanką, która tak dobrze znała język staroangielski i która robiła dla innych rezerwacje na wycieczki środowiskowe. Podobało mu się w niej połączenie śmiesznego podejścia do życia i ożywczej prostolinijności. Podobał mu się jej sposób poruszania, mówienia oraz promieniująca, naturalna i szczerza zmysłowość. Chciał darować sobie resztę popołudnia i spędzić je razem z nią.

Ale nie mógł. Powiedział sobie, że powinien się z tego cieszyć. Cholera, zaczął się zbyt interesować Jill Daneforth! Przecież ona miała wrócić do Stanów - oddalonych o tysiące kilometrów, do zupełnie innego stylu życia. Kobiety o takiej przeszłości jak Jill nie lubiły zaszywać się gdzieś na wsi. Potrzebowały przepychu i blasku bardziej niż jego towarzystwa. Nauczyły go tego zerwane zaręczyny z dwiema Angielkami. Byłoby zupełnie nierozsądne wdawanie się w romans ze śliczną Jill.

Jednak gdy Lettice wytarła delikatnie usta serwetką i powiedziała, że musi wyjść i szybko gdzieś zadzwonić, ujrzał ponownie iskrę paniki w oczach Jill. Całkowicie zapomniał o zdrowym rozsądku. Jill się czymś zamartwiała i, cholera, miał zamiar dowiedzieć się o co chodzi.

Czar angielskiego krajobrazu wywarł uspokajający wpływ na Jill i gdy wracała już z Lettice do Dworu Diabła, była nastrojona znacznie bardziej optymistycznie i panowała nad sobą. Przynajmniej miała nadzieję, że panuje.

W czasie śniadania gadała przecież jak głupia.

Winę chciała złożyć na karb wydarzeń poprzedniego dnia, nie wyłączając wpływu rozmowy telefonicznej z matką, ale wiedziała, co -a raczej kto -naprawdę był winowajcą. Rick.

Do tego stopnia zakłócał jej rozsądek, że na cud zakrawał fakt, iż udało jej się wymamrotać nawet jedno sensowne zdanie.

Od chwili, kiedy ją dotknął, nie mogła się na niczym skupić.

Tylko jedno drobne dotknięcie jego palców. To te mocne i pewne siebie palce spowodowały, że natychmiast wyobraziła sobie, że powoli i bez pośpiechu głaszczą jej ciało...

Omali nie upuściła tacy. Rzadko zdarzało jej się odczuwać samą żądze. Zgoda, czasami przechodził ją dreszcz z powodu Seana Connery, ale nigdy nic w tym stylu. - Jutro zobaczymy się w Londynie z tym panem Havilanem - oświadczyła Lettice, odwołując się do rozmowy, jaką wreszcie odbyły rano po wyjściu Ricka do pracy. - Edward powiedział, że jeśli w ogóle da się coś zrobić, to jemu się to uda.

- Dowiemy się, co z pociągami - stwierdziła zdecydowanie Jill. Lettice roześmiała się.

Jill przekręciła kierownicę, zmierzając w kierunku prywatnego podjazdu do Dworu Diabła. Odetchnęła trochę po zjechaniu z głównej drogi. Nie stać ją było na dodatkowe skupienie, jakiego wymagała umieszczona po przeciwnej stronie kierownica - nawet jeśli tym razem Lettice występowała wyłącznie w roli pasażera. Nie mogło nawet być mowy o pokonaniu trasy do Londynu. Miała nadzieję, że pan Halivan będzie w stanie jej pomóc, i to szybko. Jeżeli nie, to musiała uciec się do innych środków.

- Ciekawe, co ten mój siostrzeniec wyprawia - powiedziała Lettice, z miną bardziej zadowoloną, niż zdziwioną. - Najpierw chowa się po polach, a następnie peta - czekając na śniadanie.

Jill zmarszczyła brwi.

- Jestem pewna, że chciał pobyć z tobą.

- Jeszcze czego. Wydaje mi się, że tu chodzi o coś zupełnie innego. Co ty o nim sądzisz?

Jill szarpnęła kierownicę. Ostatnim tematem rozmowy, jakiego by sobie życzyła, był wnuk Lettice. Niestety, okazywanie niechęci wyjawiloby prawdę. Siłąc się na opanowanie, wzruszyła ramionami.

- Jest bardzo miły.

- Podoba ci się?

- Nie znam go. - Rzuciła spojrzenie w stronę starszej kobiety.

- Do czego zmierzasz?

- Do niczego. On po prostu od urodzenia był... inny od moich pozostałych wnuków. Dziewczynki, odkąd pamiętam, były takie szczerze, a Miles i Devlin bardziej... Ale z Ricka zawsze był marzyciel...

-Marzyciel! -wykrzyknęła Jill, wspominającego przenikliwy wzrok. Trudno uwierzyć, że taki mężczyzna był marzycielem.

-Tak, pomimo tego całego rozsądku jest marzycielem. -Lettice westchnęła. -No, Przecież spójrz na ten dom. Wymyślił sobie, że rodzina powinna w jakiś sposób wynagrodzić tutejszej ludności nadużycia Sir Thomasa. Dlatego też kupił Dwór Diabła i ładuje w niego wszystko, co ma, by uporać się z tym.

-Doprawdy? -powiedziała Jill półgłosem, chcąc dowiedzieć się więcej. Zaciśnęła następnie zęby. Nie mogła łączyć jednego rodzaju szaleństwa z drugim. Przybyła tutaj jako gość gościa. Ponadto teraz nie była pora na urządzenie pierwszego wakacyjnego flirtu. Przypuszczała, że Rick też nie byłby tym zainteresowany.

-Miałaś racje co do Sudeley -stwierdziła, postanawiając zmieniać temat. - Jest piękny. I bardzo przytulny. Nie mówiłaś mi, że twoja przyjaciółka jest Lady Acsombe. -Jej pierwszym mężem był Dent-Brocklehurst, właściciel zamku. Po jego śmierci wyszła za mąż za Lorda Ascombe'a. Pomyślałam, że będzie to dla ciebie miła niespodzianka. Rick widuje się z nimi od czasu do czasu.

- Czy podczas wycieczki po zamku zwróciłaś uwagę na rzymskie monety w sali rzemiosła? Zakładam się, że posiadłości Sudeleyów są umieszczone w księdze Domesday.

-Tak. Już je kiedyś widziałam. To ciekawa myśl, co do tego spisu. Chyba będę musiała przekonać Ricka, by z nami pojechał następnym razem. Znam ludzi w hrabstwie Warwick, których moglibyśmy odwiedzić. Wydaje mi się, że on też zna.

- No... tak... może i tak -odparła Jill. Obawiała się, że znowu będzie się zachowywać jak szemrzący bzdury strumyczek, a następnym razem przypuszczalnie odpadną mu uszy z wrażenia. Podjechała do drzwi wejściowych i zatrzymała samochód. -Tutaj cię wysadzę, a sama podjadę do garażu. Nie ma sensu, żebyś stamtąd wracała przez cały ogród.

Po zostawieniu Lettice, Jill wrzuciła sprzęgło mercedesa i nacisnęła na pedał gazu. Ominęła owce, wałęsające się po głównym trawniku i pojechała dojazdem na tyły domu.

Starą stajnię zasłaniała altana drzew i krzewów. Budynek nie był duży, ale zamieniono go na budę i garaż mieszczący trzy samochody. Drzwi z

prawej strony były otwarte. Pomyślała, że Grahame musiał je tak zostawić, gdy wcześniej wyprowadzał wóz.

Zacząła wjeżdżać do garażu i równocześnie Rick wyłonił się z ciemnego wnętrza. Odskokzył, a ona w tej samej chwili nacisnęła na hamulec. Niczym mistrz gimnastyki przekoziółkował niskie zbczce i wylądował w krzakach. Daisy wyrzała zza drzwi garażowych i pokłusowała w stronę swego pana.

Jill wygramoliła się z samochodu.

-Przepraszam! Czy nic ci nie jest?

Usiadł, obejrzał się i zaczął się otrzępywać.

-Następnym razem ja będę prowadził.

Podbiegła do niego. Bez zastanowienia wyciągnęła rękę i natychmiast tego pożałowała. Nie mogła jednak wycofać się, nie wychodząc na głupią.

-Pomogę ci wstać.

- Ach... coś mi się wydaje, że trochę sobie tu posiedzę - powiedział. - Nic mi nie jest, ale moje spodnie nie przeżyły konfrontacji z bukszpanowym żywopłotem. Pękły.

Spojrzała na jego wytarte brązowe sztruksy i mimochodem zauważyła, że ma długie nogi. Nie mogła też się powstrzymać do nagłego chichotu.

-Obiecuję, że nie będę patrzeć.

Zmarszczył czoło.

- To mnie pocieszyłaś.

-No, chodź -powiedziała, ponownie wyciągając rękę. -Nie możesz przecież ślęczeć w tych krzakach przez cały dzień.

- To prawda. Daisy była zdecydowanie bystrzejsza. Usłyszała samochód, czy nie było tak, mała?

Pogłaskał psa, a następnie chwycił ją za rękę. Jill na próżno usiłowała zignorować uczucie podobne do kopnięcia prądu, gdy jego silne palce zacisnęły się na jej ręce. Podniósł się, odwrócony do niej ciągle plecami. Jej mózg nakazywał ręce, by puściła, ale gdy on patrzył na nią, wszelkie sygnały gubiły się gdzieś po drodze. Gałęzie otaczających dębów były jak

baldachim nad ich głowami, a popołudniowe słońce złościło brzeżki liści. Twarz Ricka była wyraźnie widoczna, a wszystko inne zdawało się być tylko tłem. Czuła się więźniem jego wnikliwego spojrzenia.

-Nie widziałam cię aż do ostatniej chwili -stwierdziła, a potem zdała sobie sprawę, że mówi zduszonym szeptem.

Chrząknęła. -Nie słyszałeś samochodu?

-Nie. Zamyśliłem się.

- To bywa niebezpieczne.

-Zależy, co masz na myśli.

Jego głos był niski i pełen aksamitnej zmysłowości. Drugą ręką dotknął jej policzka, przesuwając palec wskazujący po linii jej szczęki.

Jill zapragnęła zachować głęboko w sobie uczucie, wywołane jego dotykiem. Patrząc na niego, zastanawiała się, czy za jego łagodnością kryła się gorąca namiętność, która czyhała pod powierzchnią, czekając na nią...

Opamiętała się nagle i odsunęła od niego. Miała i tak wystarczająco dużo spraw na głowie.

-Jak ci się podobał Sudeley? -spytał wkładając swobodnie ręce do kieszeni spodni

- Jest przepiękny -odpowiedziała.

-A Mary Elizabeth -Lady Ascombe? Była z wami?

-Tak. Wypiliśmy razem z nią herbatę - Jill westchnęła.

- To miejsce może się spodobać. Nie wiedziałam, że sąsiadujesz z zamkiem.

-Robię, co mogę.

Pomyślała nagle o czymś. Powinna może poczekać, aż zobaczy się z tym człowiekiem w Londynie, ale Rick mógł mieć znajomych w tych samych kręgach, w które zapuszczał się pułkownik, by znaleźć kolejne ofiary. Choć Lettice nie chciała nic mówić Rickowi -podobno zawsze zdawał się na władze -Jill postanowiła, że odważy się na jedno „nie-winne” pytanie.

- Czy znasz może niejakiego pułkownika Fitchwortha-Leedsa? - zapytała, a następnie szybko dodała. - Poproszono mnie, bym mu przekazała pozdrowienia, gdy będę tutaj.

Przez dłuższą chwilę Rick patrzył na nią.

- Nie. Nigdy o nim nie słyszałem.

- Och! - Sama usłyszała nutę rozczarowania w swym głosie.

Spojrzał w górę przez baldachim dębowych liści, a następnie zaczął się cofać po stoku, trzymając za sobą pęknięcie.

-Nie ma chmur. Potrzeba nam deszczu. No, desze się, że mogłaś obejrzeć zamek. Ascombe'owie to porządni ludzie.

Miło było omal nie wpaść na ciebie, ale teraz proszę mi wybaczyć. Naprawdę muszę popracować nad tym gaźnikiem w drugiej ciężarówce.

-Oczywiście -powiedziała cicho, dotknięta jego nagłym pożegnaniem. Najpierw głaskał ją po twarzy, a potem ją odprawił z kwitkiem.

Ponownie zniknął w garażu. Jill odwróciła się tyłem i zaczęła iść w kierunku domu. Z każdym krokiem wzmagala się jej złość. Nie wiedziała, czy bardziej przejmują się tym, że Rick ją odrzucił, czy też tym, że nie jest jej to obojętne. Niezależnie od prawdy, ten człowiek potrafił spowodować, że

czuła się jak uczennica przebywająca pierwszą cielecą miłość.

-Teraz nie pora na rozrywki -powiedziała sobie raz jeszcze.

Jutro razem z Lettice miały spotkać się z człowiekiem, który być może mógłby jej pomóc. Jeśli by nie mógł, wtedy sama musiałaby spróbować. Była już tak blisko, że głupotą byłoby nie spróbować. Mało kto wierzył w dbanie o rodzinną reputację, ale jej na tym zależało. Cholera, te szmaragdy miały być jej, w ramach istniejącego od wieków dziedzictwa

Dancforthów. Każde pokolenie sprawowało pieczę nad naszyjnikiem przez całe swoje życie, a następnie przekazywało spadkobiercom. Niestety, nie miała dużo czasu, w związku z nową pracą i przyjęciem z okazji rocznicy. A do tego była jeszcze kwestia bardzo niepokojącego i niebezpiecznego Ricka Kitteridge'a. Miała przeczucie, że ta cała wyprawa skończy się katastrofą i, co gorsza, przeczuwała, że ma rację.

ROZDZIAŁ III

Słońce nadal kryło się za horyzontem, choć pierwsze promienie już docierały na ziemię.

Ze szczytką do włosów w reku Jill otworzyła w sypialni okno i wychyliła się, głęboko wdychając świeże, poranne powietrze.

Jeszcze nigdzie w Anglii nie widziała na oknach siatki ochronnej. Z drugiej strony, nie było też komarów i nikomu nie zdawało się przeszkadzać sporadyczne brzęczenie pszczoły w salonie.

Nie zastanawiając się nawet, co robi, przejechała szczotką po włosach. Myślała o tym, że zapowiadał się piękny dzień. Ale tak naprawdę nie interesowała ją pogoda. Chciała Myśleć tylko o jednym -o Ricku Kitt-eridge'u i o niedoszłym pocałunku z poprzedniego dnia. Przeszedł przez nią dreszcz na wspomnienie tego, jak ich ciała się dotknęły, jak niewinność przemieniła się w zmysłowość. W tamtej chwili zapomniała o wszystkim. Gdyby spytano, jak ma na imię, nie potrafiłaby udzielić odpowiedzi. Przed zaśnięciem długo leżała i myślała, co by było, gdyby on ją naprawdę pocałował. Boże broń, gdyby tak się stało. Coraz bardziej zdawała sobie sprawę z niezwykłego połączenia dystynkcji i seksu u Ricka. Co gorsza, interesował ją jako człowiek. Ten mężczyzna był... Nie wiedziała, kim był ten mężczyzna i lepiej by było, żeby się nie dowiadywała. W każdym razie powinna zajmować się raczej tym, jak ma z Lettice dostać się do Londynu.

Jakiś ruch na trawniku zwrócił nagle jej uwagę. Spojrzała w dół i ujrzała Ricka, który przemierzał pustą trawiastą przestrzeń, gdy owce zabrano gdzieś, indziej na noc. Szedł nieświadomy swego męskiego wdzięku, spokojnego i pełnego zmysłowości. Owinęła się szczelniej bawełnianą koszulą nocną, zdając sobie nagle sprawę z własnego ciała i z fali pożądania, która przepełniła jej żyły. Trzymał miskę, którą postawił na ziemi mniej więcej na środku trawnika.

Następnie oparł się o pień dębu i czekał.

Zaintrygowana, Jill wsparła brodę o rękę i patrzyła. Po kilku chwilach z zagajnika drzew po drugiej stronie trawnika wyłonił się rudy lis. Jedną z tylnych łap trzymał sztywno wyciągniętą. Na trzech pozostałych przeszedł swobodnie przez trawnik, jakby pokonywał te drogie przez całe swoje życie. Za nim szły dwa małe, mniej śmiałe niż ojciec. Kiedy dorosłe zwierze dotarło do miski, powąchało zawartość, a następnie odsunęło się nieznacznie i stanęło na czterech łapach. Widząc aprobatę rodzica, maleństwa rzuciły się w kierunku miski, milcząco współzawodnicząc o posiłek.

Jill patrzyła zafascynowana, wstrzymując oddech w obawie, że jakkolwiek ruch z jej strony, nawet z tej odległości, odstraszy zwierzęta. W końcu dorosły lis pochylił się nad miską, pożerając to, co zostało. Cała trójka powęszyła wokół, by upewnia się, że niczego nie przeoczyła, a następnie spokojnym krokiem skierowała się z powrotem ku drze-

wom. Nawet po zniknięciu lisiej rodziny, Rick pozostał pod dębem. To, że nakarmił te zwierzaki było tak nieoczekiwane, tak... pełne czułości. Przypomniała sobie lata pracy w filadelfijskim zoo i zapragnęła nagle znaleźć się przy Ricku. Narzuciła na siebie szlafrok i ruszyła w dół po schodach, zapinając go po drodze. Gdy już była na zewnątrz, podeszła do niego powoli. Przyglądał się jej przez cały czas, ale tym razem nie mogła odgadnąć, co kryje się w jego wzroku.

-Widziałaś je -powiedział cicho, kiedy do niego dotarła.

-Tak. Były piękne. -Utkwiła wzrok w zaroślach po drugiej stronie trawnika, ale nic nie zobaczyła. Była sama z Rickiem o jasnym świecie. -

Czy one wróca?

-Skoro się najadły, to już nie -odparł śmiejąc się. -Choć muszę przyznać, że maluchy są coraz śmielsze. Kiedyś George musiał im przynosić jedzenie, bo baly się wyjść z ukrycia.

Spojrzała na niego.

-George?

Przytaknął.

-Matka nie żyje, jak myślę. Zanim wiosną urodziły się małe, Fiona przychodziła regularnie z George'em. Od tego czasu pojawiła się dwa razy i już nigdy więcej. To George opiekuje się rodziną.

Jill uśmiechnęła się ze smutkiem.

-Z odrobiną pomocy od przyjaciela.

-Karmię go od czasu, gdy był mały. Tylko nikomu nie mów. Zostałbym wyrzucony z tutejszej knajpy. Panują tu wiejskie przekonania i lisa uważa się za drapieżcę. Myślę sobie, że jeśli go karmić, to zostawi w spokoju moje baranki. Tak też robi, a do tego zmniejsza ilość szkodników na polach. No, ale nie kuszę go hodowlą kur. Wydaje mi się, że George nie wytrzymałby tego. A Daisy nie wytrzymałaby, by go nie atakować, więc nocą muszę ją zamykać albo trzymać razem z owcami.

- To logiczne. Jak nazywają się małe?

Wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie dałem im imion.

Nie nabrała się na to.

- Boisz się, że jeśli tak zrobisz, to się do nich przywiążesz, czy tak?

-Wiodą niebezpieczne życie -przyznał, uśmiechając się z powodu jej spostrzegawczości. - George miał złamaną łapę.

Zrastała się powoli i sędzę, że trzyma ją sztywno raczej z przyzwyczajenia. Często zastanawiałem się, czy złapał się w jakieś sidła. Utraciliśmy zbyt wiele lisów przez powiększanie się ferm oraz przez środki owadobójcze. Wydaje mi się, że trzeba coś zrobić, byśmy wszystkich nie utracili.

Przytaknęła, wzruszona jego słowami.

-Kiedyś było ich mnóstwo w Pensylwanii, ale teraz zupełnie zniknęły z mojej okolicy z powodu powiększenia się obszarów podmiejskich. — Żałuje, że tak się stało.

-Jeśli chcesz, możesz przychodzić oglądać je każdego ranka, przez resztę swojego pobytu -zapropnował. George i maleństwa zjawiają się punktualnie o brzasku.

Uśmiechnęła się, skuszona zaproszeniem, nie chcąc przyznać się, że to nie tylko dzikie lisy ją przyciągały.

-Może tak też zrobię.

-Mam nadzieje.

Jego głos zmienił się, stał się bardziej miękki. Swobodny i koleżeński nastrój powoli zmieniał się w coś niepokojącego. Z jednej strony, jakiś głos wewnętrzny kazał jej uciec, z drugiej -rozpaczliwie pragnęła ulec niebezpiecznym uczuciom.

-No, a dlaczego ty nigdy nie znalazłeś sobie partnerki? spytała lekkim tonem. Tłumaczyła sobie, że było to naturalne pytanie, a nie podyktowane palącą ciekawością.

Wykrzywił się, a następnie chrząknął.

-Właściwie, to co do jednej czy dwóch myślałem, że... ale nie spodobało im się życie na wsi.

-Były stuknięte -odparła Jill. -Chyba nie może być lepszego życia niż twoje. Pracujesz w zgodzie z naturą, głęboko zakorzeniasz się w ziemi. Utrzymujesz innych w sposób, który od wieków się nie zmienił. I wiesz, kim jesteś. A mnie często wydaje się, że drepcze w miejscu, w jakimś szalonym święcie, że tak naprawdę, to wcale nie żyje. Pewnie jestem typem średniowiecznej dziewczyny.

Zaśmiał się.

-Powinno być więcej takich, jak ty.

Poczuła się nagle niezręcznie i pożałowała, że nie poskromiła swej ciekawości.

-A co z tobą, Jill? -spytał. - Czy zostawiłaś kogoś w domu?

- Jestem rozwiedziona.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Wzruszyła ramionami.

- Jest.

- Czy było to gorzkie?

-Byłam głupia - odrzekła, dziwnie zirytowana jego zainteresowaniem.

-On miał obsesje zdobywania pozycji dzięki pieniądзом, nie wykluczając moich. Nie zdawałam sobie sprawy, jak mało zależy mu na czymkolwiek, dopóki nie sprzedał swego rodzinnego domu bez chwili wahania, tylko dlatego, że dostał odpowiednią cenę. Zostawił mnie, gdy już nie robiłam dobrego wrażenia. Jeśli nagle ktoś uważa, że się nie nadajesz, to w końcu też przestaje cię to interesować.

Przerwała, zdając sobie sprawę, ile o sobie ujawniła. Dlaczego po prostu nie skłamała, nie powiedziała, że ma kogoś, albo że brak jej na to czasu? Musiała chyba zostawiać rozum w Stanach.

Rick patrzył na nią, a te jego cholerne oczy trzymały ją na uwieży i dostrzegały najdrobniejszy ukryty szczegół. Dotknął jej policzka, zupełnie jak poprzedniego dnia. Ruch ten był tak czuły i tak nieoczekiwany, że tym razem poddała się swym uczuciom. Zamknęła oczy i delectowała się tym, jak trzymał palcami jej brodę, a potem jak podnosił jej igłowe do góry. Nigdy w życiu nie pragnęła bardziej pocałunku niż w tej chwili. Wszelkie rozsądne myśli odfrunęły, gdy zakrył jej usta swoimi.

Pocałunek był z początku delikatny i podniecający w swej subtelności. Jego miękkie usta szukały jej i oczarowywały. Wiedziała, że powinna stawiać opór tej słodczy wiedziała, że nie było to właściwe, ale Rick przyciągnął ją bliżej. Jej piersi przyciskały się do jego koszuli. Ręce Ricka osunęły się po plecach, mocno przytulając ją do niego. Ich języki spotkały się, a ciepło jego ust usunęło resztki jej oporu. Jęknęła cicho i objęła go swymi ramionami, czerpiąc przyjemność z siły, jaką odczuwała pod jego prostą tweedową marynarką.

Skóra Ricka była ciepła w dotyku i palce Jill przesuwaly się po gęstych włosach spadających na kark. Pocałunek stał się bardziej natarczywy, wywołując gęstniejącą mgłę pożądania.

Pieścił jej kręgosłup i lekka bawełna w żaden sposób nie chroniła przed wrażeniami, które wywoływał. Jego palce okrążyły jej ramie, a następnie powędrowały wzdłuż boku, aż dotarły do krągłości piersi. Czuła,

że krew wolniej płynie w jej żyłach. Nie myśląc o czymkolwiek innym oprócz jego dotyku, odwróciła się w stronę jego reki.

Jej ciało zdawało się jędrnieć w dłoniach Ricka, a sutek twardniał pod wpływem zręcznej pieczyoty jego palców.

Jęknęła... i zdała sobie sprawę z tego, co robi.

Otworzyła oczy w tej samej chwili, gdy on przerwał pocałunek.

Odsunął się i sztywno powiedział.

-Przepraszam. To się nie powtórzy.

-Oczywiście, że nie -zgodziła się, żałując, że to nie ona pierwsza odskoczyła. Jak mogła być taka głupia?

-Nie wiem, co mi się stało -dodał. -Jesteś gościem w moim domu, a ja zachowałem się nieodpowiednio. Już się więcej nie zapomnę.

„Jest zbyt dżentelmeński -pomyślała. -Zupełnie jakbym to ja mu się narzucała, a zasady dobrego wychowania wymagały, by on wziął winę na siebie". Powinna być wdzięczna, że właśnie obiecał nie wracać do tej sprawy. Należało trzymać się od niego z daleka. Dlaczego więc była zirytowana, czuła, że czegoś jej odmówiono?

Zmusiła siebie, by niedbale wzruszyć ramionami.

-Jesteśmy wolni Mamy wiosnę. Nie przejmuj się tym, Rick.

-Zgoda.

Zmarszczył brwi. Jill wykrzywiła usta, ale odsunęła od siebie wszelkie wahania. Nastąpiła chwila, kiedy mogła wreszcie z wdziękiem posłuchać rozpaczliwego głosu wewnętrznego, który nakazywał jej uciec od Ricka.

-Powinnam wrócić do środka.

Przytaknął.

-O tak, a ja muszę wracać do roboty. Przyjdę potem na śniadanie.

-Świetnie.-Powoli odeszła, szczerzej owijając się bawełnianym szlafrokiem. „Dwór Diabła rzeczywiście zamieszkiwał diabeł -myślała -a na imię mu było Rick Ketteridge”.

-Strajk na kolei!

Rick przytaknął, zdziwiony osłupieniem obu kobiet.

-Dzisiaj jest dzień strajku kolejowego. Nie będziecie mogły pojechać pociągiem do Londynu

Jill pokiwała głową.

Czy to zdarza się raz na tydzień?

-Regularnie. -Uśmiechnął się, zachwycony tym, jak jej nos marszczył się, gdy robiła chmurną minę. Wcześniej tego ranka wyglądała młodo i bezbrinnie w bawełnianej koszuli. Materiał był miękki w dotyku. Ona zresztą też. Teraz wyglądała bardzo elegancko w delikatnej, niebieskiej, wełnianej sukience, która przylegała wszędzie tam, gdzie trzeba. Zupełnie tak, jak jej usta w tamtym gorącym pocałunku. Jeszcze nigdy przedtem śniadanie nie było tak przyjemne.

- My, Brytyjczycy -dodał -jesteśmy zbyt dobrze wychowani, by całkowicie się obezwładnia, więc tylko pozwalamy sobie na trochę strapienia. Przecież zawsze możecie zwiedzić stolicę jutro.

-Kiedy my musimy... -Jill przerwała nagle, zawahała się, a potem powiedziała: -Chciałam rzec, to zupełnie zmieni nasz plan zwiedzania.

-Wygląda na to, że jednak będziesz musiała prowadzić, Jill -stwierdziła Lettice, wzdychając ze zrezygnowaniem. -Będę pilotem.

- Ratunku -mruknęła Jill.

-Nikt nie będzie pilotem -powiedział ostro Rick. Obie kobiety podniosły brwi na dźwięk jego tonu. Zdał sobie sprawę, że były zupełnie zdecydowane jechać, tak czy inaczej.

Westchnął i w myślach pożegnał się z fermą. -Jeżeli już musicie jechać, to ja was zawiozę do Londynu.

-Nie! -równocześnie krzyknęły Jill i jego babka. Spojrzały się na siebie przerażone.

Podjejrzenia Ricka wzrosły.

-Wiem, że jesteś bardzo zajęty -powiedziała Jill.

W związku z fermą i...

-A ja wiem jaka jesteś zmęczona po podróży. - Przerwał jej.

-Nic mi nie jest. -Uśmiechnęła się promiennie. -Czuje się dzisiaj wręcz wspaniale Jest piękny dzień. Nie martw się, uda mi się dowieźć twoją babcie do Londynu i z powrotem bez problemu.

-Zapominasz, że widziałem, jak próbowałaś mnie przejechać...

-Skąd miałam wiedzieć, że czaisz się w garażu? -spytała z oburzeniem.

-Nie mogłaś tego wiedzieć -przyznał, a potem spojrzął na nią wściekle.

-A zresztą ja nie chciałem się. Podróż do Londynu to długa droga, a ty dopiero co ją pokonałaś.

Nie chciał wspominać o wydarzeniu przy garażu, nie chciał myśleć o tym, jak pierwszy raz dotknął jej atlasowego ciała i jak pragnął go coraz więcej. Wtedy jużomalże jej nie pocałował -ale napomknęła niedbale o jakimś mężczyźnie, z którym miała się zobaczyć. Wywołało to w nim taką zazdrość, jak u nastolatka o pierwszą dziewczynę. I to doprowadziło tego ranka do pocałunku. Spełnił on wszelkie oczekiwania i stworzył mnóstwo innych. Ona nim zawładnęła.

Teraz musiał odzyskać panowanie nad sobą, nie miał żadnych praw i nie powinien być w jakimkolwiek stopniu nią zainteresowany. Ponadto należało zwracać uwagę na to, co

ona i babcia kryły skwapliwie przed nim. Miał wrażenie, że nie wróżyło to nic dobrego.

-Rick, nie bądź nierozsądny -powiedziała słodko jego babka. -Masz Przecież ferwę, którą trzeba się ciągle zajmować...

-O, właśnie mam na takie okazje zarządę -odciął się.

-A ja powiedziałam, że jestem w stanie prowadzić. -Jill stanowczo włączyła się do rozmowy. Miała zaciśnięte zęby, a w jej oczach widać było błysk ledwo powstrzymanej złości.

Zdał sobie sprawę nieoczekiwanie, że miała całkiem żelazną wolę.

Przyznał, że ta dyskusja była absurdalna. Jednakże odrobina rozsądku nie wystarczyłaby, by ją zakończyć.

-Albo ja was zawiozę, albo poczekacie, aż pociągi będą znów kursować, gdyż wyjmę kluczyki z twojego wozu, żebyś nie mogła prowadzić. A teraz skończmy z tym niemądrym zachowaniem.

Przez dłuższą chwilę Jill milcząco wpatrywała się w niego, a następnie usiadła wygodniej na krześle i dotknęła ust serwetką.

Stwierdził zafascynowany, że ruch ten był niezmiernie ciekawy i że mógłby go obserwować przez cały dzień.

Zmrużyła nieznacznie oczy. Była to jedyna oznaka tego, że przyszedł jej nowy pomysł do głowy. Przekreśliła się nieco i obdarzyła go łaskawym uśmiechem.

-No, to ty będziesz prowadzić.

-No i dobrze.

Problem tkwił tylko w tym, że nie czuł się najlepiej. Miał

natomiast przecucie, że właśnie dał się na coś nabrać. I wcale mu się to nie podobało.

„Dlaczego on musi być tak cholernie atrakcyjny?” -zastanawiała się Jill, której myśli powędrowały od kryształowego wazonu z Waterford, który trzymała, do profilu Ricka.

Kątem oka widziała, jak z uwagą przygląda się wystawie.

O jego minie mogła wnioskować na podstawie ledwo widzialnej linii brwi i lekkiego skrzywienia ust. Szczeka Ricka zarysowywała się wyraźnie. Palce Jill same się garnęły, by dotknąć i badać jej kształty. Wiedziała, że jego usta mogły być delikatne, a zaledwie w chwili później wymagające. Oba rodzaje pocałunku dręczyły ją od rana. Czuła je na swych wargach, na swym ciele. Marzyła, że ją całował, nie omijając żadnego fragmentu jej ciała, a namiętność powoli wzmagala się...

-Nie myślałem, że pójście do sklepu Liberty's można zaliczyć do zwiedzania.

Jill omal nie upuściła wazonu, gdy jego głos wdarł się w jej marzenia. Przez kilka chwil rozpaczliwie żonglowała wazonem, zanim nie chwyciła go pewnie.

Uśmiechnął się.

-Jeśli to stłuczesz, będziesz musiała dać wszystko, co masz, pod zastaw.

-I to pewnie dwukrotnie -zgodziła się, bezlitośnie powstrzymując fale ciepła, która uderzyła jej na policzki. Już to, o czym myślała, było złe, a jeszcze by tego brakowało, żeby Rick się o tym dowiedział. Nie godziła się na to, by on i jego pocałunki, obojętnie -prawdziwe czy wymyślone wyprowadzały ją z równowagi. Usiłowała zapanować nad roztrzęsionymi nerwami i uważnie odstawiła wazon na półkę. -Zdecydowałyśmy się na przerwę w zwiedzaniu, by pójść na zakupy, Ricku.

-Ale Przecież jeszcze nawet nie zaczęliśmy porządnego zwiedzania.

Znowu patrzył na nią natarczywie. Westchnęła w głębi duszy, Rick był zbyt spostrzegawczy i atrakcyjny. Doszła do wniosku, że musi jakoś sobie poradzić z tymi jego spojrzeniami.

Zbijały ją z tropu. On ją zbijał z tropu. Zamiast trwonić czas, analizując jego pocałunek, powinna myśleć o tym, jak się od niego uwolnić i dotrzeć do pana Havalana w Whitehall. Do spotkania została zaledwie godzina. „Jeśli zaraz nie zaczniesz się „improvizacja”, to będą kłopoty” - stwierdziła.

-No dobrze, więc prawda brzmi tak -powiedziała. -Mamy zamiar obra-
bować sklep. Jesteś zadowolony?

-Niezmiernie. -Ale pokręcił głową.

-Gdybyś pozwolił mi prowadzić... -zaczęła...

Dotknął jej ust palcem wskazującym. Czowała, że w środku cała płonie.

Zmusiła siebie, by stać spokojnie i nie zdradzać swej reakcji.

Rick cofnął palce, jakby był oparzony.

-Już się o to kłóciliśmy.

-Rzeczywiście. -Przeszła do innego działu domu towarowego.

Rick szedł za nią. Zmarszczyła czoło i rozejrzała się za Lettice.

- Czy jesteś zadowolona ze swej pracy w zoo? -spytał.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, a następnie skierowała wzrok gdzie
indziej.

-Tak. Jest fantastyczna i w dodatku niczego nie można przewidzieć.

Dlatego jest taka świetna.

-Chodzi ci o zakochane osły.

Przytaknęła, skupiając uwagę na przedmiocie, który miała przed sobą...

dopóki nie zdała sobie sprawy, że przygląda się biodrom męskiego ma-
nekina, stojącego przy wystawie

z porcelaną. Skierowała się natychmiast w stronę niewinnego kompletu
szklanek kuchennych.

-W ogóle o zwierzęta -odpowiedziała, chrząkając. -Nie jest to systema-
tyczna praca w biurze. Mam też odczucie, że mogę coś zmieniać na
świecie, a to miłe. Po prostu podoba mi się ta robota.

Rick podniósł nóż leżący na wystawie, a potem go odstawił.

- Czy cieszy cię myśl o nowej pracy?

-Tak. -Westchnęła, przypominając sobie, co musiała zrobić, zanim bę-
dzie mogła wrócić i ją rozpocząć.

-Nie wyglądasz na zbyt uszczęśliwioną.

-Ale jestem. -Rzuciła mu szybkie spojrzenie, zastanawiając się, jak do-
trze do pana Haviłana bez jego towarzystwa.

Przecież nawet w komiksach bohaterowi zostawiano trochę swobody. A
gdzie podziała się Lettice?

Zaczęła się niedbale odsuwać od Ricka, jakby miała zamiar pooglądać
inne wystawy. On jednak posuwał się za nią. Najwyraźniej miał zamiar
iść wszędzie tam, gdzie ona.

Jego obecność wywoływała w niej panikę. Próbowwała pomyśleć

rozsądnie, ale w głowie miała tylko durną rozmowę, jaką Rick odbył z Grahame'em po śniadaniu. Grahame chciał, by Rick kupił nowy serwis stołowy do kuchni, skoro już będzie w mieście. Gdzie, do cholery, była Lettice? I dlaczego nie mogła uwolnić się od tego atrakcyjnego faceta i dotrzeć do pana Haviłana? Sprawa naszyjnika wydawała się tak daleka.

Jill zamarła nagle w bezruchu.

- Co jest? - spytał Rick, odwracając się, gdy ona się zatrzymała.

- Grahame - odparła, łapiąc Ricka za rękę i ignorując ciepło, jakie poczuła przy dotknięciu. Kierując się do lady powiedziała: - Chciał, żebyś kupił nowy serwis. Skoro tu jesteśmy, to go kupmy.

- Nie. Grahame może to zrobić! - zaprotestował Rick, żywo stawiając opór. - Ja nie wiem, co wybrać, Jill.

- Oj, przestań marudzić! - Ponownie rozpoczęła wędrówkę w stronę lady.

- Poza tym, Grahame tak naprawdę nie spodziewa się, że ty to kupisz, więc nastawia się, i będzie mógł do woli narzekać. W ten sposób przechytrzysz go i będziesz wdzięczny babci, że chciała najpierw iść na zakupy.

- To prawda. A tak w ogóle, to gdzie jest babcia? - spytał, rozglądając się wkoło.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała ekspedientka, poprawiając swe różnokolorowe włosy. Najwyraźniej nowomodne szaleństwo ogarnęło i Londyn.

- Ten pan chce kupić nowy serwis kuchenny - powiedziała Jill.

- Z porcelany, ceramiki, syderytu czy wzmocnionego szkła?

- Nie wiem - powiedział zagubiony Rick.

- Proszę mu wszystko pokazać - zaproponowała Jill. „Jeszcze tylko minuta” - pomyślała, i odsunęła chwilowy wyrzut sumienia.

Kobieta wyjęła kilka rodzajów naczyń i zapuściła się w długie objaśnienia zalet każdego z nich. Rick słuchał grzecznie.

Jill poklepała go po ręce.

- W takim razie pójdę poszukać Lettice.

Przytaknął.

Uśmiechnęła się i czmychnęła. Jak tylko przekroczyła próg działu, ktoś złapał ją za rękaw.

- Czekam tu już od piętnastu minut! - warknęła Lettice.

-Pomyślałam, że może jeśli się zgubie, to przyjdiesz mnie znaleźć.
Jill zaśmiała się.

-Widać podobnie myślimy. A teraz chodźmy.

Rick zmiął kartkę i rozejrzał się po sklepie, a potem przyjrzał się znów kobiecie, która mu właśnie przyniosła wiadomość. Wyglądała na przestraszoną.

-Jak dawno wyszły? -spytał, wściekły, że gdy babka i Jill wreszcie zdecydowały się na zwiedzanie, to on był zajęty dyskusją o naczyniach kuchennych. Kartka zawierała polecenie, aby je spotkał za dwie godziny w muzeum figur woskowych Madame Tussaud's. Zdecydował, że gdy wróci do do-mu, zabije Grahame'a.

-Niedawno wyszły, proszę pana -powiedziała ekspedientka.

-Tak mi przykro...

-Dobrze. -Odwrócił się szybko i skierował do drzwi.

-Widziałam, jak wsiadały do taksówki! -zawołała za nim dziewczyna.

Rick, zdenerwowany, zdusił w sobie przekleństwo i szedł dalej. Nabrał się na sprytny rozumek i delikatny uśmiech. I na fantastyczne ciało. Jego babka też robiła z niego idiotę. Jeśli sądził wcześniej, że te dwie kobiety coś knuły, to teraz potwierdziły się jego podejrzenia.

Miał zamiar być przed muzeum wcześniej. Coś go dręczyło w związku z tym miejscem. Odsunął to od siebie, dochodząc do wniosku, że nie może się doczekać, by usłyszeć, jak Jill i jego babka wytłumaczą ten numer.

-Dobra robota, Jill -powiedziała Lettice, uśmiechając się zadowolona, gdy wreszcie znalazły taksówkę.

-Bez przesady -odparła Jill, pogrążona w poczuciu winy.

To było straszne, tak porzucić Ricka, ale Przecież nie miała wyboru. Jego przenikliwe spojrzenie wprawiało ją w coraz większe zakłopotanie i już prawie miała zamiar wyznać mu wszystko. Chryste, ale byłby z niego dobry śledczy. To jego spojrzenie w stylu Rudolfa Valentino zapewne powodowało, że kobiety przed nim padały na kolana. Ona też miała ochotę tak zrobić.

Chciała znowu poczuć jego pocałunek, jego ręce pieszczące jej ciało...

Jill zastopowała wędrujące myśli, gdyż błądziły po obszarach, które lepiej było pozostawia nietknięte. W domu czekała na nią świetna nowa praca, a przed sobą miała świetne nowe życie. Nie miała zamiaru wszystkiego zniszczyć, pozwalając sobie na wakacyjny romans. Nawet gdyby mogła. Rick powiedział, że to się nie powtórzy. Wierzyła mu. Zdawała sobie sprawę z tego, że był człowiekiem honorowym. Czowała się coraz bardziej winna i stłumiła w sobie jęk.

-Czy myślisz, że ekspedientka przekazała mu kartkę, którą zostawiłyśmy? .

-Oczywiście -odrzekła Lettice. -Była młoda i uczciwa, a ponadto dałam jej za to dziesięć funtów. A propos, co tam napisałaś?

Jill z ciężkim sercem patrzyła na wolno sunące samochody.

Dwudziestominutowy spacer do Whitehall zmienił się w czterdziestopięciominutową wyprawę. Nie było możliwe, żeby zdążyły na czas.

-Tylko tyle, że skoro on jest zajęty zakupami, to my jedziemy dalej i że może do nas dołączyć o trzeciej przed Madame Tussaud's.

-A czemu tam? -krzyknęła Lettice.

Jill zarumieniła się.

-To było jedyne miejsce, jakie mi wpadło do głowy i które nie było blisko biura Havalana.

Lettice się uśmiechnęła.

- Od trzydziestu lat nie byłam u Madame Tussaud's. To może być zabawne.

-Jeśli tego dożyjemy -mruknęła Jill, pełna złych przeczuć.

ROZDZIAŁ IV

-No, jesteś wreszcie! Dlaczego nie stoisz w kolejce po bilety?

Rick poczuł, jak trząse się ze złości po takim powitaniu i stwierdził, że w srebrnej głowie jego babki wszystko się pomieszało.

-Gdzie, do jasnej cholery, byliście?

Lettice podniosła brwi.

-Nie mów do mnie takim tonem, Rodericku Kitteridge.

Ty musiałeś zrobić zakupy, a my musiałyśmy zwiedzać, więc zwiedzałyśmy. Prawda, Jill?

-Prawda.

Zwrócił uwagę na monotony głos Jill. Przyjrzał się jej bliżej i był zdziwiony widząc, jak była zmęczona. To tak jakby ktoś jej odebrał cały życiowy entuzjazm. Podczas jego nieobecności coś się musiało wydarzyć, co wyprowadziło ją z równowagi. Złość ustąpiła i spojrzał wkoło na tłum ludzi, tłoczący się na ulicy przed popularnym muzeum figur woskowych.

To, że przez ostatnią godzinę spacerował wzdłuż kolejki i przeklinał, przeklinał i spacerował, nie wydawało się już teraz takie ważne. Nie podobało mu się, że Jill coś dolega i poczuł nagłą potrzebę chronienia jej. Podszedł bliżej, jakby chciał wziąć ją pod swoją opiekę.

- Co się stało?

Przez chwile wyglądała jak osaczone zwierze, a potem otrząsnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nic. Powinniśmy stanąć w kolejce, bo inaczej nigdy nie wejdziemy.

-A dlaczego w ogóle mamy tam wchodzić? -spytał.

-Dlatego, że nie byłam tu od trzydziestu lat -powiedziała ostro Lettice. -
Więc przestań zachowywać się jak kwoka, która zgubiła swe małe i ustaw się w kolejce.

-Naprawdę chcesz iść do Tssaud's? -spytał z powątpiewaniem.

Byłby w stanie zrozumieć, że chcą iść na przykład do sklepu Harrods, albo do Galerii Narodowej, albo do Hotelu Savoy na herbatę, ale do muzeum figur woskowych?

-Tak, naprawdę chcę iść do Tussaud's –warknęła jego babka. I nie mam ochoty, abyś z tego powodu mnie egzaminował. A teraz ustaw się wreszcie w tej cholernej kolejce.

Rick westchnął. Spojrzał na Jill, która popatrzyła z kolei na niego i uśmiechnęła się.

-No, dobrze -powiedział. -Ustawmy się wreszcie w tej cholernej kolejce.

Położył rękę na ramieniu Jill, by pomóc jej iść w ślad za babką. Skóra młodej kobiety była chłodna w dotyku, ale wywołało to uczucie niespodziewanej bliskości. Gdyby trochę, tylko trochę, przesunął palce,

trafiłby na jej pierś. Przypomnił sobie, jak czuł, że ją rozpala pożądanie... pożądanie, które on wywołał.

Odrzucając te myśli od siebie, pochylił się i szepnął.

-Słuchaj, babcia nie byłaby w stanie czegokolwiek przed nikim zataić, nawet gdyby od tego zależało jej życie i tobie z pewnością nie uda się mnie oszukać. Co jest grane? Gdzie byliście?

Jill spojrzała szybko na niego i nie udało jej się ukryć do końca ogarniającej ją paniki.

-Zwiedzałyśmy. Lettice miała dość czekania na ciebie.

Chciała pojechać dalej. Nic się takiego nie stało, Ricku.

-Byliście same w obcym mieście...

Spojrzała zniecierpliwiona.

-Nie rób z nas takich bezradnych turystek. Są lata dziewięćdziesiąte, Ricku, i naprawdę jesteśmy w stanie znaleźć drogę.

Stracił cierpliwość.

-Do cholery, Jill. Samochód jest na parkingu, oddalonym o kilka kilometrów, autobusy są pełne, a taksówki prawie nieuchwytnie w związku ze strajkiem. A co by było, gdybyśmy się minęli? Albo gdyby któraś z was miała kłopoty?

Jak mogłaś pozwolić na to, by moja babcia, tak ot sobie, gdzieś powędrowała? Dlaczego nie wróciłaś po mnie?

-Przepraszam.

Gapił się na nią, czując, jak wytrąca mu bron, w tym przypadku słuszną złość, z ręki.

-Przepraszam -powtórzyła stanowczym głosem. -Nie zdawałam sobie sprawy, że tak się tym przejąłeś.

- Czym on się przejął? - spytała Lettice, gdy ustawili się za nią na końcu kolejki.

-Niczym -odpowiedział półgłosem Rick, czując się nagle rzeczywiście jak stara kwoka. Miał absolutne prawo się martwić, ale, ku jego rozgoryczeniu, one go wymanewrowały. Zaczynało im to już wchodzić w nawyk.

Przeszły mu przez myśl zjadliwe uwagi Grahame'a na temat jego nagłej wyprawy do Londynu tego ranka. Już od lat nie opuszczał fermy i okolicy - dopóki nie zjawiała się Jill.

Teraz wystarczył mu jakikolwiek pretekst, by się wyrwać.

Trzeba było zostać w domu, z dala od oszałamiających kobiet.

Sprawiły tylko kłopot.

W ramach drobnej zemsty, gdy już znajdowali się w środku muzeum, dopiął tego, by jego babce zrobiono zdjęcie obok figury Benny Hilla. Lettice zmarszczyła brwi, stanowiąc tym samym świetny kontrast do szelmowskiej postawy Benny'ego.

Jill schyliła głowę, śmiejąc się.

-Teraz twoja kolej -powiedział Rick, uradowany jej śmiechem.

-Dzięki, ale nic z tego -stwierdziła, cofając się przed nim i fotografem. Nadziała się na gitarę Elvisa Presley'a. - Tego mi było trzeba: gwałtownego przebudzenia.

-No, chodź. -Namawiał ją, zdając sobie sprawę, że Jill się stopniowo rozwesela. Rumieniec powrócił na policzki dziewczyny, a jej oczy błyszcząły.

-Tylko, jeśli ty zrobisz sobie zdjęcie z Bennym -odparła.

-Ależ Jill, to ty jesteś turystką tutaj, a nie ja. -śmiejąc się dał radę złapać ją za rękę i pociągnąć do przodu. -Będziesz potem mogła namawiać wszystkich znajomych w domu, by odgadli, kto jest prawdziwą figurą woskową.

Wykrzywiła się.

-Jaki jesteś elegancki, Rick. Przypomnij mi, żebym potem dołała alkoholu do herbaty.

Zaśmiał się. Nawet by się zbytnio nie przejął, gdyby tak rzeczywiście zrobiła. Cieszył się, że jest znów spokojna i wesoła.

Przez cały czas zwiedzania głównej sali jej dobry nastrój utrzymywał się, szczególnie gdy Rick „niewinnie” oparł się o kolumnę, by nabrać ludzi, że jest tylko figurą woskową.

Było już na sali kilka takich woskowych postaci, które wyglądały na zwykłych turystów, odpoczywających na ławce czy oglądających wystawę.

Jednak gdy szli dalej przez muzeum, czuł się nadal odsunięty od ich wspólnej tajemnicy. Odkąd tylko przybyły, Jill była najwyraźniej zderwowana, a babcia chwilami zachowywała się tak, jakby cierpiała na starczą demencje. Już sam fakt podróży przez Atlantyk bez informowania o tym kogokolwiek, był zupełnie dla niej nietypowy, a dochodziła do tego scena, jaką urządziła przed Madame Tussaud's tylko dlatego, że mogliby nie wejść do środka.

Gdy tak zastanawiał się nad ich tajemniczym zachowaniem, męczyła go dziwna lokalizacja umówionego miejsca spotkania. Przyszło mu nagle na myśl coś strasznego. Nawet prawie doskonała kopia Cher w sukni, którą miała na sobie z okazji uroczystości wręczania Oskarów nie była w stanie odwieść go od myśli, że okolica ta znana była równie jako dzielnica najświetniejszych lekarzy w całym Londynie. Harley Street była oddalona zaledwie o kilka przecznic i nadal tam przyjmowali najlepsi specjaliści świata. Nie tylko Brytyjczycy zgłaszali się do nich na badania.

Kiedy ujrzał swą babkę, pogrążoną w przedziwnej rozmowie ze starszym francuskim małżeństwem na temat pośmiertnych masek Ludwika XVI i Marii Antoniny, wykorzystał okazje i chwycił za rękę Jill. Zaciągnął ją w głąb ciemnego i wilgotnego „lochu”, znajdującego się w podziemiach Madame Tussaud's, aż doszli prawie do przejścia, stanowiącego rekonstrukcję wiktoriańskiego Londynu z czasów Kuby Rozpruwacza.

-Moja babcia jest chora, prawda? -dopytywał się. - To dlatego przyjechałyście tak nagle. To dlatego tobie tak zależy na spotkaniu z moim ojcem, czyż nie mam racji?

Jill otworzyła ze zdumienia usta. Rick zdał sobie sprawę, że jego wniośki zupełnie ją zaskoczyły.

- Ja... ja... ach... nie bądź śmieszny! -wykrzyknęła. -Lettice jest zdrowa jak ryba.

-Zewnętrznie tak. To tylko... Jill, czy ona jest w pełni władz umysłowych? -Żałował, że wybrał tak źle oświetlone miejsce na te rozmowę. Nie był w stanie dostrzec wszystkich zmian na jej twarzy.

-Ależ bzdura! Nie masz powodu tak myśleć tylko dlatego, że pomieszały się jej daty podróży. To się każdemu może zdarzyć.

Ale Jill, zanim odpowiedziała, zawahała się i to wystarczyło, by go utwierdzić w przekonaniu. Serce w nim zamarło.

-Lepiej nic jej nie mów o swych przypuszczeniach -dodała, kiwając głową. -Zastrzełiłyby cię pewnie z miejsca.

„Dodatkowe potwierdzenie” -pomyślał, wdychając głęboko powietrze. Wiedział, że babka wstydziłaby się przyznać, że jest chora. Dopóki by nie musiała. Najwyraźniej Jill była bardziej zaufaną przyjaciółką niż myślał. Równie wyraźnie zrozumiał, że miała mu nic nie mówić. Podziwiał jej poczucie honoru.

Nieświadomie gładząc jej gładką skórę, pomyślał, jak wiele w niej podziwiał. Powinien ją puścić. Naprawdę powinien.

Obiecał przecie., że nie będą... ale tak bardzo pragnął znów poczuć jej smak. Patrzyła na niego, jej oczy były szeroko otwarte i nie mógł z nich nic odczytać. Pochylił się nad nią.

-No wiecie, czy nie mogliście znaleźć lepszego miejsca na przytulanie się niż muzeum?

Rick odwrócił się szybko i ujrzał szeroko uśmiechniętą Lettice. Obok przechodziło francuskie małżeństwo i mgła nie zdołała przesłonić ich rozbawionych min.

-Nie przytulaliśmy się -powiedział rozdrażniony, odrywając palce od ramienia Jill.

- Szkoda. Wyglądało to ciekawie.

- Jeszcze trochę, Lettice -odparta Jill -a pokażę wszystkim w domu twoje zdjęcie z Benny Hillem.

Lettice prychnęła pogardliwie.

- Ja tylko komentowałam to, jak wyglądaliście tak stłoczeni razem.

-Chodź już -powiedział Rick, biorąc Lettice za łokieć.

Trudno było uwierzyć, że jego ruchliwą i żywotną babcinę powoli zżerała poważna choroba. Wyleczą ją. Muszą. Zmusił się do naturalnego zachowania.

-Tam dalej są przedstawieni najgorsi przestępcy świata. Jestem pewien, że będzie to idealne miejsce dla ciebie. Jill zdusiła w sobie śmiech i odchrząknęła.

-Przepraszam.

Rick kiwnął głową, ogarnięty nagle zapachem jej perfum.

I jej sposobem poruszania. I tym, jak jej usta powoli rozszerzały się, gdy się uśmiechała. Żałował, że rzeczywiście nie złapano ich na przytulaniu się.

Z wszystkich tajemniczych spraw, z którymi musiał sobie ostatnio radzić, Jill była najbardziej intrygująca.

„Mózg mi się zmęczył” -pomyślała Jill, powoli wypuszczając z płuc powietrze, gdy szła za Rickiem i Lettice. Nie było to zdrowe, by wpaść na genialnie szalony pomysł w tej samej chwili, gdy Rick ją dotykał. Cały czas pilnowała się, aby zapanować nad nieokiełznaną potrzebą rzucenia mu się na szyję i przytulenia mocno do niego, szczególnie wtedy, gdy wyglądał tak, jakby rzeczywiście miał zamiar ją pocałować.

Omali nie padła, gdy przypomniła sobie imitacje koron, które miała na głowach woskowa rodzina królewska w głównej sali. Całe szczęście, Lettice się akurat wtedy zjawiała, odwracając uwagę Ricka i dając Jill tym samym możliwość rozwinięcia swego genialnie szalonego pomysłu.

Pan Havilan okazał się być roztrzepanym człowiekiem z roztrzepanym wąsikiem i roztrzepanym rozumkiem. Nie było z niego żadnej pociechy. Lettice omali nie spowodowała wyrzucenia ich z jego biura, gdy nazwała go „biurokratycznym urzędnikiem”.

-Proszę pani, ja nie jestem biurokratycznym urzędnikiem! -warknął, obruszając się.— Co ja mogę poradzić na to, że matka pani Dancforth podpisała akt sprzedaży, czyniąc tym samym transakcję całkowicie prawomocną. Gdyby istniały dowody na to, że jest on oszustem, niewątpliwie coś bym mógł zrobić. W tej sytuacji mego tylko ostrzec władze, że jest on człowiekiem podejrzanym i że należy w przyszłości mieć go na oku.

Pan Havilan nie powiedział Jill nic nowego. Ale i tak nie było to przyjemne.

No, ale przecież miała nadal i swój naszyjnik z brylantów, i ten będący imitacją szmaragdowego - tak doskonałą, że jubiler, który nie miał przy sobie lupy, dałby się nabrać. Miała zamiar nie tylko zdobyć dowody, potrzebne panu Havilanowi, ale ponadto odzyskać klejnoty Dancforthów i doprowadzić tym pułkownika do szału. Wszystko zależało tylko do tego, czy da się podprowadzić pułkownika, by oszukał córkę, jak przedtem zrobił to z jej matką. Miała przeczucie, że nie będzie mógł się tej pokusie oprzeć.

Był tylko jeden drobny problem. Musiała najpierw znaleźć Fitchwortha-Leedsa. Doszła do wniosku, że nie powinno to być aż tak trudne. W końcu Teksas był dwa razy większy od Anglii, a Pat Garrett znalazł Billy Kidda.

Czując się o niebo lepiej, dogoniła Lettice i Ricka, i wśliznęła się między nich. Rzuciła przelotne spojrzenie na woskowe figury wielkich przestępców, których złapano i ukarano.

To nie był czas na zwątpienie.

-Kto chce zwiedzić londyński Tower? -spytała. -Mam ochotę wreszcie zobaczyć jakieś prawdziwe klejnoty.

Jill Dancforth była niebezpieczną kobietą.

Z tego faktu Rick dobitnie zdawał sobie sprawę od czasu powrotu z Londynu przed trzema dniami. Jednym pocałunkiem wyrzekł się wszelkiego rozsądnego zachowania. Wściekły z powodu traktowania, jakie ją spotkało ze strony nieczulego męża, chciał jej udowodnić, że naprawdę była piękna i pociągająca. No i dlatego ją pocałował. A teraz już było po tym pocałunku ... i dotyku... i przekonaniu, że ma racje, trzymając ją w ramionach... i po jej reakcji. Jeszcze nigdy przedtem nie pochłonęła go tak szybko jakakolwiek kobieta.

Jej pobyt zburzył jego królestwo. Niezależnie od tego, jak długo pracował, zawsze odczuwał jej obecność z chwilą wejścia do domu. Nie chciał się przyznać przed sobą, jak bardzo to go cieszyło. Podobnie nie był ze sobą szczery, co do tego, jak często przypominał sobie jej wygląd tamtego ranka, gdy wybiegła z domu w skromniutkim szlafroku, a jej włosy rozsypywały się wokół twarzy, którą pokrywał poranny rumieniec. To, że przyszła wtedy dla Geogre'a i małych w żaden sposób nie zmniejszało znaczenia tego wspomnienia. Do końca rozbroiły go właśnie te wspólnie spędzone spokojne chwile.

Powinien być na nią wściekły, że zostawiła go w Londynie, że ukrywała przed nim to, co się działo z jego babką. Ale nie potrafił. Jedyne, o czym myślał, to tamten pojedynczy pocałunek. Przypominał sobie o nim co noc, gdy w drodze do swej sypialni przechodził obok jej drzwi. Jill Dancforth była jak zakazany owoc -raz zakosztował i pragnął więcej.

-Mógłby pan trzymać owce trochę mocniej. Bo nie odpowiadam za pańskie palce.

- Co? -Rick spojrzął się w górę i zobaczył, że jego najlepszy fachowiec od strzyżenia owiec patrzy na niego ze zdenerwowaniem. Zdał sobie sprawę, że w ogóle nie uważał, chociaż jego zadaniem było przytrzymanie młodej owcy w czasie jej pierwszego strzyżenia. Nagle warkot nocy i beczenie przerażonych owiec straty się ogłuszające.

-Bert, przepraszam bardzo.

Fachowiec kiwnął głową.

-W przyszłym roku nie będzie nam aż tak brakowało rąk do pracy, więc już ci się nie trafię jako pomocnik -obiecał Rick.

-Ano mam nadzieję - odparł Bert, szczerząc zęby.

Rick parsknął, zły na samego siebie, jednocześnie przeklinał w duchu zarządcę, który uważał, że do tego zadania wystarczy dwóch ludzi. Zwierzęta były zbyt zwinne i zbyt wystraszone, by dały się z łatwością ostrzyć. Chwycił mocniej owce i zdecydował, że lepiej będzie trzymać się z dala od Jill. Do tego wniosku doszedł już wcześniej. Wiedział jednak, że szaleństwem byłoby zaczynać romans z góry skazany na jedynie kilkutygodniowy .żywoť.

- Palce, proszę pana.

Rick uśmiechnął się i przesunął rękę.

-Dostałbym nauczkę, gdybym się zaciął.

Później tego dnia Rick stwierdził, że ślubowanie unikania Jill miało skutek odwrotny. Jak tylko wszedł do domu przez tarasowe drzwi w jadalni, spotkał się z nią. Choć raz był wdzięczny Grahame'owi za restrykcje, dotyczące „brudnych kaloszy”. Ponieważ. zmienił buty przed wejściem, nie śmierdział zbyt owcami.

-Nadal tu jesteś? -spytał. - To znaczy, myślałem, że razem z babcią coś będziecie zwiedzać. Uniosła brwi.

-Nie dziś.

-Świetnie-wymamrotał, myśląc o tym, jak sam jej widok mógł wywołać roztargnienie. Miała na sobie koszulową bluzkę w paski i spodnie. Materiał opinał piersi, a miejsce złączenia się jej nóg stanowiło idealną literę „v”...

-Ricku, czy mogłabym z tobą przez chwilę porozmawiać? -spytała.

-Jasne -powiedział półgłosem, rozpinając w myślach każdy guziczek jej bluzki, by odsłonić ałasowe ciało.

-Chodzi o to... -Zarumieniła się, jakby wiedziała dokładnie, o czym myśli. Miał nadzieje, że jednak nie. Mówiła dalej. -W domu twoja babcia jest zawsze taka aktywna, wydaje mi się, że bardzo by chciała obcować z innymi ludźmi w trakcie swego pobytu, poznać może niektórych z twoich znajomych. Byłoby świetnie, gdybyś mógł ją zabrać w różne miejsca. Gdziekolwiek. Wiesz, co mam na myśli.

Przytaknął, myśląc, że to dobry pomysł. Babci pewnie by się przydało nieco rozrywki po wizycie u lekarza. Trzeba było samemu o tym pomyśleć. Powinien spędzać z nią więcej czasu, póki jeszcze... tu była.

Chciał tego. Musiałby jakoś znosić

przy tym obecność Jill. Wydawało mu się to bardzo przyjemnym obciążeniem.

-Masz rację -powiedział. - Ja sam nigdzie nie bywam, szczególnie o tej porze roku, ale chyba uda mi się coś dla niej załatwić. -Westchnął. - Będę musiał porozmawiać z zarządcą.

W uśmiechu Jill widać było ulgę. Po chwili odwróciła głowę.

-Dzięki. Wiem, że ona będzie wdzięczna. Ja zresztą też.

Chciała odejść lecz złapał jej ramię, by temu zapobiec.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że było to błędem, gdy jego palce dotknęły jej gołej skóry. Postanowił jednak zburzyć mur skrepowania, jaki powstał między nimi.

-Musimy porozmawiać -zaczął, wpatrując się w jej szeroko otwarte oczy. Zbijało go z tropu ich podobieństwo do Morza Północnego zimą, dzikiego i niemożliwego do przewidzenia.

-O czym? -Jej głos był ochryply. .

-O tamtym pocałunku.

-Już o tym rozmawialiśmy. -Nerwowo zwilżyła usta.

Miało to niesamowity wpływ na Ricka. Przyciągnął ją do siebie, dopasowując jej usta do swoich. Były tak słodkie i niebezpieczne, jak w jego wspomnieniach. Jęknęła, a dźwięk ten spowodował oszałamiające pulsowanie krwi w jego żyłach. Przejechał powoli rekami po jej ramionach, najpierw w dół, a potem w górę, i jej skóra była jak gładki aksamit, o którym zawsze myślał, ilekroć ją dotykał. Usta Jill rozchyliły się. Dotknął jej języka swoim...

Nagle energicznie się odsunęła. Pocałunek został przerwany, a ona odwróciła głowę.

-Rozmawialiśmy o tym.

-Do jasnej cholery! -powiedział, puszczając ją. Sytuacja stała się napięta.

-To była uwaga, czy opinia? -spytała, odsuwając się poza jego zasięg.

-To było przekleństwo, dotyczące moich manier. Przepraszam.

-Odsunął włosy, spadające mu na czoło, zauważając mimochodem, że są za długie. Przypomnił sobie też ,jak jej palce wkręciły się wzmierz-wione kosmyki.

- Czy ty zawsze jesteś taki uprzejmy? -spytała.

Spojrzał na nią.

-Co?

-Ciagle przepraszasz za jeden drobny i niewinny pocałunek...

-Nie był ani drobny, ani niewinny -odrzekł, uśmiechając się szeroko.

-Tak się po prostu... stało. -Upomniała go głosem coraz bardziej zdenerwowanym. -Więc już się nie przepaszajmy i nie analizujmy tego w nieskończoność, dobrze?

Uśmiechał się nadal, czerpiąc przyjemność z żaru, jaki najwyraźniej w niej wywoływał.

-Świetnie wiesz, jak rozładować sytuację.

Rozluźniła się.

-No, bo ty jesteś taki...

-Uprzejmy? -zasugerował.

-Właśnie.

-Zachowywałem się jak na dzentelmena i dobrego gospodarza przystało.

-Wiem o tym.

- To dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

- Bo jestem Amerykanką i mam obowiązek podtrzymywać panujące przekonanie o naszych złych manierach. Jestem zdenerwowana, ponieważ. Wygląda na to, że z tej igły robi się widły.

-A może -zaczął, czując potrzebę podejscia do niej bliżej. -A może nie jest to po prostu igła, bo był to cholernie dobry pocałunek. Zresztą tak samo, jak poprzedni.

Cofnęła się.

-Ricku.

- Co? -Zbliżył się, czując, jak serce wali mu coraz szybciej.

-Co ty robisz?

-Nie wiem. -Nie wiedział, dlaczego to robi, chyba, że korciło go, by udowodnić, iż pocałunek ten nie był tylko pocałunkiem. Chciał wykazać, że nie tylko jego wyprowadził z równowagi „jeden drobny i niewinny pocałunek”.

Jill opierała się o stół jadalny, a Rick był tak blisko, że widział odbicie jej pleców na wypolerowanej powierzchni blatu. Były jakby stworzone po to, by obejmowały je męskie ręce.

- ...i te cholerne trufle muszą być świeże, bo inaczej to wszystko smakuje jak kiepski angielski klej.

Drzwi otworzyły się w tej samej chwili, gdy Grahame dokończył zdanie. Lettice weszła do jadalni

-Ach, tu jesteście -powiedziała.

-Właśnie tu -odparł Rick, który stał już z drugiej strony pokoju, tak daleko od Jill, jak było to tylko możliwe, uwzględnivszy te kilka sekund, jakie upłynęły między usłyszeniem głosu Grahame'a, a otwarciem drzwi. Nie widział powodu, by dostarczyć Grahame'owi i Lettice jakichkolwiek informacji, w szczególności na temat Jill, które by mogli wykorzystać.

Jeśli robił z siebie idiotę, to wołał to czynić bez świadków. Uśmiechnął się nonszalancko do swej babki.

- Co gotujecie? -spytała Jill.

-My nie gotujemy, kochana pani, broń Boże! -wykrzyknął Grahame, wznosząc ku górze ręce. -Omawiamy jedną z moich kreacji kulinarnych.

Jill schyliła głowę przepraszająco.

-Pokornie proszę o przebaczenie.

-Nie musisz -stwierdził Rick. - I tak połowa jego kreacji smakuje jak kiepski angielski klej.

-A twój repertuar składa się z kiełbasy, tłuczonych ziemniaków i rozwalających się jajek.

Rick zacisnął zęby. Od pięciu lat jeszcze nie udało mu się odciąć Grahame'owi. A jego jajka nigdy nie były rozwalające się... raczej „luźne”.

- Czy może w czymś przeszkodziliśmy, kochanie? - spytała Lettice, patrząc na niego domyślnie.

-Nie, ja właśnie wchodziłem, by zająć się papierkową robotą.

-A ja właśnie wychodziłam -dodał Jill. Wykorzystała moment, by wysliznąć się na taras.

- Czy nikt nie korzysta z drzwi wejściowych? -spytał Grahame.

Rick wzruszył ramionami.

-Wygłąda na to, że ty i Jill świetnie się dogadujecie -skomentowała Lettice, wyglądając na zadowoloną z siebie.

Ponownie wzruszył ramionami, zastanawiając się, co ona tak naprawdę widziała. Podeszedł do drzwi na korytarz.

-Jeśli nie macie nic przeciwko temu...

- Zobacz, czy swego uczucia do cyferek nie mógłbyś przenieść na damy, chłoptasiu -powiedział Grahame. -Przydałoby ci się.

Rick wniósł błagalnie oczy. Nie otrzymując jakiegokolwiek pomocy, uciekł do swego gabinetu, słysząc ciągle donośny śmiech Grahame'a.

Jill wyciągnęła głęboko powietrze, próbując zwolnić rozszalały rytm serca. Spojrzała w kierunku tylnego tarasu, na którym jedli wtedy bez pośpiechu śniadanie. Wydawało jej się, że było to przed wiekami, a nie zaledwie kilka dni temu.

I pomyśleć, że wtedy sądziła, iż ma problemy.

-No, ale chociaż. się zgodził -powiedziała półgłosem, odsuwając od siebie wszelkie poczucie winy z powodu umiejętnego pokierowania Rickem. Lettice rzeczywiście będzie zadowolona, że wyrwie się z Dworu Diabła i pozna znajomych Ricka. Nie było powodu, żeby się czuła nie w porządku tylko dlatego, że zakładała, i przyjaciele Ricka będą obracać się w tych samych kręgach, co pułkownik. Chciała po prostu upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wreszcie posunie się do przodu, jeśli chodzi o sprawę odzyskania naszyjnika, a do tego spełni dobry uczynek.

Zupełnie inną kwestią było to, jak odparowała pocałunek Ricka. Dobrze, że to zrobiła. Lepiej było się nie angażować -gdyby tak się stało, nie mogłaby spojrzeć sobie prosto w oczy. Im bardziej się do niego zbliżała, tym bardziej było prawdopodobne, że odkryje prawdę. I tak w końcu wyjdzie ona na jaw, gdy Fitchworth-Leeds zostanie schwytany. Ale wolałaby być z powrotem w Stanach, w pełni zajęta świetną nową pracą i możliwie jak najdalej od pana na włościach, gdy to będzie miało miejsce. Wiedziała, że on będzie wściekły.

Jill zamknęła oczy, wspominając zetknięcie się ich ust.

Omial go nie czuła. Narastało w niej pożądanie na myśl o jego silnych rekach pieścących jej ciało, o tym, jak przycisnął do siebie jej piersi, o miotających nią odczuciach...

-Wyglądasz na zadowoloną.

Jill wzdrygnęła się, gdy głos Lettice wniknął w jej zakazane marzenia. Mniej zadowolona chyba być nie mogła. Odchrząknęła.

-Cieszę się tylko, że jest taka ładna pogoda.

-Mnie się wydaje, że zbiera się na deszcz -odparła starsza kobieta, wpatrując się w mroczne chmury, zaciemniające pagórki poniżej Bishop's Cleve.

-Cieszę się, póki deszcz nie pada -poprawiła się Jill, hamując rumieniec.

- Jeszcze o tym właściwie nie rozmawialiśmy - powiedziała Lettice, uśmiechając się czule -ale nie sądzę, że powinnaś już wyjeżdżać, Jill. Nadal jestem wściekła na Edwarda za jego postawę, gdy mu powiedziałam, jak bezużyteczny okazał się ten oferma Havilan.

-Powiedział, że jeśli ten oferma nie będzie w stanie nam pomóc, to na pewno nikt inny tego nie zrobi -przypomniała jej Jill. -I tak było to z pewnością dyskusyjne.

-Cóż, przykro mi, że nie udało nam się pomóc ci w załatwieniu sprawy naszyjnika, ale sądzę, że dobrze ci zrobiło wyrwanie się na trochę z domu. Już czas najwyższy, by twoja matka odpowiadała za swoje czyny. Od lat jej rodzina i przyjaciele wyciągają ją z tarapatów. Nie popełniaj tego samego błędu. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, by odzyskać dla niej klejnoty -nawet więcej, niż musiałaś.

Jill westchnęła.

-Wiem.

Lettice poklepała ją po plecach.

-Mam zamiar tu zostać, dopóki Edward nie wróci z Moskwy.

Ty będziesz tu też na pewno mile widziana. Zrób sobie mały urlop. Mój wnuk byłby bardzo zadowolony, gdybyś została. Polubił cię, widzę to. Może uda nam się wymyślić inny sposób działania. Mogę zadzwonić do Edwarda i spytać, czy nie zna kogoś innego, kto by mógł...

-Nie, Lettice. Nie. Wszystko już przepadło. Chyba potrzeba mi teraz nieco spokoju. Czy jesteś pewna, że nie sprawię kłopotu, jeśli zostanę?

Lettice przytuliła ją do siebie. Jill poczuła się tak, jakby dopiero co wypełzła spod skały

-Tak, jestem tego pewna. Wydaje mi się, że to bardzo rozsądne z twojej strony. No, ale zawsze sądziłam, że masz sporo oleju w głowie. Całe szczęście, odziedziczyłaś to po ojcu. „Gdyby tylko Lettice wiedziała, co naprawdę planuję pomyślała z goryczą Jill. Gdyby tylko Rick to wiedział.

Na szczęście, nigdy się nie dowie - chyba że po jej wyjeździe.

ROZDZIAŁ V

- Czy sądzisz, że gdyby odwrócić to do góry nogami, miałyby jakiś sens? -spytała Jill, przedstawiając jednocześnie rzeźbę na drugą stronę.

Mosiężna bryła z niezliczoną ilością wybrzuszeń wyglądała dokładnie tak samo, jak przedtem.

- Jest to kiermasz na cele dobroczynne zorganizowany przez kościół św. Piotra - powiedział Rick. - Powinnas udawać, że znalazłaś prawdziwy skarb.

- Trzeba przyznać, że skarb ten jest dość bezwartościowy.

Wyciągnęła portfel i skierowała się w stronę straganu, przy którym stały organizatorki, by im zapłaciła. Rick poszedł razem z nią. Bezustannie prześladował jej myśli i ją samą. Nie mogła się od niego uwolnić, nie mogła też wrócić do równowagi od momentu ich pierwszego pocałunku.

Nawet teraz, idąc do straganu, zdawała sobie sprawę z tego, że jest tu za nią - czujny, omal nie zaborczy. Tak, jakby miał do niej prawo.

Dwie kobiety z miasteczka obsługujące stragan, uśmiechnęły się i przyjrzyjmy pieniądze, przyglądając przy tym dokładnie

jej i Rickowi. Drażniło ją to, ale niestety nie tak bardzo, jak sądziła.

Rick oparł się o blat, niepomny na spojrzenia kobiet. Wyglądał na rozbawionego. - Czy chcesz wynaleźć inny bezwartościowy skarb? spytał.

Jill zmusiła się do uprzejmego uśmiechu z uwagi na obecność kobiet.

- Ależ oczywiście. To Przecież wszystko w szlachetnym celu. Wyprostował się i pożegnał z pomocniczkami, które, o dziwo, zachichotały.

Tym razem złapał Jill za rękę. Była świadoma bliskości jego ciała.

Wiedziała, że powinna szukać pułkownika i realizować swój plan. Gdy jednak miała wymierzyć sprawiedliwość, była podenerwowana. „No, dobrze - przyznała - po prostu boje się. Ale musiała się tego podjąć, gdyż w przeciwnym razie nigdy nie odzyska szmaragdów.

Nie chciała myśleć o tym, co Rick sobie pomyśli. On o niczym nie wiedział i sytuacja ta była zadowalająca. No, ale w związku z nim i jej planem oszukania pułkownika, czuła się tak, jakby .zonglowała zbyt wieloma piłeczkami naraz. Była zafascynowana Rickiem pod niezliczonymi względami. Aż nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę z obecności jego wysokiego i szczupłego ciała, gdy był w pobliżu. Jego niski głos z nienagannym brytyjskim akcentem był w stanie przyprawia ją o dreszcze. Nawet nie chciała przypominać sobie, jak reagowała na jego spojrzenia, na godzinne opowieści o domu, o fermie i o swym życiu.

Potrafił ją też rozśmieszyć i to było najbardziej niebezpieczne ze wszystkiego. Lettice w żadnym wypadku nie pomagała, znikając ciągle w kuchni, by przyrządzić coś razem z Grahame'em, szalonym smakoszem na Dworze Diabła. Jak na razie, Jill udawało się unikać Ricka przez odnowienie znajomości z czterema brytyjskimi programami telewizyjnymi: BBC 1, BBC 2 i pokrewnymi 4, choć już miała ich serdecznie dosyć.

Teraz wreszcie mogła realizować swój plan, by odnaleźć pułkownika, ale zupełnie nie była w stanie trzeźwo myśleć.

-Już nie przyglądasz się George'owi -powiedział nagle Rick.

Tak nie było. Ona tylko stawała teraz daleko od okna, by Rick nie mógł jej widzieć, gdy lisy przychodziły na śniadanie.

Nie miała jednak zamiaru informować go o tym.

-Nie chce ich spieszyć.

-Nie spieszysz ich.

-Jestem dla nich obca. Gdyby mnie zobaczyły, mogłyby już więcej nie przyjść.

Próbowała skupić się na przedmiotach, wyłożonych na stołach, ale rozmaite lampy, stopy stęchniających książek i zakurzonych wyrobów ze szklą zlewały się razem.

-Sądze, że zaakceptowałyby cię. Czy chcesz wrócić do siebie, nie zobaczywszy ich z bliska?

Nie, nie chciała. Problem nie polegał jednak na wyjściu na dwór, by ujrzeć lisy, ale na tym, co później mogło z tego wyniknąć.

Musiała unikać zbędnych kontaktów. Te poranne spokojne spotkania, kiedy łączyła ich miłość do dzikich stworzeń, stanowiły niewątpliwie zbędny kontakt.

-Obawiam się, że je wystraszę -stwierdziła, zdając sobie sprawę z tego, że jest to marny wykręt. Zatrzymała się natychmiast i rozejrzała. -

Nigdzie nie widzę Lettice. Czy ona się gdzieś zapodziała?

-Widziałem niedawno, jak szła razem z księdzem w stronę kościoła.

Jill natychmiast skorzystała z nadarzającej się okazji i zaczęła szybciej iść, mówiąc:

-Bardzo bym chciała obejrzeć kościół. Dołączmy do nich.

Kiermasz zorganizowany był na trawniku przy kościele. Gdy obchodzili czternastowieczny budynek, Jill spojrzała w górę. Rzeźbione twarze na otworach kamiennych rynien przeszywały ją oskarżającym wzrokiem.

Rick również spojrzał w górę i uśmiechnął się szeroko.

-Prawda, że są niesamowite?

-No, nie jest to grupka harcerzy.

Wybuchnął śmiechem. Jill przeklęła w duchu. Wspólne dowcipy też zaliczały się do zbędnych kontaktów.

W kościele zamiast księdza powitało ich pobożne milczenie.

Wysokie sklepienie i witraże wytwarzały uroczystą i majestatyczną atmosferę. Jill weszła dalej, pod wrażeniem tego, że kroczyła po posadzce, po której od siedmuset lat chodzili ludzie. Fascynowała ją ta nieprzerwana ciągłość życia w Anglii. Nie umywała się do tego nowa posada w zoo.

Gdyby tu mieszkała, miałyby to wszystko na co dzień. Codziennie przeszłość ożywałaby w kościele, wszędzie. I nie oddzielałby jej wówczas od Ricka ocean.

Na myśl o tym westchnęła, a w chwili potem zdała sobie sprawę, że skoro w kościele nie ma księdza, to też nie będzie tam i Lettice. Byli z Rickiem sami.

-No cóż, wygląda na to, że nikogo tu nie ma - powiedziała z promiennym uśmiechem. -Właściwie to możemy równie dobrze wracać.

-Myślałem, że chcesz obejrzeć kościół -odparł Rick, patrząc na nią w zdumieniu.

Rozejrzała się wokół.

- Jest piękny.

-Kiedy ledwo spojrzałaś na nawę. Sklepienie jest bardzo interesujące. Utrzymuje się w wiosce, że zagubiona córka Katarzyny Parr przed zaginięciem była ochrzczona właśnie tutaj, a nie w kaplicy zamku Sudeley. .

-Naprawdę?! -wykrzyknęła Jill, ponownie rzucając spojrzenie w głąb kościoła.

-Rozejrzyj się, ja dam tymczasem datek na fundusz odbudowy kościoła. W zwyczaju jest, by zwiedzający tak robili w zamian za zerknięcie do środka.

-Tak, wiem o tym. -Poszperała w portmonetce i wyciągnęła banknot pięćofuntowy. - Masz, to na fundusz od wielbicielki.

Rick uśmiechnął się i wyciągnął rękę po pieniądze. Ich palce spotkały się i Jill znieruchomiała. Czekwała, że weźmie od niej banknot, uwalniając ją tym samym ze swoich więzów.

Nie zrobił jednak tego. Spojrzała zaskoczona, gdy powoli zaczął pieścić jej rękę, zaginając swe palce wokół jej, w których ciągle tkwiły pieniądze.

Usiłowała zapanować nad przemożną chęcią spojrzenia na niego... i nie udało jej się. Popatrzyła mu głęboko w oczy, choć równocześnie w głowie kłębiły się tysiące cholernie logicznych sprzeciwów. Żaden z nich nie poskutkował.

Rick wymamrotał coś półszepem, a potem wciągnął ją w swe objęcia. Ich wargi odnalazły się i połączyły w głębokim pocałunku. Poruszał bez pośpiechu językiem w jej ustach.

Rekami obejmował jej plecy i czuła wzdłuż kręgosłupa jego palce. Przeszła przez nią fala pożądania, wywołując głęboko w ciele dreszcz tak intensywny, że a. prawie bolesny. Nieświadoma tego, co robi, przycisnęła biodra do jego ciała, próbując zmniejszyć napięcie. Jego ręka opadła niżej, ugniatając jej miękkie ciało, przyciągając je do siebie.

Jill dygotała, czując, jak opanowuje ją żądza. Pocałunki

Ricka stały się namiętne i doprowadzały ją powoli do szaleństwa, wywołując u niej podobne pragnienia.

Stopniowo powracała zdolność rozumowania, a wraz z nią świadomość tego, jak bardzo go oszukuje. Odsunęła się od niego, zawstydzona swym brakiem rozważli... oraz namiętnością. Co tkwiło w tym mężczyźnie, że tak na niego reagowała?

Doszła do wniosku, że nie spodoba jej się odpowiedź na to pytanie. Zdała sobie nagle sprawę z tego, gdzie się znajduje.

-Mój Boże! Jesteśmy w kościele!

Rick kiwnął głową.

-Myślałem, że już wiesz o tym.

Przyłożyła ręce do policzków, próbując zmniejszyć fale gorąca, która uderzyła jej do głowy.

-Nie powinno się tak robić w kościele, chyba że w trakcie ślubu.

Roześmiał się.

-Nie wiedziałem, że Amerykanie są tak pruderyjni. Tutaj trzeźwiej podchodzimy do tych spraw. W końcu nic się nie stało. Zachowywali-śmy się po prostu szczerze i naturalnie.

-Ricku!

-Jill, całowanie się nie jest grzechem. W przeciwnym razie gorzej by było dla świata, szczególnie skoro to ty byłaś pochłonięta pocałunkami...

-Nie byłam pochłonięta! -wykrzyknęła, odsuwając ręce od twarzy.

-A zatem ten niesamowity pocałunek odbył się w moich marzeniach.

Czy następnym razem mogłabyś też tak poruszać biodrami? Ja naprawdę...

-Ricku! -Spojrzała na niego gniewnie. -Nie będzie następnego razu. Tego też nie powinno być!

Zmarszczył brwi.

-Słuchaj, jestem w równym stopniu jak ty zaskoczony tym, co się stało. A propos, kto tym razem robi z igły widły?

Zacisnęła mocno zęby. Miał całkowitą rację. Z przyjemności a by go za to zamordowała, ale miał rację. Zachowywała się jak nastolatka, przyłapana na gorącym uczynku, a nie jak dojrzała i dorosła osoba, której libido rozszalało się na kilka sekund. No dobrze, więc w grę wchodziły trzy „gorące uczynki” i sporo szalonych minut, ale kto to liczył?

-Żadne widły -odparła, siłąc się na możliwie niedbały uśmiech. Natychmiast poczuła się pewniej. - To tylko przejaw amerykańskiego purytanizmu z mojej strony. Widzisz, nie robię z tego afery.

Uśmiechnął się znacząco i wziął jej pieniądze.

-Idź rozejrzeć się po kościele, Jill, a ja tymczasem poniosą finansowe konsekwencje.

Przeszła się główną nawą, zastanawiając, kto właściwie w końcu ponie- sie konsekwencje?

Przeczuwała, że to nie będzie Rick.

Krocząc przez kościół, Rick wiedział już, że nie będzie na tyle nieroz- ważny, by składać przysięgę po raz drugi. Nie zrobiłby tego żaden męż- czyzna, doświadczywszy pocałunku Jill.

Zastanawiał się, czy ten silny pociąg do niej był spowodowany zbyt długą przerwą w kontaktach z kobietami, czy też żadna inna nie miała

takiego uroku. Jill Dancforth, razem ze swymi nagłymi zmianami nastroju, swym szczupłym dałem i swą namiętnością, doprowadzała go do szału. Nie mógł bez niej wytrzymać.

Przypomniał sobie, jak przed kilkoma dniami wybrali się wieczorem do pubu. Musiał znosić dokuczanie miejscowych bywalców, którzy lubili zwracać się do niego „Jaśnie Panie”.

Okoliczna ludność dość długo nie akceptowała nowoczesnych metod w hodowli stosowanych przez właściciela Dworu

Diabła -dopóki efekty nie stały się widoczne. Ale Jill zaakceptowano natychmiast. Ona wręcz zupełnie swobodnie rozmawiała z sąsiadami.

Męczarnią było dla niego obserwowanie, jak łyka piwo korzenne, a następnie jak oblizuje usta, na których została piana.

Niewątpliwie Ameryka zyskiwała w jego oczach.

Rick wrzucił swoje monety do szkatułki wmurowanej w mur kościelny, a potem złożył na pół szczodłą ofiarę Jill i wepchnął głęboko banknot.

Pomyślał, że wizyta w kościele skłania choć trochę człowieka do szczerości. Potrafił znaleźć setkę dobrych powodów, by nie angażować się w sprawę z Jill, ale z każdym dniem hamulce byty coraz słabsze.

Nadszedł już najwyższy czas, by spojrzeć kolejnej prawdzie w oczy. Nie chciał się hamować.

Kucyki wystartowały i biegły dzielnie.

Jill patrzyła, jak ośmioletni chłopcy trzymali się kurczowo swych małych lśniących wierzchowców w tej zminiaturyzowanej wersji wyścigów konnych.

Na szerokiej łące kucyki porozmieszczano w takich odległościach od siebie, by zmniejszyć do minimum ryzyko nieszczęśliwego wypadku. Żałowała, że nie jest podobnie oddalona od Ricka. Tłum przyglądający się wyścigowi przycisnął ją do jego boku. Ręka Ricka spoczywała delikatnie na jej krzyżu. Próbowwała to zignorować. Usiłowała skupić się na dopingowaniu chłopczyka, ubranego w .ólto-czarny kostium, który właśnie prowadził. To był Thom, syn jednego z dzierżawców na fermie Ricka. Czowała jednak ciągle .ar bijący z reki swego towarzysza i przechodzący przez jej płócienną sukienkę.

Dwa inne kucyki wyprzedziły Thoma i zajął trzecią lokatę

-Chłopak będzie podłamany -stwierdził Rick. -Wiem, że za bardzo na początku poganiał Magnusa, a temu kucykowi nigdy nie starcza sił do końca. No cóż, chyba powinienem pójść go pocieszyć. Zostaniesz tu? Kiwnęła głową, a następnie omal nie straciła tchu, gdy władczo przesunęła ręką wzdłuż jej kręgosłupa, zanim nie schylił się, by przejść pod sznurem wyznaczającym pole.

Patrzyła, jak podszedł do przygnębionego chłopca i pochylił się, by coś mu powiedzieć. Choć rodzice Thoma teżkręcili się w pobliżu, widać było, że słowa Ricka ożywiały chłopca. Najwyraźniej był on dla niego bohaterem.

Jill rozumiała doskonale, jak chłopiec się czuje. Tej sceny mogła nie oglądać. Miała już i tak wystarczające trudności z hamowaniem swej namiętności bez dodatkowych dowodów na to, że Rick był ponadto dobrym człowiekiem. "Cholera -pomyślała. - Ja już o tym wiem. Tak łatwo byłoby zakochać się w nim..., a zarazem byłoby to tak nierozsądne".

Jak mogła być tak absolutnie oczarowana mężczyzną, który przeszkadzał w poszukiwaniach. Indiana Jones nie miał takich problemów, gdy próbował odnaleźć zaginioną arkę.

Gdy wyścig się zakończył, starsze dziewczęta szykowały swe wierzchowce do jazdy pokazowej. Ludzie ściągnęli z kilku pobliskich wiosek, by obejrzeć młodociane zawody hippiczne na kucykach. Miejskowe dzieci poddawały swe zwierzęta próbie rozmaitych konkursów i równocześnie wykazywały się własnymi zdolnościami jeYdzieckimi. Impreza ta miała miejsce na terenach należących do Dworu Diabła, więc Rick był najwyraźniej tegorocznym sponsorem -oto kolejny niezbity dowód jego dobroci.

-Dobry człowiek z Pana Kitteridge'a -stwierdził jeden ze starszych panów stojących obok niej.Tego tylko jej brakowało: potwierdzenia. Wymusiła na sobie uśmiech.

-Tak, na pewno.

- To wy jesteście panią, która do niego przyjechała?

-Razem z jego babcią -dodała twardo.

-Ano tak, tak -mężczyzna kiwał głową. -Ona też jest bardzo dobra.

Jill próbowała ukryć uśmiech rozbawienia. Najwyraźniej człowiek ten nie znał Lettice. Musiała przyznać, że świetnie się bawi na tych zawodach hippicznych.

Miała słabość do dzieci i zwierząt. No, ale powinna szukać swego przeciwnika. Jeszcze nawet nie ujrzała śladu pułkownika Fitchwortha-Leedsa, ale, szczerze mówiąc, nie zawsze była w stanie się całkowicie skupić. Jej umysł i ciało zajmowały się raczej Rickiem. Z drugiej strony zaczynało to być denerwujące, że nie widać pułkownika na jakiegokolwiek z tutejszych imprez, ani też w okolicy.

-Przepraszam bardzo -zwróciła się do starszego mężczyzny. - Czy zna pan może niejakiego pułkownika Fitchwortha-Leddsa?

Człowiek ten kiwnął przecząco głową.

-Nie, nie mogę powiedzieć, bym go znał. Nigdy nie słyszałem o jakimś Fitchworthie czy też Leedsie w tych okolicach, a mieszkam tu przez całe życie.

-Cóż, przepraszam.

„Nie bądź taka rozczarowana” -powiedziała sama do siebie.

Ale nie było to łatwe. Przeżyła już szereg niepowodzeń, wymyśliła plan działania, zmusiła swe zasady moralne do pójścia na kompromis i spowodowała, że Rick oprowadzał ją po okolicy. Dlaczego zatem nie mogła przejść do drugiego etapu? Zostało mało czasu; wkrótce będzie musiała wrócić do siebie, do nowej pracy. Przez żołądek przeszedł skurcz trwogi. Nie może wrócić do domu, jeśli rzetelnie nie spróbuje odzyskać naszyjnika. Nie ma jednak w ogóle szczęścia, jeśli chodzi o pułkownika. Innymi słowy, nie była w stanie go znaleźć, gdy czas wypełniały jej wyprawy do pubów, kościołów i na zawody hipiczne.

-Wyglądasz na przygnębioną -powiedziała jej nagle do ucha Lettice.

Podeszła do niej, gdy Jill była pogrążona w swych myślach. - Co się stało? Czy postawiłaś pieniądze na kucyka, który przegrał?

-Stawki i tak pewnie by były trzysta przeciw jednemu, że wygrał tamten -odparła Jill, śmiejąc się cicho. Lettice uśmiechnęła się.

-Bardzo się to różni od naszego pokazu hipicznego w Devon, prawda?

- To jest lepsze. Tutaj panuje aura niewinności, której u nas jakoś brakuje.

-Chwilami czuje się tak, jakbym znów żyła we wczesnych latach sześćdziesiątych -powiedziała Lettice. -Każdego ranka rozwozi się mleko po domach i ludzie nie czują się jeszcze zbyt pewnie, jeśli chodzi o posługiwanie się kartami kredytowymi. Z kolei ich brukowce są bardziej nastawione na złośliwe ploteczki niż nasze. Zaskakujące, że tolerowane

jest to w kraju, w którym wszyscy są niesamowicie grzeczni. Jill przytaknęła.

- Bardzo mało osób wnosi tu skargi do sądu, bo to jest „w złym tonie”.

- Czy dobrze się bawisz na tych wszystkich dziwnych imprezach, na które Rick nas zabiera? - spytała Lettice z chytrym uśmiechem.

Jill ponownie się roześmiała.

- Tak, to jest w sumie wspaniałe. Atmosfera na wsi angielskiej jest bardzo przyjazna i swojska. Nie sędzę, żeby życie tu się zbytnio zmieniło na przestrzeni wieków.

- Świetnie! - Lettice poklepała ją po plecach. - Cieszę się, że tak ci się tu podoba.

Jill przyjrzała jej się uważnie. Coś zdawało się kryć pod jej słowami.

Nie mogąc niczego wywnioskować z uśmiechu

Lettice, zaniechała rozważań.

- Rick musiał się nieco poświęcić, by nami się tak zająć ciągnęła dalej Lettice. - Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest przywiązany do fermy. Chyba mu to odpowiada. Zawsze żałowałam, że idąc śladami ojca nie zajął się karierą dyplomatyczną. Teraz sędzę, że to by mu nie dało szczęścia.

- Nie, chyba nie - powiedziała Jill, rozglądając się po polu i widząc Ricka rozmawiającego z następną grupą zawodników.

- On niewątpliwie lubi to, co robi.

A ona lubiła patrzeć na niego. Lubiała obserwować, jak chodzi ze swoim męskim i władczym wdziękiem. Lubiała oglądać jego ręce i przypominać sobie, jak dotykały jej ciała.

Stanowił sidła, z których, niezależnie od swych wysiłków, nie mogła się wydostać.

- Tak, masz rację - odparła Lettice. - To jest jego życie i jego znajomi. A ja pochwalam to. Pewnie od czasu do czasu musi już być tak, że nie mam racji.

Słowa Lettice, jak pocisk naprowadzony na cel, dotarły do Jill. To ona wymusiła na Ricku, by wprowadził je w tamtejsze kręgi towarzyskie. A on spisał się pięknie, gdyż w trakcie wszystkich większych imprez przedstawiał im swoich przyjaciół. Więcej nie mogła żądać.

„Dlaczego - pomyślała rozpaczliwie - nie wpadłam na to,

że wersja życia towarzyskiego Ricka i jej wyobrażenie o tej sferze nie pokrywały się wzajemnie? Dlatego zapewne, że byłam cholernie rozkochna w swym gospodarzu".

W okolicy nie mogło być potencjalnych ofiar pułkownika.

Mieszkali tutaj poczciwi ludzie, stanowiący przyjaźnie nastawioną wspólnotę. Byli zamożni, ale nie na tyle, by wyrzucać pieniądze w błoto. Mogła zdać sobie z tego sprawę już tydzień temu w pubie. Zapewne w błąd wprowadził ją miejscowy zamek i lokator z tytułem szlacheckim. Skoro był jeden, to powinni też być inni, prawda?

„Nieprawda” -przysłnęła. Wyglądało na to, że pułkownik wolał, by jego ofiary pochodziły z zagranicy, a nie z wioski we wzgórzach Cotswold.

Harperów spotkał na wyścigach w Ascot, które przyciągały zarówno amerykańskich właścicieli koni, jak i graczy. Co istotniejsze, była to impreza dla ludzi, którzy nie wiedzieli, co zrobić z pieniędzmi. To tam mogłaby znaleźć pułkownika, a nie na odpustach kościelnych i imprezach hippicznych, urządzanych dla miejscowej szlachty. Może zdałaby sobie z tego sprawę na początku,

gdyby jej umysł i ciało nie były skupione na pewnym wyjątkowym, miejscowym mężczyźnie.

-Twój wyraz twarzy dorównuje minom kamiennych potworków na murach kościoła -stwierdził Rick, który wywiązawszy się ze swych obowiązków jako gospodarz, przyłączył się do niej i do Lettice.

-Właśnie o tym samym myślałam -powiedziała Lettice, przyglądając się Jill ze zdziwieniem.

Jill omal nie zawyla, tak zdenerwowała ją własna głupota.

-dzięki. Przyjemnie jest raz na jakiś czas usłyszeć komplement.

Rick zaśmiał się cicho.

-Przykro mi.

„Nie tak bardzo, jak mi” -pomyślała rozgoryczona Jill.

Wymusiła na sobie kolejny uśmiech.

Później siedziała przed telewizorem w małym pokoiku na tyłach domu, gapiąc się bezmyślnie na wiadomości i w duchu wyrzucając sobie brak rozumu. No dobra, więc zmierzała w złym kierunku. Wiedziała chociaż już, że pułkownika nie było w Winchcombe. Ale, jak Anglia długa i szeroka, gdzie miała szukać tego człowieka?

Odpowiedzi dostarczyło jej BBC w reportażu na temat nadchodzących regat w Henley. Jill wpatrywała się w ekran, błogosławiąc ten cud. „Oczywiście” -pomyślała. Jak mogła zapomnieć o regatach Uniwersytetu w Oksfordzie, o największym wydarzeniu w letnim harmonogramie. Jej ojciec wiosłował dla Uniwersytetu Pensylwanii. Ją samą wychowały przystanie wioślarskie w Filadelfii. Z najlepszych uczelni w USA uczestniczyło w regatach w Henley prawie tyle samo amerykańskich drużyn wioślarskich, co angielskich. będzie tam bardzo wielu Amerykanów -takich, którzy mają pieniądze w nadmiarze. Poszłaby o zakład, że pułkownik nie przepuści tej okazji. Teraz musiała tylko zaciągnąć tam Ricka.

Tu tkwiło sedno sprawy.

ROZDZIAŁ VI

-Henley! Na co babci regaty w Henley?

Rick patrzył na Jill tak, jakby postradała rozum. Jak mogła w ogóle myśleć, że on po prostu pojedzie i zostawi całą posiadłość przez tydzień, nie mówiąc już o załatwieniu noclegu, by mogli na miejscu obejrzeć wyścigi wioślarskie Uniwersytetu w Oksfordzie. Obejrzał się na obrzeża ciemniejącego nieba. Razem z dwoma pracownikami zapamiętane wycinał wczesną kapustę, by nie zniszczyła jej nagle burza nadciągająca z Walii, prędkością wiatru bliska huraganowi.

Spojrzał na Jill. Choć tak bardzo lubił jej towarzystwo, teraz, gdy musiał zebrać plon, nie miał czasu na dyskusje.

-Zapomnij o babci -powiedział. -A poza tym nie jesteś ubrana odpowiednio na pole. Zniszczysz buty. Wskazał na kosztowne skórzane pantofelki na płaskim obcasie, które miała na nogach. Jej stopy powoli zapadały się w miękką ziemię uprawną.

Jill rzuciła na nie spojrzenie. Wzruszyła ramionami i ściągnęła buty.

-Nie ma sprawy. A o regatach musimy teraz porozmawiać, bo jeśli postanowimy pojechać, to już dzisiaj trzeba będzie zacząć przygotowania. Liczba mnoga użyta w sposób królewski.

-Cholera, Jill. Została mi niecała godzina, by zebrać te kapustę, zanim nie rozpęta się burza. To eksperymentalna odmiana dla rządu. Wszystko strąć, jeśli ona przepadnie.

-Nie ma sprawy. -Padła na kolana i zaczęła szarpać główkę kapusty, którą miała przed sobą. Roślina nie drgnęła.

-Kurczę, co to?

-Nie tak, musisz przeciąć trzon nożem. -Przejechał ręką po włosach, zdenerwowany tym, ile przez nią traci czasu. -A teraz niszczysz sobie spódnicę.

-Daj mi więc nóż i przestań przejmować się moimi ubraniami.

Nie mam najmniejszego zamiaru rozbierać się tu do

naga. -Wyciągnęła rękę.

-Jill...

-Daj mi w końcu ten cholerny nóż. Marnujesz czas.

Jej makijaż był w idealnym stanie, podobnie jak i włosy.

Spódnicę miała z lekkiego płótna. A jednak oto klęczała w błocie, gotowa wycinać kapustę. Choć było to niedorzeczne, ogarnęło go dziwne uczucie posiadania i dumy. Nie umiał sobie wyobrazić jakiegokolwiek innej kobiety, która by tak energicznie zabrała się do pracy, jak ona.

Miała ponadto rację -on rzeczywiście marnował czas.

-Wy, Amerykanki, jesteście wyjątkowo apodyktyczne stwierdził, podając jej swój nóż. Powiedział sobie, że zbytniej szkody nie narobi, a i tak pewnie podda się po kilku minutach.

-Dziękuję -odparła sztywno, biorąc od niego nóż. Zaczęła siekać trzon kapusty. -A teraz tnij. Musimy zebrać kapustę z całego pola.

-Tak jest, proszę pani

Uklęknął przy grządce i wyciągnął z kieszeni scyzoryk.

Zaczął wycinać główki kapusty jednym zwinnym ciosem w trzon, po czym wrzucał je do kosza. Zgięty w pół, posuwał się powoli wzdłuż równej grządki. Ku jego zaskoczeniu, Jill nie pozostawała zbyt w tyle. Odgarnęła ciemne włosy za uszy, by jej nie przeszkadzały.

Uśmiechnął się szeroko na widok jej miny pełnej skupienia. Spojrzała w górę i zobaczyła, jak na nią patrzy.

-No więc, jeśli chodzi o te regaty... -zaczęła.

Rick jęknął. Nie dość, że była apodyktyczna, to jeszcze,

gdy chciała, potrafiła dopuszczać do siebie tylko jedną myśl.

Skoro jednak ratowali plon, temat rozmowy był mu obojętny.

-A dlaczego to babcia chce tam pojechać?

-Aby spotkać znajomych. Mnóstwo ludzi ze Stanów przyjeżdża na te wyścigi. -Odgarnęła opadające włosy. - Poza tym, gdzie twój duch wychowanka uniwersytetu? A może ty byłeś w Cambridge?

Spojrzał na nią z wściekłością za taką świętokradczą myśl.

-Musisz wiedzieć, że swego czasu zdobyłem dla Oksfordu nagrodę, będąc w drużynie, która ściagała się z naszymi głównymi rywalami z Uniwersytetu w Cambridge.

-Wiosłowałeś?

Przytaknął i zamachnął się na trzon kapusty.

-Wtedy daliśmy popalić wiosłarzom z Cambridge.

- To więc przesądza sprawę. Teraz musimy pojechać.

Jakże by chciał. Regaty w Henley to nie był wyścig między Oksford i Cambridge czy nawet międzyuczelniane wyścigi, mające miejsce w tym tygodniu semestru. Były jedyne w swoim rodzaju Drużyny z całego świata przybywały, by uczestniczyć w imprezie w Henley. Jego nóż zastygł w bezruchu,

a on przez chwile pozwolił sobie na przypomnienie widoku mężczyzn w blezerach z lamówkami i ubranych w letnie sukienki kobiet spacerujących po przybrzeżnych ścieżkach, proporców powiewających na wietrze od rzeki oraz zsynchronizowanych ruchów wiosłarzy. Od lat nie oglądał regat. Nigdy nie wziął na nie swojej babki. Może już nigdy nie nadarzy się ku temu okazja. A ponadto, pojechałby razem z Jill...

-Ricku! -Rozbawiony głos Jill przerwał jego myśli. -Znowu marnujesz czas.

Uśmiechnął się ze skruchą i ponownie zajął się wycinaniem kapusty. Przez jakiś czas pracowali w milczeniu.

-Czuje się jak ta Chinka w filmie „Dobra Ziemia” - skomentowała w końcu Jill, która teraz raczej cięła, a nie siekała. Była w połowie grządki, on zaś już rozpoczął drugą. Dodała: -Pamiętasz, że postanowiła zwyciężyć nad Naturą i zebrać plon przed burzą.

-Miała też wtedy bóle porodowe.

-Nie mówiłam, że czuje się aż tak do niej podobna. Ale to jest nawet fajne. Au! Cholera!

Rick podniósł głowę znad kapusty.

- Co jest? Skaleczyłaś się?

- Nie, złamałam paznokiec. Cóż, trudno.

-Zbyttno przecenia się ładne ręce -powiedział usłużnie.

„Całkiem dobrze jej idzie jak na dyletantkę' -pomyślał, ponownie przepełniony dumą. Teraz jednak chmury prędko nadciągały, a wiatr stawał się zimny i wilgotny. Wyglądało na to, że zamiast niecałej godziny będą mieli tylko pół, ale za to była szansa, że zanim rozpocznie się ulewa, zbiorą większość kapusty z jednoakrowego pola.

Uniosła w górę brwi.

-Mistrzowsko prawisz dwuznaczne komplementy, Ricku. Przechylił głowę.

-Dziękuję ci. Dziękuję też za pomoc.

-Sądzę, że jesteś moim dłużnikiem. Nie masz wyboru musisz zabrać swoją babcie i mnie na regaty. No, ale to już ustaliliśmy.

Wiedział, że musi oprzeć się tej pokusie.

-Jill, ja nie mogę na tak długo zostawiać fermy.

Uśmiechnęła się i zapomniał o zdrowym rozsądku.

-Moglibyśmy codziennie dojeżdżać. W końcu to tylko godzina do Oksfordu. Można by wyruszać rano, gdy tu ustalisz już dzienny rozkład zajęć. A wieczorem byłibyśmy już w domu. Ferma by to przeżyła, a twoja babcia ucieszyłaby się ogromnie.

Przyznał, że było to kuszące, podobnie jak możliwość ujrzenia Jill w kapeluszu z szerokim rondem i miękkiej sukience.

Wsparł się na pietach i westchnął.

-Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Ty i babcia możecie pojechać beze mnie.

-Nie! -Spojrzała na niego załamana i szybko opanowała się. -Ricku, musisz z nami pojechać. W końcu bez ciebie to nie będzie miało znaczenia. No powiedz, czy kiedykolwiek byłeś z babcią na regatach?

-Nigdy. -Był zadowolony, że nie chce bez niego jechać.

Bardzo zadowolony.

-Widzisz? -Pogroziła mu nożem. - To masz idealną ku temu okazję, Ricku Kitteridge. Poza tym, naprawdę bym chciała, żeby towarzyszył mi mężczyzna, który zdobył nagrodę.

Będą mi zazdrościć wszyscy znajomi.

- Czy będą tam twoi znajomi? - spytał z ciekawością.

- Przypuszczam, że kilkoro. Co jakiś czas nawet mój ojciec przyjeżdża na te regaty, gdy nie jest zajęty. On wiosłował kiedyś dla Uniwersytetu Pensylwanii.

- Naprawdę? Niech mnie... - Rick wyciął dwie kapusty jedną po drugiej. Już zaczął odczuwać, jak napięte ma mięśnie ud i pleców z powodu zgiętej pozycji. - Czy wiosłował dla jednej z przystani nad rzeką Schuylkill w Filadelfii?

- Jest byłym prezesem Klubu Skrzyżowanych Wioseł.

- Mój wujek Talmadge jest członkiem! - wykrzyknął zaskoczony Rick. - Kiedyś dawno temu, gdy pojechałem tam z wizytą, wiosłowałem dla Klubu. Jill uśmiechnęła się szeroko.

- To ja byłem tym nieznośnym dzieciakiem, który się wszędzie pętał i z którym zawsze były kłopoty. Uwielbiałam to, świat jest jednak mały, prawda?

Przyjrzał jej się, zastanawiając się, czy widział ją, gdy była mała. Sądził, że zapamiętałby ją. Żaden mężczyzna nie mógłby zapomnieć kogoś takiego, jak Jill.

Pomyślał, że świat jednak nie był wystarczająco mały. Żałował, że za kilka tygodni ona wróci do siebie. Czuł, że nigdy nie natrafi w Anglii na kobietę podobną do Jill. Jeszcze nie udało mu się znaleźć żadnej, która dorównywałaby jej i wątpił, czy mu się to kiedykolwiek uda.

Chciał spędzić z nią każdą chwilę, zanim wyjedzie. Chciał pokazać jej elegancję Oksfordu, choćby tylko na dzień. Chciał, by zobaczyła jego uczelnię, która nadal znaczyła dla niego wiele. Chciał pochwalić się nią przed znajomymi i zobaczyć, jak mu zazdroszczą szczęścia. Bo tak przecież było w to nie wątpił. Sam zazdrościłby każdemu, do kogo należałaby Jill. Była wyjątkowa.

Spora kropla rozprysnęła się na jego rękę, a po niej następne.

Spojrzał w górę akurat w chwili, gdy wiatr nabrał prędkości i zaczął walić deszcz.

- Koniec! - krzyknął do niej, podnosząc się pospiesznie. Machnięciem reki odprawił swych ludzi. - Weź buty, Jill i idziemy.

- Ależ możemy jeszcze trochę ich uratować, zanim burza się w pełni rozpęta! - odkrzyknęła. Deszcz i wiatr już zdążyły oblepić jej piersi bluzką.

Rick podziwiał ten widok przez chwilę, po czym pokręcił przecząco głową. Chwycił za kosze.

-A tak nam dobrze poszło. Stracę tylko ćwiartkę pola.

-Ależ..

- Żadnych ależ Idziemy.

Niebo rozjaśniła błyskawica, jakby na potwierdzenie jego słów. Jill skoczyła na równe nogi i popędziła po buty. Rick ją dogonił. Postawił na ziemi kosze, ściągnął kurtkę i zarzucił jej na plecy. Podniósł ponownie kosze i wrzasnął:

-Chodźmy!

Pobiegła razem z nim do ciężarówki. Oboje starali się zaoszczędzić siły. Mężczyźni jeszcze kilka razy musieli obrócić, by załadować pozostałe kosze. Zdając sobie sprawę z tego, że pełne kosze będą dla niej za ciężkie, Jill rozsądnie pozostała w wozie. Rick był jej wdzięczny zarówno za pomoc, jaki za te decyzje.

Gdy razem z dwoma pracownikami wcisnęli się na podłużne siedzenie w ciężarówce, Jill umieściła się obok niego. Jej ręce były unieruchomione przez ścisk i stanowiły skuteczną barierę, ale biodra i uda były przyciśnięte do jego dała.

Niestety, skoro w ciężarówce byli też Rudy i Mile, mógł tylko robić dobrą minę do złej gry.

-Dzięki za dzisiejszą pomoc -powiedział. -Naprawdę się przydała. Czy można cię nająć do roboty?

Wzdrygnęła się na samą myśl.

-Chyba nie skorzystam z oferty. Dziesięć treningów pod rząd to pestka w porównaniu ze zbieraniem kapusty.

-Tchórz -szepnął jej do ucha.

-Zgoda, zgoda. No więc, gdy dotrzemy do domu, zaczniemy załatwiać sprawę wyjazdu na regaty, prawda? -spytała wesoło, uśmiechając się do niego szeroko.

Rick roześmiał się, zdając sobie sprawę z tego, że może udzielić tylko jednej odpowiedzi.

-Pojedziemy. Czy masz kapelusz? Tradycja tego wymaga.

Jej szare oczy pełne były emocji.

-Wiem. Już miałam zamiar jeden kupić. A właściwie, to kupię dwa, trzy, cztery...

Zaczął się śmiać.

-Jeden wystarczy.

-No, widzisz, że nie było to wcale bolesne. -Przesunęła się na ławce i skrzywiła się. -Nie to, co moje plecy.

Z przyjemnością by je rozmasował, ale nie mógł wyswobodzić rąk. Uśmiechnął się gorzko, a potem spoważniał.

Może to nie była pora, by, tak jak było powiedziane w pewnym wierszu, „porozmawiać o wielu rzeczach”, ale był czas najwyższy zdać sobie sprawę z jednego.

Był zakochany w Jill.

Tej nocy Jill usiadła na łóżku powoli i uważnie.

To nic nie dało.

Jęknęła, gdy każdy mięsień jej ciała żywo sprzeciwił się tym ruchom.

Dumna była, że zebrała kapustę z dwóch grządek,

ale najwyraźniej musiała użyć do tego mięśni, o których istnieniu nie miała pojęcia. Praca za biurkiem w zoo w połączeniu z nędną godziną aerobiku co tydzień, po prostu nie zapewniała dostatecznej formy.

Podczas kolacji stopniowo sztywniały jej mięśnie, aż w końcu była zmuszona wcześniej wstać od stołu. Nie chciała, by Rick wiedział, jak bardzo jest obolała. Mógłby czuć się winny, że ona cierpi z powodu pomocy, jakiej mu udzieliła.

Sama czuła się nie w porządku, że wymusiła na nim zgodę na regaty, choć Lettice, gdy się dowiedziała o planie, uradowała się. Bolało ją chyba za karę. Aspiryna, którą połknęła wcześniej w łazience, zbytnio nie pomogła. Uwzględniając fakt, że na osłodę miała tylko miękkie łóżko i bawełnianą koszulę nocną, przewidywała, że rano będzie w stanie tragicznym.

Pomimo męki czuła się dziwnie zadowolona ze swych wysiłków. Wykonała rzetelną pracę, spełniając najbardziej podstawową potrzebę: zbiór plonu Osiągnięcie to wywarło na niej głębokie wrażenie. Nic dziwnego, że Rick kochał swoją posiadłość. Ona też zaczynała ją kochać -aż za bardzo.

To wszystko było tak kuszące... Anglia... i Rick.

Jill odetchnęła głęboko, próbując wytrzymać ból. Błędem była jednak wspólna z nim praca. Wyszła, by go przekonać do swego planu, a zamiast tego stała się częścią jego świata.

To tak, jakby była towarzyszką jego życia.

Potrzaskała głową, by odsunąć od siebie zarówno staromodne określenie żony, jak i podstępny myśl. Natychmiast zaskomlała z bólu. Gdy ciało jej było w stanie znów się poruszyć, pomału zdjęła ubranie i założyła koszulę nocną, kwiląc przez cały czas.

- Au, au, au... -mamrotała ściągając narzutę i kładąc się do łóżka.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Jill? Czy wszystko w porządku?

Rozpoznała głos Ricka i zamknęła oczy. Musiał mieć lepszy słuch niż George czy Daisy.

- Tak -zawołała, czując się jak osaczony lis, do którego kryjówki zbliża się dyszący pies.

-Co?

-Tak, wszystko w porządku! -Skrzywiła się. Bolały ją nawet struny głosowe, o ile to w ogóle możliwe.

-Aha. Słuchaj, mam... - Jego głos zniżył się, a solidne dębowe drzwi skutecznie wyciszyły pozostałe słowa.

- Co? Nie słyszę.

- Czy wyglądasz przyzwoicie?

-Mam taką nadzieję.

Otworzył drzwi akurat w chwili, gdy podciągnęła kołdrę aż po brodę. Pomimo przejmującego bólu, wymusiła uśmiech.

Przez chwile przyglądał się jej w milczeniu. Wyglądał świetnie w żółtej płóciennej koszuli i džinsach. Widać było

wyraźnie jego amerykańskie pochodzenie. Poczwała innego rodzaju kłucie, pulsujące ciepło, które dogłębnie przenikało przez jej ciało. Zdała sobie nagle sprawę z tego, że są sami w pokoju. Żałowała, że nie spostrzegła znaczenia tego, zanim on otworzył drzwi.

Rick niestety był zupełnie swobodny. Nie wzmacniało to siły jej woli, która stawiała coraz mniejszy opór.

-Mówiłem -zaczął -że wykonałem kilka telefonów i mamy bilety na regaty w przyszłym tygodniu.

Uśmiechnęła się, zdecydowana zachować się równie nonszalancko,

jak i on.

- Miejsca w pierwszym rzędzie. Wiedziałam, że ci się to uda.

Kiwnął przecząco głową i roześmiał się.

-Całe szczęście, że jestem członkiem. Wszystkie miejsca w Henley są już od miesiący zarezerwowane. Dlaczego leżysz plackiem na łóżku? Patrzyła się w górę na niego, rozpaczliwie głowiąc się, by znaleźć jakiś powód.

- To dobrze wpływa na krążenie, jeśli się możliwie najczęściej leży tak rozciągniętym.

-Krew spływa do pleców.

-Jesteś obrzydliwy.

-A właśnie użyłem wszystkich swoich wpływów, byś mogła obejrzeć regaty. -Obejrzał ją domyślnie. -Leżysz tak, bo coś jest nie w porządku. Wiedziała, że zabrzmi to jeszcze głupiej, jeśli będzie dalej wszystko ukrywać. Wybrała beztrioską tonację.

- To tylko kilka bolących mięśni po dzisiejszym wysiłku.

Wystarczy trochę odpoczynku i poczuję się świetnie.

-Wydawało mi się, że już podczas kolacji zwolniłaś bieg.

Czy bardzo jest źle?

-Już ci mówiłam, że nie aż tak. -Postanowiła podnieść się w łóżku, by go przekonać. Było to sporym błędem.

Jill zaskomlała, gdy tylko oderwała się od materaca i poczuła, że gdyby jej mięśnie miały głos, to by zapiszczały jak hamulce dwóch trzydziestowagonowych pociągów towarowych przed zderzeniem.

-No dobrze, więc skłamałam -wysapała, osuwając się ponownie na poduszkę. Był to kolejny błąd. -Au, au, au!

- Czy mogę jakoś pomóc?

Doceniła ofertę, ale wątpiła w jej skuteczność.

-Tylko znajdź mi kontener wyciągu z ałunu oraz szwedzką masażystkę o rekach jak duże szynki, która na imię ma Inga, a umrę szczęśliwa.

Rick parsknął rozbawiony.

-Rano będziesz sztywna jak deska.

- Wówczas postawisz mnie pod ścianą, a ja w końcu wrócę z powrotem do stanu pierwotnego.

- Ty potrzebujesz pomocy już teraz. Trzymaj się. -Wyszedł z pokoju

-Ricku! Daj spokój- zawołała, a potem znów skrzywiła się.

-Trzymaj się.

-Świetnie -wymamrotała.

Wrócił po chwili.

- Co powiesz na butelkę wyciągu z ałunu i na angielskiego masażystę o rękach jak kotlety schabowe, który ma na imię Rick?

-Dziękuję, ale nie -odparła sztywno.

Podniósł prawą rękę.

-Obiecuje zachować się jak prawdziwy dżentelmen. Nie bądź głuptakiem, Jill.

Zrobiło się jej gorąco ze wstydu.

- Nie... mogę. Nie mam na sobie bielizny.

Otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, po czym uśmiechnął się szeroko.

-Naprawdę? Nie nosisz w łóżku bielizny?

- No, mam na sobie koszule nocną! -warknęła.

-Obiecuje, że nie będę patrzeć -powiedział, powtarzając jej słowa wypowiedziane tego dnia, gdy rozdarł sobie spodnie.

Nawet nie próbował ukryć rozbawienia.

-Przepraszam.

-Posłuchaj, tak ułożę pościel, żeby wystawione były tylko te fragmenty, co trzeba. Czy to zadowoli twoją purytańską duszę?

Pomyślała, że było to niebezpieczne. Gdyby jednak odmówiła, to jeszcze bardziej by podkreśliła swoje i tak widoczne zauroczenie. Przecież to tak, jak smarowanie olejkami na plaży. Poza tym jej ciało znajdowało się w takich męczarniach, że co mogłoby się wydarzyć? „Nic - powiedziała sobie twardo. -Absolutnie nic." będzie krzyczeć z bólu, a to powinno unicestwić jakąkolwiek miłą atmosferę.

Zacisnęła zęby. Była stuknięta, że nawet to rozważa. „Nie.

Nic mi nie będzie."

Zmrużył oczy.

-Przewróć się na brzuch.

-Nie przewrócę się. Mogę tylko powoli się przekreścić.

-A zatem zrób tak, bo jak nie, to zrobię to za ciebie.

Wyglądał groźnie i wiedziała, że mówi szczerze. Ból coraz bardziej ją ogarniał i rozpaczliwie pragnęła ulgi. Jeśli nie otrzyma pomocy, to przejdzie ciężkie chwile, zanim poczuje się lepiej. Potrafiła Przecież zapanować nad swoją reakcją.

Musiała, bo, do cholery, nie miała najmniejszego zamiaru

zrobić z siebie idiotki. Po kolejnym spojrzeniu na jego twarz, przekreśliła się na brzuch, przez cały czas wydając z siebie pojękiwania. Gdy jej się to w końcu udało, z ulgi sapała do poduszki.

Rick usiadł na brzegu łóżka i złapał za pościel.

- Co ty wyprawiasz?! -wykrzyknęła.

-Zapomniałaś o tym, że nie mogę cię masować, jeśli między nami jest kołdra i narzuta?

-ściągnij pościel na wysokość brzucha. Ja sama zajmę się koszulą! -rozkazała, chcąc czuć jego dotyk możliwie najrzadziej. Uważnie podciągnęła koszulę, aż cała wyszła spod pościeli. Wówczas z ulgą poddała się. Rick odgarnął materiał aż po jej ramiona, zostawiając kołdrę bezpiecznie na poziomie talii.

Wpatrywała się w butelkę, gdy postawił ją na stoliku nocnym i słuchała, jak rozciera ręce. Zebrała w sobie siły, czekając na jego dotyk.

Gdy wreszcie go poczuła, stwierdziła, że jest fachowy i sprawny. Masował jej ramiona tak energicznie, jak by to robiła jej zmyślona Inga.

Jill wtuliła twarz w poduszkę i jęczała cicho z bólu i łagodzącego wpływu ciepłego wyciągu z ałunu.

-Widzisz? Stuprocentowy ze mnie dżentelmen.

Przekreśliła głowę i kątem oka rzuciła mu spojrzenie.

-Nie wyżywaj się na mnie... a właściwie, nie przestawaj.

-Myślałem o kwestii Henley -powiedział.

-Jedziemy.

- Zgoda. Miałem zamiar powiedzieć, że pomimo korków, które będą straszliwe, dobrze wyjdziemy na tym dojeżdżaniu.

Miałas niezły pomysł.

-Dzięki.

Jego ręce zaczynały wywierać magiczny wpływ na jej obolałe mięśnie. Powoli ciało Jill stawało się mniej napięte. Palce Ricka przesunęły się po jej barkach i po górnej części pleców, rozsiewając ulgę w okolicy żeber.

Jill westchnęła z przyjemności. Choć była świadoma jego bliskości, rozluźnione mięśnie nie dopuszczały, by ta świadomość przemieniła się w prymitywniejsze uczucie.

-Masz bardzo gładkie plecy.

-Dziękuję -powiedziała półgłosem, prawie senna. Promieniowało przez nią ciepło, wywołane przez masaż, ale nie docierało całkowicie do bólu w udach. Tylko to powstrzymywało ją od zaśnięcia pod wpływem jego troskliwych starań. -

Jak kapusta?

-Sucha, dzięki tobie.

W pokoju zapanowała cisza. Ręce Ricka przesuwaly się gładko wzdłuż pleców Jill, zataczając powoli i bez końca kręgi. Jego dłonie pieściły jej grzbiet, a palce delikatnie zagłębiały się w miękkie ciało. Muskały skórę z boku piersi, ale ani razu ich nie dotknęły. Jego dłonie nie ważyły się błądzić po zakazanym obszarze, znajdującym się za kragłością jej pośladków. Jill wiedziała, że omal nie mruczy, ale nic sobie z tego nie robiła. Czuła się bezpiecznie, bo tak bardzo uważał, by dotrzymać obietnicy.

-Jak twoje nogi? -Głos Ricka był niski, jakby dochodził z oddali.

-Wiem, że mam je dwie -wymamrotała.

-Będziesz miała szczęście, jeśli jutro dasz radę choćby kuśtykać.

-Wiem. A myślałam, że jestem w świetnej formie. - Westchnęła. -Nie wiem, jak ci za to podziękować.

Odchrząknął.

-Odwróć się i wysuń nogę. Może uda się rozluźnić i te mięśnie.

-Dobrze -powiedziała, ponownie spuszczać koszule.

Teraz było jej łatwiej przekręcić się. Różnica nie była jednak znaczna. Jęknęła, gdy ból przeszył jej nogi.

Rick wstał i podniósł nieco narzutę. W świetle lampy wyglądało na to, że na policzkach ma wypieki.

-Już.

Zawahała się, czując lekkie niebezpieczeństwo. Wydawało się to bezpodstawne. Przecież nie mogło być gorsze, niż masaż pleców, a nic się przedtem nie wydarzyło. Wysunęła nogę spod narzuty, skupiając się na tym, by koszula przykrywała cnotliwie górną część uda. Podciągnęła ukośnie resztę pościeli tak, by zakrywała jej ciało.

Rick roześmiał się i usiadł.

-Czarujące. Czy mam zaczynać?

Przytaknęła i zamknęła oczy. Nie mogła narzekać na brak

gościnności z jego strony.

Tym razem wyczuła różnice. Nie wiedziała, czy zmienił się jego dotyk, czy jej reakcja. Wiedziała tylko, że coś było inaczej.

Powoli otworzyła oczy.

Wpatrywał się w nią, w jej twarz, a jego ręce masowały jej łydkę, niemal ją pieszcząc. Zaczął głaskać ją coraz wyżej.

Zaostrzyło się dziwne uczucie niebezpieczeństwa.

- Ricku.

-Co?

- Ja...-Miała zachrypty głos. Już nie była w stanie rozsądnie myśleć.

-Twoja skóra jest jak atlas. -Pochylił się nad nią. Był zbyt blisko. - Czy już ci to ktoś kiedyś mówił?

-Tylko ty -szepnęła, dziwnie zauroczona.

-Naprawdę taka jest. Chyba złamię zaraz obietnicę... ale tylko troszkę.

Ich wargi spotkały się i Jill niemal nie dźwignęła się z łóżka, by zagłębić się w upajającym pocałunku. Otworzyły się ich usta i przez chwilę fala gorąca tak ją otumaniała, że zapomniała o bólu. Chwyliła go za koszulę z przodu, a ręka Ricka otoczyła jej ramiona, by ją podtrzymać. Druga ręka zacisnęła się na udzie Jill i palce wczepiły się w jej skórę.

Poczuła smak Ricka, przywarła do niego, badając jego ruchliwy język swoim. Całkowicie opanował wszystkie jej zmysły i jęknęła z przyjemności, gdy położył ją delikatnie na łóżku. Ich ciała przycisnęły się do siebie, dopasowując się idealnie. Jego ręka przesunęła się po jej udzie i wokół bioder, a następnie przycisnęła miękkie ciało, znajdujące się poniżej. Przyciągnął biodra Jill do swoich. Ciągnęła za guziki na jego koszuli, rozpinając ją wszędobylskimi palcami, zachwycały ją jego twarde mięśnie i łaskotanie włosów na jego piersi.

Jego usta powędrowały niżej, wężąc po jej szyi, a następnie jeszcze niżej. Jego język musnął jej twardniejące i widoczne przez bawełnianą koszulę nocną sutki. Przekreśliła się i wygięła plecy... i natychmiast jęknęła, gdy zawładnął nią ból.

-Spokojnie -powiedział Rick, opierając się na łokciu i pomagając jej ułożyć się wygodnie. -Byłem głupi.

-Nie. -Dyszała ciężko, a ból ustępował pomału. - Po prostu źle się przekreśliłam.

-Rozluźnij się. -Dotknął jej policzka. - Ja tylko pomasuję...

-Nie, nie, jest w porządku.

Zdała sobie nagle sprawę z tego, co zrobiła. Zastanawiała się, gdzie się podział jej zdrowy rozsądek. Wyglądało na to, iż dryfował bez wiosel po rzece. To było tak, że im bardziej próbowała trzymać się od niego z daleka, tym gorzej sprawy się prezentowały. Przytaknęła, a potem zaczęła się śmiać.

-Pewnie zabiłabyś człowieka, gdybyś była w formie.

Zaczerwieniła się, ale postanowiła za wszelką cenę zachować swobodnie.

- To ja, śmiercionośna Daneforth.

-Przypominasz mi Wikinga najeżdżcę. -Pocałował ją w czoło. -A teraz, skoro wykonałem ten kiepski masaż, powinienem wrócić do swego łóżka.

Gdy w chwili później opuścił jej pokój, Jill zamknęła oczy. Tego dnia zniszczona została istotna bariera, która pozostawiła ją wystawioną na atak.

Była po prostu głupia.

Rick nie mógł zasnąć.

„Było to do przewidzenia” -przyznał, zakładając ręce pod głowę i wpatrując się w przyciemniony sufit. Tego dnia krew jego została wzburzona tak dalece, że było to już nie do opanowania.

Istniały dwa wyjścia, jeśli chodziło o problem Jill Daneforth. Mógł wybrać łatwiejszą drogę i unikać wszelkich z nią kontaktów tak długo, jak będzie ona w Anglii. Jak na razie to nie skutkowało, ale tylko dlatego, że on sam tego nie chciał.

Mógł też powiedzieć sobie, że do diabła z odległościami i pracą, i zaryzykować, stawiając wszystko na jedną kartę, by ją zdobyć .

Po doświadczeniu jej wyjątkowego smaku i nieskrepowanej reakcji, mogła być tylko jedna odpowiedź.

Rick uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ VII

Ręce Ricka sprawiły, że jej ciało płonęło na skraju zmysłowej rozkoszy. A jego usta, żarliwie i wspaniale pieszczące jej piersi, doprowadzały ją do szału...

Jill otrząsnęła się i siłą sprowadziła na ziemię. „Do jasnej cholery” - pomyślała. Przecież w trakcie regat miała zajmować się poszukiwaniem pułkownika, a zamiast tego marzyła o Ricku... znów.

Zostawił ją tylko na chwile, by przynieść im coś do picia.

Z górnego pokładu barki należącej do klubu College'u Trinity doskonale widziała łękę Christ Church i ścieżki nadbrzeżne, stanowiące tło imprezy. Były zatłoczone przez kobiety w skromniutkich sukienkach i mężczyźni w blezerach i flanelowych spodniach, które stanowiły tego dnia obowiązujące umundurowanie. Jill przyglądała się ludziom z bezsilną rozpaczą.

Jakże miała w tym tłumie dostrzec pułkownika? Było to niemożliwe i dawało się mniej więcej porównać z jej dotychczasowym szczęściem w tej aferze. Regaty stanowiły jej ostatnią i jedyną szansę na odnalezienie tego człowieka...

-Wyglądasz bardzo zmysłowo. -Podskoczyła, słysząc w uchu niespodziewany szept. -Ricku! -warknęła, a serce biło tak mocno, że myślała i wyskoczy. Nie była pewna, czy to ze strachu, czy z powodu jego słów. Uśmiechnął się szeroko i wręczył jej kieliszek szampana oraz truskawki z bufetu przekąskowego. Było to intrygujące przeinaczenie tradycyjnie podawanych w czasie regat truskawek ze śmietaną.

-Kiedy to prawda świetnie ci w tym kapeluszu.

-Dziękuję. -Dotknęła szerokiego randa słomkowego kapelusza. Był założony prosto i przypominał najelegantszy niedzielny stroik małej dziewczynki dzięki czerwonej jedwabnej wstążce zwisającej z tyłu. Pasował do skromnej niebiesko-białej jedwabnej sukienki we wzorki, która miała podwójny rząd złotych guziczków i koronkowy szalowy kołnierz. Uważała, że jej lakierowane pantofelki były szczególnie stosowne do okazji.

Uśmiechnęła się i łyknęła szampana.

-Mam szczęście, że kupiłam ten kapelusz. Ty nic mi nie wspominałeś o zakupach tutaj.

Zmarszczył czoło.

- Co ci się nie podoba, jeśli chodzi o zakupy?

-Ricku, tutaj tylko raz w tygodniu sklepy są otwarte wieczorem, no i jeszcze w sobotę rano. W Stanach przez siedem dni w tygodniu nocą

otwarte są sklepy przy deptakach. Kupno jednego kapelusza przerodziło się w całą wyprawę!

Wzdrygnęła się na samą myśl, przypominając sobie, jak w zeszłą sobotę po południu wspomniała beztrudnie o pójściu na zakupy do Cheltenham, najbliższego dużego miasta.

Dowiedziała się wtedy, że sklepy są zamknięte aż do poniedziałku rano. A potem odkryła braki w zaopatrzeniu, jeśli chodziło o słomkowe kapelusze. Bez białych rękawiczek można było się obejść, ale kapelusze stanowiły tradycje regat. Nie mogła pójść z gołą głową.

Rick dotknął jej włosów,

-Warto było zachodu. Wyglądasz, jakbyś miała jakieś dwanaście lat. Jego słowa przyprawiły ją nagle o zawrót głowy. Powiedziała niskim głosem.

-Mówiłeś, że wyglądam zmysłowo.

-Zmysłowa dwunastolatka. -Zaśmiał się cicho. -Wydawało mi się, że kobiety lubią, by im odejmować lata.

-Nie aż tyle. Poza tym, mógłbyś zostać za to aresztowany.

-Mogłabyś mi powiedzieć, że jestem starym świntuchem.

-Jesteś.

„Sprawiam wrażenie osoby ogarniętej namiętnością” pomyślała w osłupieniu.

Pochylił się ku niej.

-Zmysłowym starym świntuchem.

Zacząła się śmiać.

-Nie w tym kapeluszu.

Przechylił swój sztywny słomkowy kapelusz z powrotem na czoło.

-Nie podoba ci się?

- Jest fantastyczny. -Zachichotała, nie mogąc się powstrzymać.

Tego ranka Grahame praktycznie wcisnął ten kapelusz Rickowi na głowę, mówiąc mu, by choć raz w życiu, do cholery, wyglądał jak trzeba. Ale dobrze mu było -bardzo dobrze -w czerwonym blezerze z lamówką i białych flanelowych spodniach. Na kieszeni blezera widniał wyhaftowany herb jego klubu wioślarskiego. Jakoś nie była przygotowana na tę przemianę farmera w ziemianina. Różne możliwości tego człowieka były... kuszące.

Odsunęła od siebie myśl o tym, jak tamtej nocy omal całkowicie nie uległa fizycznej pokusie. Przed klęską uratował ją protest bolących

mięśni Musiała być chora umysłowo, by tak wówczas popuścić wodze hormonom.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wpatruje się w nią tak, jakby był świadomy każdej jej myśli.

-Gdzie Lettice? -spytała.

-Odnawia znajomości z różnymi ludźmi pod pokładem.

-Przerwał. -Cieszę się, że podoba ci się mój kapelusz.

Uśmiechnęła się i znów łyknęła szampana, rozglądając się po cicho płynącej rzece, spacerującym tłumie i przepięknym niebie. „Do diabła z pułkownikiem” -pomyślała przez chwile. Był to pierwszy dzień regat, więc nie musiała już wpadać w panie. Podała się niebezpiecznej i nęcącej myśli przebywania sam na sam z Rickiem i westchnęła z przyjemnością.

-Można by się przyzwyczać do całej tej elegancji.

Popatrzył na nią natarczywie, ale inaczej niż zwykle.

- To dobrze. Przyzwyczajaj się.

Pomyślała, że to przekomarzanie się byto bardziej ryzykowne niż jej plan co do Fitchwortha-Leedsa. Barka zapełniała się ludźmi przychodzącymi na przekąskę i na pierwszy wyścig dnia, ale czuli się prawie tak, jakby byli sami. Prawie.

-Kitteridge'u! Nigdy nie spodziewałem się, że cię tu ujrzęć.

A jacy jesteśmy „elegancy”, zupełnie jak nasi rodzice, gdy przyjeżdżali na tydzień regat. A przysięgaliśmy, że sami nigdy tego nie zrobimy... Mężczyzna, który do nich podszedł, był ubrany dokładnie tak jak Rick i był mniej więcej w tym samym wieku. Rick uśmiechnął się do niego szeroko.

-Jill, poznaj Tommy'ego Wellsmere'a, największego drania, który kiedykolwiek wiosłował na tej rzece. -Ku jej osłupieniu, objął ją przy przedstawieniu. -Tommy, to Jill Daneforth. Tommy najwyraźniej pojął znaczenie tego gestu właściciela.

-Bardzo mi miło. Ricku, ty stary łotrze.

-Wiem.

Jill czuła, jak podnoszą się górę jej brwi. Jakoś udało jej się uśmiechnąć i podać rękę, nie pokazując wewnętrznej paniki. Gdy mężczyźni rozmawiali, czuła, że pogrąża się w chaosie. Przez ostatnie kilka dni Rick był bardzo troskliwy, ale uważał też by nie zro-

bić niczego, co by mogło doprowadzić do powtórzenia się tamtej nocy. Nie dotykał jej wcale albo tylko przelotnie, tak jak wcześniej pogłaskał jej włosy. Zbyt mocne byłoby określenie jego czynów jako platoniczne. Rozmawiali natomiast ciągle, najczęściej o czasach średniowiecznych. Uwielbiała to, ale teraz uświadomiła sobie, że to w jeszcze większym stopniu zmyliło jej czujność. Dopiero teraz tak naprawdę czuła się w pełni świadoma jego bliskości.

W ich stosunkach niewątpliwie nastąpiła trudna do uchwycenia zmiana. Było tak, jakby Rick świadomie podsycił ich wzajemne oczarowanie, zarówno fizyczne, jak i emocjonalne, w taki sposób, by nie mogła za protestować przeciwko czemuś konkretnemu. Nie potrafiła pozbyć się narastającego w niej przekonania, że nieustępliwie pragnął zdobyć coś, co ona miała. A teraz ją wabił.

Inni poszli w ślad za Tommym i przedstawiono jej pozostałych członków klubu Ricka. Miała uczucie, jakby przybywali tuzinami, a ona próbowała nie mylić nazwisk. Co gorsza, z każdym nowym przybyszem ramie Ricka trzymało ją mocniej, aż skończyła przyciśnięta intymnie do jego boku.

Była wetknięta pod jego ramie tak, jakby tam było jej miejsce, a ich biodra stanowiły właściwie całość. Chciała trzymać się blisko niego, ale nie to miała na myśli.

Wpierw w ogóle jej nie dotykał, a teraz sprawiali wrażenie syjamskich bliźniąt. Przeczynała, że problemy związane z pułkownikiem nawet się nie umywały do tego nowego, zdecydowanego, Ricka Kitteridge'a. Jego plan się udawał.

Rick patrzył na Jill, gdy ona z niesamowitym skupieniem przypatrywała się trzeciego dnia zawodom eliminacyjnym. Byli ustawieni w korzystnym punkcie przy mecie i widzieli, jak łódki wylaniają się z ostatniego zakrętu rzeki.

Wyglądała olśniewająco w lekkiej zielono-białej sukience, która podkreślała jej szczupłą figurę. Miękkie sukienki i korzystnie dobrane kapelusze, które nosiła spowodowały, że każdego dnia jego zmysły mogły sobie pofolgować. Niesamowity zapał Jill, by być razem z nim, sprawił mu dużą przyjemność i w pełni wynagrodził przykry stan rzeczy, z jakim miał co wieczór do czynienia po powrocie do domu. Uwielbiał na nią patrzeć. Wydawało mu się, że jej spojrzenie wędrowało wszędzie,

jakby bała się, że coś przegapi. Gdyby mu nie powiedziała o swym ojcu, byłby gotów przysiąc, że nigdy przedtem nie oglądała wyścigów. Dech w niej zaparło i wskazała na łakę Christ Church po drugiej stronie rzeki.

- Zobacz, te krowy piją!

- To się krowom zdarza, jakbyś nie wiedziała -odparł spokojnie. ,
Rzuciła mu surowe spojrzenie spod kapelusza.

-Wiem o tym. Chodziło mi o to, że wpadną w panikę, gdy dotrą tu łodzie.

- Tylko wtedy, jeśli ta, na którą stawiają, przegra.

W tej właśnie chwili przepłynęły łodzie i do mety dotarła jako pierwsza obstawiana drużyna. Krowy nie przestały spokojnie pić, ignorując zupełnie głośne wiwaty tłumu.

Jill roześmiała się.

-Niesamowite.

- Nie, wszystko wskazywało na to, że Trinity wygra.

-A krowy o tym wiedziały. Co za kraj!

-Myślałem, że ty już byłaś kiedyś na regatach razem z ojcem.

- Raz, gdy miałam dziesięć lat. Wtedy nie było jednak krów pijących przy mecie, ale wydaje mi się, że moja obecność krępowała ojca. -

Znow rozejrzała się wokół. - Kiedy rozpocznie się następny wyścig?

- Za kilka minut.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

-Możemy więc się przejść?

Rick zmarszczył czoło. Przez ostatnie dwa dni zdążyli już obejść cały teren wyścigów co najmniej sześć razy. Najwyraźniej Jill była fanatyczną spacerów.

-Jasne -odparł, kładąc rękę na jej krzyżu, by ją poprowadzić.

Było w tym trochę władczości.

Uśmiechnęła się i nieśmiało schyliła głowę. Jej szare oczy, gładka cera i bujne, lśniące, brązowe włosy opadające na ramiona sprawiały, że była najpiękniejszą kobietą, z jaką kiedykolwiek przyszedł na regaty. Nigdy też nie bawił się tak dobrze, a to dlatego, że ona się tak świetnie bawiła. Chwilami sprawiała wrażenie roztargnionej. Zaraz jednak skupiła swą uwagę ponownie na imprezie, albo jeszcze lepiej na nim samym i zapominał o swoich obawach.

Wychodząc z ogrodzonego terenu, minęli Lettice pogrążoną w rozmowie z dziekanem College'u Trinity.

-Gdzie się wybieracie? -spytała z uśmiechem.

-Na przechadzkę -odpowiedziała Jill. - Czy chcesz do nas dołączyć?

Rick zmierzył wzrokiem babcię, by nie ważyła się zgodzić.

-Razem z Archie'm przypominamy sobie dawne czasy stwierdziła Lettice, odganiając ich od siebie. -Idźcie i bawcie się dobrze.

-Na pewno -obiecał Rick.

Gdy odchodzili, mógłby przysiąc, że babka do niego mrugnęła.

Spacerowali po nadbrzeżnej ścieżce, wymijając innych amatorów przechadzek. Po obu stronach rzeki widniały klubowe namioty i przycumowane barki obserwacyjne. Ludzie kręcili się wszędzie i słychać było bezustannie głosy z ostrym brytyjskim akcentem.

-Kim jest Arenie?- spytała Jill.

- To czcigodny Archer Bowman -powiedział Rick, rzucając spojrzenie w stronę namiotu. -Poważany dziekan College'u Trinity. A moja babcia mówi o nim Archie. On ma co najmniej osiemdziesiąt lat.

-Twoja babcia też.

Rick pokręcił głową.

-Dziekan jest trochę jak chiński cesarz, trzymany z dala od pospólstwa i czczony jak bóg. Najwyraźniej kiedyś w przeszłości zetknął się z nieprzyzwoitą Amerykanką. Jill roześmiała się.

Rick westchnął, upajając się widokiem i ledwo dostrzegalnym, a dobrze zapamiętanym zapachem z pobliskiej gorzelni

-Chyba zbyt długo siedziałem na fermie.

-Cieszę się więc, że w końcu cię stamtąd wyciągnęłam.

Wziął jej rękę i położył w zgięciu łokcia.

- Ja też.

Jego plan wymagał nieco inteligencji i sporej dawki staromodnych zalotów. Dużą przyjemność sprawiała mu rola ciągłego towarzysza i wymagane przy tym drobne gesty. Dokonał też właśnie odkrycia, że panowanie nad sobą miało swoiste zmysłowe zalety. Tuż pod powierzchnią gotowały się fizyczne popędy, a przez każdą wspólnie spę-

dzoną chwilę przenikała wnikliwa świadomość obecności drugiej osoby.

Był już zbyt stary, by uważać, że z kobietą mógł go łączyć tylko seks. Poza tym, nigdy by tego Jill nie zrobił. Oczywiście, było to na zasadzie, że na złość babci odmrozi sobie uszy... albo raczej „coś” nieco niżej. Na myśl o tym uśmiechnął się gorzko.

Wiedział, że przede wszystkim kochała przeszłość jego kraju. Musiał więc tylko znaleźć różne kuszące powody, które by ją nakłoniły, żeby została. Może pobyt w Oksfordzie zachęci ją do powrotu, do tego przedmiotu studiów. Chyba powinien jej podsunąć te myśli.

-Czy zastanawiałaś się nad przeprowadzeniem badań księgi Domesday, tak jak babcia zaproponowała? -spytał.

-Próbuje o tym nie Myśleć -przyznała po chwili wahania.

-W domu czeka na mnie praca. Poza tym, choć uwielbiam historie, nie mam zacięcia akademickiego.

Zatrzymali się przy ścieżce.

-Nie musisz Przecież uczyć, Jill. Napisz książkę, którą każdy będzie w stanie zrozumieć -o błahostkach, o pikantnych wydarzeniach, o tym, jak wyglądało życie codzienne tysiąc lat temu. To tak, jakbyś plotkowała, a każdy to uwielbia.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Nagle odwróciła się i znów zaczęła iść.

- To ciekawy pomysł.

Wyczuł, że jeśli będzie ją przyciskać do muru, to ona zamknie się w sobie. Milcząc przycisnął mocniej jej palce do swego ramienia i pogłaskał je. Zaszczepił jej pomysł, który albo się przyjmie, albo nie. Nagle wpadł na coś oryginalnego. Był to genialny plan zalotów, tym bardziej, że wszyscy oglądali regaty. Nadszedł czas, aby zastosować autentyczną staroświecką technikę zalotów w stylu oksfordzkim.

-Jill, co byś powiedziała na małe wagary, które by dały ci szansę zasmakować starej, oksfordzkiej tradycji?

Uśmiechnęła się.

-Jak starej?

-No, przynajmniej tysiącletniej. -Uwzględniając, co miał na myśli, nie było to zupełnym kłamstwem. -To nie potrwa długo.

Zawahała się.

Nie miał zamiaru przepuścić takiej okazji i skierował ją ze ścieżki w stronę Mostu Magdelan.

-Obiecuję, że ci się to spodoba.

Jill oparła się wygodnie o poduszki i zanurzyła rękę w wodzie tak, by chłodne prądy rzeki Cherwell przepływały jej przez palce. Przez na wpół przymknięte powieki przyglądała się Rickowi w idealnie dopasowanym kapeluszu i nieskazitelnie czystych białych spodniach, jak stał na rufie długiej i wąskiej łodzi o płaskim dnie. Rytmicznie wyciągał w górę długi drąg, przesuwając po nim pewnie ręce, zapuszczał go aż do dna i wypychał łódź do przodu.

-Brakuje nam tylko gramofonu, a wyglądalibyśmy jak z przedwojennego filmu -stwierdziła. -Widzę, że jak się już decydujesz na węgry, to idziesz na całego.

-Myślałem, że wszyscy będą oglądali wyścigi na Tamizie, a nie, że zwalą się na ten koniec miasta, by pływać łódkami po Cherwellu - powiedział, rzucając piorunujące spojrzenie w stronę gromadki studentów, którzy akurat ich mijali w łodzi wiosłowej, rozsadzanej nowoczesną muzyką.

- To „stara” tradycja -przypomniała mu. -Zupełnie tak, jak latanie na wakacje na Riwierę.

-Już od czasów średniowiecznych ludzie pływali łodziami po tej rzece - bronił się.

-Zapewne od zarania dziejów. -Zachichotała. - Oczywiście, nie w takich łodziach.

-No, może niezupełnie w takich -przyznał i uśmiechnął się do niej.

Omali nie omdlała na ten widok. Nie pamiętała, od kiedy jego uśmiech stał się tak uwodzicielski, ale przez ostatnie kilka dni wywierał na nią taki wpływ. Po raz tysięczny od czasu rozpoczęcia regat pożałowała, że ma do spełnienia misję.

Gdyby tylko mogła zapomnieć o pułkowniku i o tym cholernym naszyjniku, aby w pełni ulec zwodniczym zalotom Ricka.

I gdyby tylko w tych zalotach zawierało się coś więcej oprócz dżentelmeńskich dotknięć pleców i reki oraz muśnięcia ustami policzka, co miała uważać za pocałunek na dobranoc.

Jeszcze raz wtedy, gdy powinna być mu wdzięczna, że rozsądnie trzyma się z daleka, była na tyle zirytowana i zdenerwowana, że miała

ochotę darować sobie wszystkie swoje plany i rzucić się w jego objęcia, nie myśląc o konsekwencjach.

Pokusa ta przerażała Jill. Podejrzewała nie bezpodstawnie, że Rick trzyma się z dala pod względem fizycznym, aby umocnić powstające między nimi więzy emocjonalne. Potrafiła sobie poradzić z požądaniem. Ale to było coś innego, to mrowienie, gdy na nią patrzył, nagle uderzenie gorąca, gdy wchodził do pokoju i, co gorsza, dziwne zniecierpliwienie, gdy nie było go przy niej... Nie była do końca przekonana, że poradzi sobie z uczuciem, które zakrawało na miłość.

Przygnębiona, zastanawiała się, co ma robić. Za kilka dni skończą się regaty, a stanowiły dla niej ostatnią szansę odnalezienia pułkownika. Jeśli nie uda jej się, nie będzie miała innego wyjścia, jak wrócić do domu bez naszyjnika, pozostawiając za sobą Ricka.

-Myślisz o pisaniu książki?- spytał nagle.

„Kolejna pokusa” -pomyślała, omal nie wydając z siebie jęku. Ta cholerna kwestia już podstępnie wślizgiwała się pomiędzy bariery. Zupełnie tak, jak Rick. Prawo Dancforth Murphy'ego pracowało nadprogramowo tego dnia.

-Gdybym dopiero co skończyła studia -powiedziała - to bym się nawet przez chwilę nie wahała...

- Co cię powstrzymuje? -Przerwał, nie przestając nawet na chwilę zanurzać drąga. - Praca, na którą przystałaś, bo nie znalazłaś we własnej dziedzinie możliwości, na które się nastawiałaś?

- To nie takie proste, Ricku. Nie wiem nawet, czy byłabym w stanie napisać taką książkę, nie mówiąc już o wyrzeczeniu się wszystkiego innego, by tego dokonać.

-Sadze, że napisałabyś świetną książkę. Ale nie po to cię tu przyprowadziłem, by rozważać te kwestie. Przyprowadziłem cię, żeby mieć w swojej łódce najładniejszą dziewczynę na regatach.

-Całą oprócz rąk -zażartowała.

-Nie jesteś doskonała.

Zmrużyła oczy.

-Zapłacisz mi za to.

- Czy ściągniesz mi spodnie i...

-Ricku! -Wyprostowała się raptownie.

Łódka zakołysała się gwałtownie i Rick omal nie stracił równowagi. Wyprostował się i pociągnął za drąg. Ale oparł się o niego, by nie wpaść do rzeki i teraz nie mógł go wyciągnąć. Drąg najwyraźniej utkwił w błocie na dnie. Łódź zaczęło znosić. Rick wyciągnął się w stronę drąga, próbując go uwolnić.

Kiedy nie mógł już dalej sięgnąć, bardzo spokojnie i łagodnie osunął się prosto do wody.

-Ricku! -krzyknęła ponownie Jill, zaskoczona i rozbawiona.

-Bardzo dobrze, Kitteridge'u. Nigdy nie gub drąga! -zawołał dziekan Trinity, przepływając obok z Lettice w podobnej łodzi.

-To słowa do zapamiętania, proszę pana. Dziękuję - odparł Rick, kurczowo trzymając drąg, od pasa w dół całkowicie zanurzony. -Jill, w łódce jest wiosło. Bądź grzeczną dziewczynką i wróć po mnie.

- Psujesz zabawę -powiedziała, chwytając za wiosło leżące na dnie łodzi. Rick nadal miał prosto na głowie osadzony kapelusz i widząc to, zachichotała.

Spojrzał na nią groźnie.

- Pospiesz się!

- Bawcie się ładnie -dodała Lettice ze śmiechem.

- Jest wolna para spodni, którą możesz wziąć! -zawołał dziekan już z oddali. - Powiedz Masonowi w domu, żeby ci je dał.

-Dziękuję panu.

Jill udało się go wyratować, choć w pewnej chwili oboje omal nie znaleźli się w wodzie. Przytrzymała drąg, gdy Rick w końcu wgramolił się na dziób. Jego białe spodnie przybrały teraz odcień wyblakłego brązu.

Pociągnął za drąg, który tkwił nadal w błocie. Wziął więc od niej wiosło i skierowali się w stronę wypożyczalni łodzi.

-Mam nadzieje, że spodobała ci się jedna z najwspanialszych tradycji Oksfordu. Teraz wracamy do domu. Zachowałyby zimną krew, gdyby nie woda, która spływała ze spodni i butów na dno łódki.

-Było to zachwycające -odparła Jill, nadal chichocząc.

Uniosła stopy, by ich nie zamoczyć w małej kałuży, która tworzyła się pod siedzeniem. Nie chciała przestać się śmiać... razem z nim.

Godzinę później byli ponownie na regatach. Rick stwierdził z ulgą, że spodnie dziekana pasowały, choć buty nadal były wilgotne. Jill próbo-

wała powstrzymać się od śmiechu, ale kilka razy nie udało się jej zapamiętać nad sobą.

- Czy masz zamiar chichotać przez cały dzień? - spytał.

- Tak - odrzekła.

- Tylko chciałem się upewnić.

Splotła rękę z jego ramieniem przepraszająco. Gdy tak przechadzali się po ścieżce, zdała sobie sprawę z tego, że pewnie już nie natrafi na pułkownika, ale dziwnym trafem czuła się zadowolona jak nigdy.

Nastąpiło to w chwili, gdy się tego najmniej spodziewała.

- Jill! Oczom nie wierze!

Odwróciła się i ujrzała Annalisse Maxwell, koleżankę ze Stanów, która stała razem z grupką ludzi i machała do niej. W skład tej grupki wchodził pułkownik Fitchworth-Leeds.

Przez krótką chwilę, która zdawała się trwać wiecznie, patrzyła na tego szczupłego, szpakowatego i trzymającego się sztywno mężczyznę.

- Cześć Annie! - zawołała, zaskoczona, że może mówić tak spokojnie. W głowie jej szumiało, a w brzuchu miała straszne skurcze, tak bardzo ogarnięta była paniką i oczekiwaniem.

- Przyjaciele ze Stanów? - spytał Rick.

Zawahała się, zdając sobie sprawę, że w jego obecności nie należało odwzajemniać tego powitania. Trzeba było się jakoś od niego uwolnić i odłożyć sprawę na później. Nie myślała rozsądnie - zresztą tak, jak zawsze z Rickiem. Teraz nie miała wyjścia. W tej sytuacji mogła zrobić tylko jedną rzecz.

- Przedstawię was.

Grupka składała się z Annalissy z mężem, dwóch innych amerykańskich małżeństw, przy czym jedno było młode, a drugie w średnim wieku, oraz pułkownika. Najwyraźniej typował z gromadki swoje ofiary. Przedstawiono wszystkich i podano sobie ręce. Jill wymusiła na sobie spokój, gdy dotknęła reki pułkownika, opierając się pokusie, by owinać palce wokół jego sztywnej szyi. Cóż z niego za aktor.

- Jak wspaniale znów pana widzieć, pułkowniku - powiedziała, po czym dodała, zwracając się do pozostałych osób. - Poznaliśmy się, gdy był w Stanach.

- Miło mi. - Nie zatrzymał na niej spojrzenia, zupełnie tak, jakby jej nie było.

Zastanowiło ją, czy nie boi się przypadkiem, co ona może

powiedzieć jego nowym ofiarom. Kusiło ją to, ale wówczas nie mogłaby odzyskać naszyjnika.

Oprócz uduszenia go nie miała żadnego pomysłu, co ma dalej zrobić. Ponieważ przez ostatnie kilka dni większość jej czasu i myśli zaprzętał Rick, nie była przygotowana na te chwile. Miała tylko ogólne zarysy planu, by nabrać pułkownika na to, że jest idealną osobą do okantowania.

Jeden z mężczyzn nagle pstryknął palcami i zwrócił się do Ricka.

-Oczywiście! Wydawało mi się, że skądś znam to nazwisko.

Pan kiedyś wiosłował w drużynie Oksfordu. Zdobył pan chyba nagrodę. Rick uśmiechnął się.

-Kiedyś.

Serce Jill zabiło mocniej. Było to zbyt ryzykowne, by mieć przy sobie teraz Ricka. Tak długo ukrywała przed nim swoje plany, a teraz wystarczyłby jeden fałszywy krok i wszystko wybuchnie jej prosto w twarz.

-No więc, gdzie zatrzymaliście się w Oksfordzie? - spytała Annalissa. Patrzyła domyślnie na Ricka. -Gdybym o tym wiedziała, to moglibyśmy zatrzymać się z nami. Jill jęknęła w duchu na myśl o tym, jakie plotki te kobiety rozniosą po całej Filadelfii.

-Właściwie to ja przyjechałam z babcią Ricka, Lettice. Znać ją. Dojeżdżamy codziennie z domu Ricka na wzgórzach Cotswold.

W oczach tamtej kobiety zaświeciły się iskierki.

-Och, to zostańcie u nas całą trójką! To bez sensu tak jeździć tam i z powrotem. Wynajęliśmy do spółki duży dom, więc mamy mnóstwo miejsca. Jutro wieczorem urządzamy wielkie, pożegnalne przyjęcie z okazji zakończenia regat.

-Nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu -powiedział Rick.

-Nie przesadzając -odparła Annalissa, machając niedbale ręką. - Jest tam mnóstwo pokoi, a i tak zostaje już tylko jeden dzień oprócz dzisiejszego. Przyjedźcie do nas.

Nie chcecie przecież przegapić przyjęcia. będzie wesoło.

„Teraz albo nigdy” -pomyślała Jill. Była to jedyna szansa, by udowodnić prawdę o pułkowniku i odzyskać naszyjnik. Ale do swojego planu nie włączała Ricka ani Lettice. To, że zaproszenie ich obejmowało, oznaczało, że szansa, iż Rick złapie ją na gorącym uczynku w samym

środku intrygi, stała się niebezpiecznie realna. Znienawidziłby ją. Ale od tej okazji zależało trzysta lat dziedzictwa Dancforthów... a może i małżeństwo rodziców. Choć raz w życiu musiała zrobić to, co trzeba. -Fantastycznie! -zawołała z udanym entuzjazmem. -Wiem, że Lettice też będzie zachwycona. -Brzuch miała ze zdenerwowania tak napięty, iż bała się, że pęknie. Pochyliła się jednak w stronę Annalissy i powiedziała wyraźnym głosem coś, co tylko kompletna idiotka ogłosiłaby publicznie.

-Przywiozłam ze sobą diamentowy naszyjnik, wiesz który, i zastanawiałam się, kiedy będę mogła go założyć. No i nadarzyła się idealna okazja.

Annalissa zachichotała.

Kątem oka Jill z satysfakcją zauważyła chwilowe zawahanie się reki pułkownika, gdy zapalał papierosa.

Zwróciła się do Ricka, który zmierzył ją spojrzeniem tak piorunującym, że aż ją zatkało. Nie była w stanie domyślić się, o czym myśli, więc uśmiechnęła się promiennie jak uosobienie niewinności. Po chwili niepewności odwzajemnił uśmiech. Natychmiast poczuła, że gro.ą jej wyrzuty sumienia.

- Czy na pewno nie będziemy przeszkadzać? -spytał Annalisse.

- Nie! będzie cudownie! - Wszyscy zgodnie dorzucili podobne stwierdzenia... włącznie z pułkownikiem.

Jill czuła zadowolenie w każdym calu. Jakby powiedział Sherlock Holmes, rozpoczynała się rozgrywka.

ROZDZIAŁ VIII

Następnego dnia pod wieczór Rick, pogwizdując, wyjmował z samochodu torby podrózne i stawiał na podjazd przed domem Annalissy. Odbyły się już wszystkie wyścigi zaplanowane na ten dzień i teraz zaczynał się czas zabaw.

Z początku nie był przekonany co do tego planu, ale Jill wykazywała tyle entuzjazmu, by pojechać do przyjaciół, że nie był w stanie odmówić. Teraz przeczuwał, że coś doniosłego będzie miało miejsce w czasie tej imprezy. A jeśli nie, to on to wywoła. Będąc poza własnym domem, czuł, że ograniczenia, jakie sobie narzucił, szybko się ulatniają.

Oczywiście. Była jeszcze babcia, występująca w roli wyjątkowej przyzwoitki.

- Och! Kochani, kochani! -zawołała akurat Lettice. Wychylił głowę zza bagażnika, gdy ona mówiła dalej do Jill. -Zapomniałabym. Archie zaprosił mnie na małe przyjęcie do siebie. Mam u niego zanoćować. Jestem pewna, drogie dzieci, że nie będziecie miały nic przeciwko temu, jeśli pojedę.

Miałam zamiar powiedzieć wam o tym wcześniej, ale ostatnimi czasy jestem taka roztargniona.

Martwił go ten brak jej pamięci, ale nie mógł przepuścić takiej okazji. Miał zostać sam z Jill. Bogowie wysłuchali jego modlitwy. Rick uśmiechnął się i włożył walizkę babci z powrotem do bagażnika.

-Ależ, Lettice, nie możesz -zaczęła Jill. Miała dziwny wyraz twarzy.

- Do licha, nie mogę! -warknęła Lettice. -Doprawdy, Jill, wydawało mi się, że wy, młodzi, z przyjemnością pozbędziecie się starej.

-Chodziło mi tylko o to, że Annalisa się ciebie spodziewa -stwierdziła Jill.

-No to niech przestanie.

- Pozwól „starej” pójść na swoje przyjęcie, Jill - powiedział Rick, obchodząc samochód.

Jego babka cisnęła się w jego stronę. Rick zdał sobie sprawę, że właśnie śmiertelnie zgrzeszył.

- Czy może zechciałbyś ująć to inaczej? -spytała z urażoną miną.

-Jak najbardziej -odrzekł i odchrząknął. - Jest to być może ostatni raz, kiedy babcia może zobaczyć się z angielskimi przyjaciółmi...

-Wydaje mi się, że nie tak chciałeś to ująć -włączyła się Jill, uśmiechając się do niego.

Natychmiast się wycofał, pojmując, jak to zabrzmiało.

- To wielki zaszczyt być zaproszonym na przyjęcie do dziekana.

-A skoro wszyscy starcy i tak są na progu śmierci -dodała

Lettice ironicznie -to mogą bawić się, póki to jeszcze możliwe.

- Za nic na święcie nie przyznaje się do tego -odparł

Rick, zachowując powagę. - Co powiesz na to, bym zawiózł ciebie do dziekana?

- Zgoda.

Otworzyły się drzwi wejściowe i z domu wyłoniła się Annalissa, nadal ubrana tak, jak w czasie regat.

-świetnie! Akurat zdążyliście na koktajle przed wielką kolacją. Rick zauważył, że Jill znowu miała dziwną minę, gdy Lettice wyjaśniła gospodyni drobną zmianę, jaka zaszła w planach i przeprosiła gospodynię, która przyjęła to bardzo uprzejmie.

-To ja cię teraz zawiozę, dobrze? -powiedział Rick, otwierając drzwi samochodu przed babcią. Lettice poklepała Jill po reku.

-Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Jill westchnęła i przytaknęła.

-Na pewno.

Lettice wsiadła z powrotem do samochodu. Rick zatrzasnął drzwi, zamykając w środku wozu zapach perfum Chanel i miękki szelest spódnicy. „Babcia przypuszczalnie spowoduje śmierć dziekana -pomyślał - ale nie wątpię, że staruszek umrze z uśmiechem na ustach.

Poklepał Jill po reku.

-Zaraz wrócę.

Wskoczył za kierownicę, przez cały czas nieświadomie gwizdząc, pełen zniecierpliwienia. Pozbył się jednej przeszkody. Teraz została już tylko druga.

-Smakowity z niego kęs. Szkoda, że jestem mężatką, bo byś miała rywalkę -rzuciła od niechcienia Annalissa.

Jill zastanawiała się, kiedy Annalissa zacznie węszyć.

Rzuciła walizeczkę na łóżko i rozejrzała się po przydzielonym jej pokoju Jego ozdobę stanowiły perkalowe obicia w róże i meble z drzewa czereśniowego.

-Pokój jest piękny -stwierdziła, postanawiając całkowicie zignorować uwagi dotyczące Ricka. Cokolwiek by nie powiedziała, zabrzmiałoby to sztucznie, więc lepiej było nic nie mówić. Chcąc uniknąć powrotu do tamtego tematu, skupiła swą uwagę na drzwiach do garderoby i na stojącej obok szafie.

- Jest mnóstwo miejsca na ubrania. Od kogo wynajmujecie dom?

-Nie wiem. Załatwiliśmy to przez agencję -odparła Annalissa.

-Mam nadzieję, że nie szykowaliście się zbyt na przyjęcie

Lettice. Gdybym wiedziała, że ma inne plany, powiadomiłabym was o tym.

-Nie ma sprawy. - Annalissa zmarszczyła brwi, wyraźnie poirytowana brakiem reakcji ze strony przyjaciółki na jej aluzje do Ricka. -W każdym razie cieszę się, że mam wolny pokój.

- To dobrze.

Jill stłumiła w sobie złość wywołaną szybką ucieczką Lettice.

Liczyła, że jej obecność ochroni ją przed Rickiem i sądziła, że, przynajmniej w pewnym stopniu, Lettice będzie jej sprzymierzeńcem w walce z Fitchworthem-Leedsem. A zamiast tego Lettice ją opuściła.

Tego Jill by się nigdy nie spodziewała. Na myśl o pułkowniku cała zeszytniała. Nie mogła uwierzyć, że w końcu realizowała swój plan.

Należało rozgrywać to ostrożnie. Powinna jednak zabrać się do roboty.

-Nie wiedziałam, że znasz pułkownika -powiedziała do koleżanki. - Czy poznałaś go w trakcie jego pobytu w Stanach?

Annalissa zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Jest znajomym Youngów.

Wspominając spotkanie poprzedniego dnia Jill przypomniała sobie, że to starsze małżeństwo. Annalissa ciągnęła dalej.

-Rozmawiali z Johnem o rozkręceniu jakiegoś interesu, związanego z importem. Chcą chyba sprowadzać rolls-royce'y do Stanów.

-Aha. -Jill wzruszyła ramionami, jakby to ją zupełnie nie interesowało, choć wywnioskowała, że pułkownik chce zrobić jakiś szwindel. To utrudni jej zadanie.

-Nie wmówisz mi, że to on cię interesuje, a nie ten smakowity kasek, z którym przyjechałaś?

Jill zdławiła w sobie śmiech. Annalissa mówiła o Ricku tak, jakby był pajądą chleba.

-Nie, po prostu jestem wścibska.

Annalissa uśmiechnęła się.

-A więc jesteś zainteresowana Rickiem Kitteridge'em.

Nie byłam do końca pewna, więc dałam mu pokój obok.

-Pokój obok! -skrzekliwie krzyknęła Jill, zaszokowana tymi słowami. Rozejrzała się wokół rozpaczliwie i zdała sobie sprawę, że drzwi, które, jak myślała, prowadziły do garderoby, tak naprawdę łączyły jej pokój z sąsiadującą sypialnią.

-Może wolelibyście być w jednym? -spytała jej koleżanka.

- Nie! -Jill stłumiła w sobie zaskoczenie i zapanowała nad sobą. - Ja tylko podróżuję z babcią Ricka, tak w ramach przysługi. Nic więcej. Może przeniosę rzeczy do tamtego wolnego pokoju..

- Po prostu powiedz mu „nie”, Jill. Przecież w tym nic trudnego, skoro nie jesteś zainteresowana. Poza tym, potrzebuję tego pokoju dla nieoczekiwanych gości. Na pewno znajdzie się kilka osób, które nie będą w stanie wrócić do domu. -Annalissa wyszczerzyła zęby jak kot i powędrowała w kierunku drzwi na korytarz. -Zejdź na drinka, jak będziesz gotowa. Będziemy wszyscy czekać.
Wyślizgnęła się z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Jill zrobiła poirytowaną minę. Obie zachowywały się nieszczerze.

Odwróciła się i zatopiła wzrok w drzwiach domniemanej garderoby. Poczowała przeszywający ją dreszcz strachu, gdy stwierdziła, że nie są z solidnego drewna. Była przekonana, że są zbyt cienkie, by powstrzymać to, co znajdowało się za nimi. Takiego utrudnienia nawet nie rozważała. Przypomniała jej się uwaga Annalissy o powiedzeniu „nie”. „Tak” byłoby zbyt łatwe.

- ...czy słyszałeś o dżentelmenie-włamywaczu, który w tym roku grasuje na obszarze wyścigów, Eliocie? Już okradł dwa domy. Czy. nie byłoby zabawnie, gdyby tutaj przyszedł?

-Stary, z takim łupem mógłby przejść potem na wcześniejszą emeryturę.

Rick rozejrzał się po przyjęciu wydawanym z okazji zakończenia regat. Rozmowy były niesamowite, tak jak i ta, która się toczyła obok niego. Jowialny, a nawet hałaśliwy nastrój wskazywał na to, że w tym roku wyścigi były udane i niczego nie żalowano. Znał kilkoro z obecnych osób, wśród nich paru Amerykanów, którzy przyjechali na te okazyje. Wszyscy, włącznie z nim samym, byli bardzo wystrojeni
Pociągnął za ciasny kołnierzyk wykrochmalonej koszuli i zaczął się zastanawiać, dlaczego Amerykanom sprawiało to taką frajdę, by stroić się jak angielska arystokracja.

Łatwo było jednak dostrzec Jill wśród eleganckiego tłumu.

Żadna inna kobieta nie miała tyle uroku i energii. Jej koktajlowa granatowa sukienka bez ramiączek błyszczała paciorkami i cekinami. Dekolt był nieprawdopodobnie duży i zakończony dwoma szpicami zakrywającymi piersi i podtrzymującymi je niepewnie. Materiał przylegał do jej ciała. W świetle lamp gęste brązowe włosy Jill przybrały kasztanowy odcień. Uczesała je w kok, który uwydatniał delikatny zarys brody. Buty na wysokich obcasach wpływały tak korzystnie na ładne kostki i łydki dziewczyny, że mógł się godzinami wpatrywać w jej nogi.

„Cholera -myślał rozbawiony -jeśli chodziło o Jill, to mógłbym na nią patrzeć bez przerwy.”

Ale najbardziej wzrok przyciągała obręcz białego światła wokół jej szyi. Brylanty w staroświeckiej oprawie lśniły jasno, a naszyjnik był zakończony dużym wisiorkiem leżącym między piersiami. Nie wątpił, że diamenty te były niesamowicie kosztowne. Sam wyszlifowany wisiorok musiał mieć co najmniej dziesięć karatów. Kamienie zdawały się czerpać ciepło z jej ciała, zupełnie tak, jak powinno być.

Zastanawiał się nad tym, czy było to rozsądne przywozić ze sobą naszyjnik, ale przestał o tym Myśleć, gdy przypomniał sobie, że tej nocy będzie w sypialni obok. Tak blisko. Przed oczami stanęła mu nagle wizja Jill w jego łóżku, otulonej białą, atlasową pościelą dostarczoną niewinnie i zachęcająco przez Annalisse. Tak bardzo pragnął Jill -pragnął ściągnąć z niej przylegającą sukienkę i zmysłowe, czarne, cienkie pończochy, by odsłonić ukryte nęcące ciało. Chciał spędzić z nią całą noc w białym atlasie.

Zdał sobie sprawę, że Jill i jej brylanty przyciągały nie tylko jego wzrok. „Nie chodzi o dżentelmena-włamywacza, ale o coś bardziej niebezpiecznego” -pomyślał, widząc zainteresowanie wykazywane przez kilku mężczyzn. Dokończył przyrządzanie drinków przy przenośnym barku i wrócił do niej.

Jego krok nie był przyspieszony, ale wyrażał władcze zdecydowanie i pewność siebie wskazującą na to, że rościł sobie do niej prawo. Prawie namacalnie dostrzegł, jak zmniejsza się zainteresowanie nią. Niewątpliwie wyczuł, że mężczyźni w grupce, w której stała, „odsunęli” się trochę, choć na pozór się nie ruszyli.

-Proszę -powiedział cicho, wręczając jej drinka. To był już tego wieczora piąty Perrier. Jill musiała być bardzo spragnioną kobietą.

Podziękowała mu uśmiechem, po czym zanurzyła usta w trunku.

- ...i lew zaczął ku mnie pedzia. Największe bydle, jakie kiedykolwiek widziałem. Na pewno chciał mnie zeżreć w ramach kolacji...

Pułkownik Fitchworth-Leeds nadal dominował nad swoją grupką, rozprawiając rozwlekłe. „Ma tych opowieści całą kupę -pomyślał Rick. Od czasu kolacji był w świetnej formie.

Rick zauważył, że jego słuchaczami byli w większości Amerykanie.

Pewnie pułkownik był niegroźny, choć jemu samemu nie odpowiadał.

Jak na jego gust, zbytnio potwierdzał stereotyp Anglika.

Ku jego zaskoczeniu, Jill spytała zatrwożonym głosem.

-I dopadł pana ten lew?

Fitchworth-Leeds parsknął rubasznym śmiechem.

-Strzeliłem do niego z bliska i trafiłem go prosto między oczy. Bydle padło u mych stóp. Rick zacisnął szczękę, słysząc ten gruboskórny komentarz. Poczul, jak Jill wstrząsnął dreszcz.

-Ja bym się tak bała -powiedziała.

Pułkownik wyszczerzył do niej zęby.

-Nie można ustępować tym kocurom. Muszą wiedzieć, kto ma władze.

Jill przytaknęła, po czym wyraźnie zadrżała.

-Może i tak. Ale one są takie ładne...

-To leniwe stworzenia. Na afrykańskim stepie każdy wam powie, że gdyby im na to pozwolić, ciągle by zabijały bydło. - Przerwał jej Fitchworth-Leeds.

Jill znowu mu przytaknęła.

Rick przymknął oczy ze zdumienia. Nie mógł pojąć, jak ta kobieta, która pracowała, by ratować dzikie zwierzęta, mogła tak spokojnie słuchać opowiadań myśliwego. Czy to była ta sama Jill, która zbiegła na dół w samej koszuli nocnej, z desperacją próbując obejrzeć jego łagodną lisią rodzinę? Tamta Jill zbeształaby pułkownika... albo z miejsca go zastrzeliła. Choć teraz, gdy się nad tym zastanowił, zdał sobie sprawę, że przez cały wieczór przysłuchiwała się pułkownikowi razem z resztą wiernej gromadki.

Fitchworth-Leeds zapuścił się w kolejną opowieść, tym razem na temat swoich interesów związanych z importem samochodów. Rick pochylił

się nad Jill, wdychając z przyjemnością delikatny zapach jej perfum, i szepnął

- Czy chciałabyś pójść na spacer?

Lekko przechyliła głowę. Jej usta, tak blisko niego, wykrzywiły się w uśmiech.

-Chętnie... ale gdy pułkownik skończy.

Rick omal nie warknął ze zniecierpliwienia.

-Ależ on tak będzie gadał wiecznie. Zanim skończy, to nas już na tym święcie nie będzie.

-Aśś. -Ale zachichotała. -Wiem, ale chce usłyszeć o tych samochodach. Przydałaby mi się dobra lokata kapitału.

-Zainwestuj w sprawdzone akcje, kochanie. To pewniejsze. Wyprostował się jednak i zaczął słuchać. Pułkownik najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z ich krótkiej rozmowy. Przynajmniej ani na chwilę nie przestał mówić. Jeśli Jill rozważała ulokowanie kapitału w tej imprezie, powinien posłuchać, choćby po to, by wiedzieć, kiedy ją od tego zamiaru odwieść.

Nie mógł stwierdzić, czy pułkownik polecał coś, co nie brzmiało do końca legalnie. Problem tkwił w tym, że nie wiedział, czy sam pułkownik działał zgodnie z prawem. Punktem na jego korzyść było to, że nie zgłaszał samego siebie. Zaznaczał wręcz, że już znalazł partnera w osobie Johna Younga.

Coś Ricka jednak niepokoiło w związku z tym człowiekiem, choć nie mógł tego dokładnie określić. Postanowił ostrzec Jill, by w pełni zbadała tego rodzaju interesy, zanim zainwestuje w nie pieniądze.

Miał wrażenie, że upłynęło ileś godzin, zanim wreszcie mogli wyjść na dwór. Przelotne spojrzenie na zegarek wyprowadziło go jednak z błędu, gdyż minęło nieco więcej niż godzina. Dom był wyposażony w szklane drzwi prowadzące do wewnętrznego dziedzińca, do którego przylegał taras z widokiem na ogród na tyłach. Wszędzie bujnie rosły kwiaty. Jill usiadła na niskim murku i dotknęła ozdobnej donicy pełnej petunii, nagietków, bluszczu i lobelii.

-W Stanach nikt by nie wpadł na to, żeby zasadzić razem taką konglomerację rozmaitych roślin. Jeśli już, to dajemy tylko jedną.

-My wolimy nie marnować miejsca -odrzekł, podchodząc bliżej, aż stanął obok niej.

Z przyjemnością opuścił zadymiony i hałaśliwy pokój. Dochodziła dziesiąta, a słońce dopiero co zaszło -jedna z zalet długich dni na północy.

Jill odsunęła się od niego. Zmarszczył czoło.

-Pewnie my zbyt sztywno myślimy. Przynajmniej ja na pewno tak. Pochylił się nad nią.

-Będziemy musieli jakoś temu zaradzić.

Wstała i przeszła na drugą stronę tarasu.

-Zapisze się na kurs myśli renesansowej.

Trudno było o wyraźniejszą odmowę. Rick zacisnął zęby.

Sprawa nie posuwała się tak gładko, jak przypuszczał.

-Na twoim miejscu uważałbym na pułkownika - powiedział.

Spojrzała na niego nagle.

-O co ci chodzi?

-Chodzi mi o to, żebyś dokładnie sprawdziła jego plany inwestycyjne, zanim ulokujesz tam kapitał.

Wzruszyła ramionami, najwyraźniej nie przywiązując do jego słów żadnej wagi.

Zakipiała w nim złość, jak gorąca i groźna fala.

-Do jasnej cholery, Jill! Psiakrew, co się z tobą dzieje?

- Nic! -zawołała, otwierając szeroko oczy. -A co by miało się dziać?

- Zachowujesz się dziwnie. Jesteś... nie wiem, inna od czasu, gdy spotkaliśmy się z twoimi amerykańskimi przyjaciółmi.

Przejechał ręką po włosach, nie będąc w stanie znaleźć odpowiedniego określenia zmiany, jaka w niej zaszła. Może tymi wszystkimi drinkami miała zamiar się jego pozbyć .

-I nie jestem w stanie uwierzyć, że tolerujesz takiego typa, jak pułkownik, nie mówiąc już o zainteresowaniu się jego działalnością handlową. Jill rozejrzała się rozpaczliwie po pustym tarasie, po czym spojrzała znów na niego.

-Rany boskie, Ricku! Dochodzisz do coraz ciekawszych wniosków. Nie próbuj nigdy typować wyników rozgrywek sportowych w telewizji - za nic byś nie wygrał.

-Chociaż. jestem konsekwentny -warknął, bo jej słowa go ubodły.

-Zachowujesz się głupio. -Odwróciła się i zamaszystym krokiem wróciła do środka, zostawiając go samego.

-Zachowuje się głupio -powiedział półgłosem, odwracając się szybko na piecie i wpychając rece do kieszeni spodni.

-Jak babcię kocham, ja zachowuję się głupio.

Coś tu było zdecydowanie nie w porządku. Problem polegał na tym, że nie wiedział dokładnie co.

„Rick mnie pewnie zabije” -pomyślała Jill, wracając na przyjęcie. będzie miała szczęście, jak on na tym poprzestanie.

Ale musiała się go pozbyć . Wcześniej zdała sobie sprawę, że pułkownik wykazywał zainteresowanie nią tylko wtedy,

gdy Ricka nie było. Choć w jego obecności nie potrafiła

zupełnie się skupić, zauważyła, że Fitchworth-Leeds chyba dał się nabrać na jej działania, mające na celu udowodnienie mu, że „niedaleko spada jabłko od jabłoni”. Kilka razy utkwiał wzrok w jej naszyjniku i prawie widziała, jak jego wstrętny mózg pracuje na pełnych obrotach...

póki nie spojrzał na jej „opiekuna”. Wówczas jego mózg zwalniał.

Nie wiedziała, co ma zrobić, dopóki Rick nie warknął na nią na zewnątrz. Trochę ją przestraszyło, że tak łatwo czyta w jej myślach. No,

ale wykorzystała okazję, by wywołać awanturę. Teraz na pewno została w spokoju

Coraz bieglej mu kłamała i bardzo jej się to nie podobało. Nie miała jednak wyboru. To od niej zależała sprawiedliwość. Na pułkowniku nie kończyły się jej problemy z Rickiem. Myśli jej coraz bardziej zaprzętały cienkie drzwi łączące ich pokoje. Nie była pewna, czy jest rozczarowana, czy też wdzięczna, że drzwi pozostaną bezpiecznie zamknięte. Dotknęła naszyjnika na szyi i postanowiła, że skoro już poświęciła Ricka dla dobra sprawiedliwości, to powinna brać się do dzieła. Najpierw musiała jednak znaleźć toaletę. Pięć drinków z Perrier nie ułatwiało zadania, jeśli chciało się kogoś pozbyć.

Rick chodził tam i z powrotem po sypialni, przeklinając szeptem. Było po drugiej nad ranem i przyjęcie wreszcie się skończyło. Nic nie wychodziło tak, jak on to sobie zaplanował. Aż do tego wieczora cały tydzień regat miał niewątpliwie korzystny przebieg. Wieczór ten był zaś katastrofą. A wszystko dlatego, że otworzył usta, by zadać jedno głupie pytanie.

Zachował się prawie tak, jakby był zazdrosny... i to o starego, nudnego pułkownika. Nic dziwnego, że Jill mu powiedziała, że jest głupi. Była to prawda. Przez resztę przyjęcia trzymała się blisko Fitchwortha-Leedsa, aż było to dla wszystkich całkiem jasne, że ignoruje Ricka.

Wiedział, że jest w pokoju obok; słyszał, jak się porusza w sypialni, szykując się do spania. Spojrzał na swoje łóżko, gdzie ta cholerna biała atlasowa pościel była zachęcająco odrzucona na bok.

Przeklinając zerwał krawat i rozpiął te ohydne koszule. Ni stąd, ni zowąd przyszło mu do głowy, że Grahame byłby z niego dumny, i. zrobił to dopiero teraz. Marynarkę zdążył już rzucić na krzesło.

Zerknął na drzwi dzielące go od Jill. Wiedział, że nie może pozwolić na pozostawienie nierozstrzygniętej sprawy przez noc. Każda cząstka jego ciała ostrzegęła go, że od tej chwili nie będzie odwrotu.

Podszedł do łączących sypialnie drzwi i chwycił za klamkę, ale drzwi nie otworzyły się. Zastukał w nie lekko.

Po chwili ciszy usłyszał z drugiej strony jej głos.

Tak?

- Chce z tobą porozmawiać.

-Słucham cię.

-Nie przez drzwi. Naprawdę muszę z tobą pomówić.

Otwieraj, Jill, i pozwól mi wejść.

- Ricku...

-Proszę cię, Jill. Obiecuje, że nie będę gryźć.

Niecierpliwie przeczekał kolejną chwilę ciszy, a potem rozległ się zgrzyt klucza w zamku i ujrzał przez otwarte drzwi Jill. Jej całe ciało zakrywał bawełniany szlafrok w kwiatki. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że ma całkowicie rozpiętą koszulę i odsłoniętą klatkę piersiową. Poczuł, jak jego ciało zaczyna ogarniać prymitywne żądze. Stłumił je, wiedząc, że pora nie była odpowiednia.

-Słyszałam o kilku świnkach, które się na to stwierdzenie nabrały - powiedziała. -Omal nie dokonały żywota w garnku z wrzątkiem.

-Myślisz, że jestem złym wilkiem z bajki? -spytał z uśmiechem. Całkiem mu się ten pomysł podobał.

-Niezupełnie, ale przez cały wieczór omal nie gryzęś.

-Wiem. Chciałem cię za to przeprosić. Ja się o ciebie... martwiłem.

-No dobrze. -Utkwiła wzrok w jego klatce piersiowej, nie racząc nawet spojrzeć mu w oczy. - Czy to by było na tyle?

Chłód bił od niej, jak wiatr arktyczny i rozpałił jego podenerwowanie do białości, przemieniając je w złość i zagłuszając zdrowy rozsądek.

- Nie, to by nie było na tyle.

Przyciągnął ją do siebie, dopasowując jej ciało do własnego. Złapała powietrze, mając szeroko otwarte oczy, a on natychmiast zakrył jej usta swoimi, zanurzając język do wilgotnego wnętrza. Jakaś resztką logiki mówiła mu, że popełnia błąd, ale zbyt wiele uczuć ogarniało go, by zwracał na ten głos uwagę.

Na początku nie reagowała i stał się mniej natarczywy, nieomal pieszcząc jej usta, namawiając ją, by do niego dołączyła. Przejechał rękami po jej plecach, po całej ich zmysłowej linii. Kusila go krągłość bioder Jill. Opasał jej talie palcami, zamęczając się tą powściągliwością. Przesunął drugą ręką po jej boku, aż dotarł do krągłej piersi. To grzeszne dotknięcie było tego rodzaju, że jego ciało nieomal krzycząc, dopraszało się dalszych grzechów. Pomału, prawie niezauważalnie, opadło napięcie dziewczyny. Jej ręce nieśmiało owinęły się wokół jego szyi, a język zaczął mu dorównywać szybkością ruchów.

Delektował się pocałunkiem jak tylko mógł, chcąc poczuć każdą, nawet najdrobniejszą jej reakcję. Każdy wspaniały centymetr jej ciała był do

niego przyciśnięty i oddzielała ich tylko cienka bawełniana warstwa, złożona z jej koszuli nocnej i szlafroka. Ręce Jill pociągnęły go za ramiona i Rick ślepo sięgnął za nią i zamknął drzwi. Słyszac zgrzyt zamka, poczuł, że ogarnia go satysfakcja. Oparł Jill o drzwi, po czym zdjął swoje usta z jej twarzy. Z zaskoczeniem stwierdził, że z trudem łapie oddech.

Nie mógł się jednak powstrzymać od uśmiechu, widząc lekko spuchnięte usta i zamknięte oczy Jill. Otworzyła je.

-Kiedy zachowujesz się po męsku to idziesz na całego powiedziała półgłosem.

-Cieszę się, że jesteś zadowolona -odparł równie cicho, zachwycony nią.

Złapała w garść jego koszulę i przyciągnęła go do siebie.

-Proszę, jeszcze.

Przeszedł przez niego dreszcz i stracił oddech, gdy zagłębił się w kolejnym pocałunku. Był ogarnięty potrzebą i teraz miało nie być odmowy. Już i tak zbyt długo na nią czekał.

Jej usta były słodkie i upajające. Poczul się wciągnięty w aksamitny wir. Gdy ręce Jill wślizgnęły się pod jego koszulę, skapał się w ognistym chłodzie. Jej palce, przesuwające się po pokrytej włosami skórze jego klatki piersiowej i brzucha, wywoływały nieujarzmione odczucia, które w nim wrzały. Nie znał jakiegokolwiek innej kobiety, która by tak go oczarowała, jak Jill. Wystarczyło jedno jej dotknięcie i zapomniał o całym bożym świecie.

Jill wiedziała, że otworenie drzwi groziło niebezpieczeństwem.

Tak bardzo chciała odmówić, ale brzmienie jego głosu, pełne bólu, który dosłyszala, nakłoniło ją do chwycenia za klamkę. Gdy tylko to zrobiła, nie było dla niej ratunku. Nic się nie liczyło oprócz tego, że była w jego ramionach. Przyznała teraz przed sobą, że rozpaczliwie pragnęła się tam znaleźć. Chciała poczuć jego usta na swoich, przeżyć zespolenie języków, które doprowadzały ich w ciemności do uniesienia. Tak jak w tej chwili. Wszystko w niej krzyczało, ostrzegając, że spędzenie właśnie tej nocy razem z Rickiem było najmniej rozsądne i najbardziej niebezpieczne. Ryzykowała wszystkie swoje plany dla jego dotyku. I to ją właśnie podniecało. On ją nęcił od chwili poznania. Wiedziała, że

było to nieuniknione. Coś w Ricku poruszyło ją dogłębnie, pokonując zdrowy rozsądek i wszelkie bariery.

Jego pocałunek trwał bez końca, niepodobny do wszystkich, jakich przedtem doświadczyła. W końcu zaczęła zdawać sobie sprawę, że leży na czymś miękkim i że pod wpływem ciężaru Ricka ona się stopniowo zapada. Zrozumiała, że doprowadził ją do łóżka. Nie była w stanie sobie przypomnieć, kiedy odsunęli się od drzwi. Cieszyła się tylko, że tak się stało.

Swoim ciałem wcisnął ją w lśniącą, chłodną pościel. Poczula, że jest z atlasu i spowiła ją w promienny biały obłok. Oderwał od niej swe usta i utkwił w niej hipnotyczne niebieskozielone oczy. Namiętność zarumieniła mu policzki.

-Chcę owinąć cię w biały atlas -powiedział, rozpinając bawełniany szlafrok. Jego głos i rozgorączkowane palce sprawiały, że czuła się uwozicielsko i wykwintnie. Ściągnęła mu z ramion koszulę, nasycając palce jego ciepłą skórą. Życie, jakie wiódł, dało mu twarde mięśnie, a ich moc spowodowała, że jęczała.

Zdjął z niej cienkie ramiączka koszuli nocnej, aż cały materiał był na poziomie jej bioder. Schylił głowę. Drażnił językiem jej i tak już twarde jak diament sutki, omal nie zrzucając jej z łóżka. Przez niekończące się minuty wargami i rękami podniecał ją prawie do utraty przytomności. Zrzucili resztki odzieży, by mogło ich ogarnąć niesamowite wrażenie zetknięcia się dwóch nagich dól Jill przejechała rękami po jego tułowiu, śledząc obszar jedwabistych włosków na torsie, ustępujący miejsca twardym mięśniom w pasie. Palce Ricka pieściły ją. Pociągnęła lekko paznokciami po jego udach, wywołując jego jęk. Miotły nią rozmaite odczucia, wywołane katuszami, które on jej zadawał, nie dając jej nawet na chwile spokoju i omal nie doprowadzając jej do szaleństwa. Pocałunkami obrzucił każde erotyczne miejsce na jej ciele, włącznie z takimi, których istnienia się nie domyślała. Jego usta powędrowały jeszcze niżej. Rozchyliła uda i poczuł jej smak, doprowadzając ją do dzikiego szału. Szarpała go rękami do momentu, gdy w ciemnościach uniósł się i wsunął w nią.

Balowała wokół niego jak dobre wino, poruszając się razem z nim, dorównując mu rytmem starym jak świat, ustami czerpiąc od niego powietrze i dając mu je ze swej strony.

Czuła się bezpieczna... i ukochana. Każdym zespalającym pchnięciem oddawała mu swoje ciało i serce, aż osiągnęła zawrotny szczyt, do którego on ją doprowadził. W końcu załazy ją wielokrotnie fale zadowolenia i Rick dołączył do niej w wirującym nurcie.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, czuła tylko żal, że tak go oszukuje.

- Co jest? - wymamrotał, odczuwając wyraźnie zmianę w jej nastroju.

Otworzył oczy i oparł się na łokciu. - Czy byłem a. tak kiepski?

Zaśmiała się i owinęła mu ręce wokół szyi, siłą odsuwając od siebie poczucie winy. Chyba wolno jej było przeżyć jedną zakazaną noc.

-Skądże. Wydaje mi się, że robiłam rzeczy, których się rano będę wstydzić.

-Wiedziałem, że trzeba było wcześniej pozbyć się babci odparł uspokojony.

Jill uśmiechnęła się. W pewnym sensie Lettice była jej opiekunką. Podobnie jak pułkownik i szmaragdowy naszyjnik. Ale Rick przezwyciężył te przeszkody, jak i wszystkie inne.

-Nie wracaj do Stanów razem z nią -powiedział. - Zostań trochę dłużej. Zostań ze mną.

-Nie mogę -odrzekła, myśląc o robocie, czekającej na nią za oceanem, i o tej w Anglii. Powoli zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co zrobiła. Tak jak sir Lancelot, skusiła się, by odstąpić od drogi czystości za sprawą jedynej osoby, która była w stanie zniweczyć jej starania w poszukiwaniu sprawiedliwości. Wątpiła, czy królowa Guinevere sprawiła tyle zamętu, co Rick.

-Wiedziałam, że nie powinniśmy...

- Nie. -Przerwał jej. -Właśnie powinniśmy. Nic tego nie zmieni. Ale teraz nie była odpowiednia chwila, by wyciągać to na światło dzienne. Chciała zaprotestować, ale słowa zamarzy jej w gardle, gdy zaczął węszyć po jej krągłym ramieniu. Jęknęła, a jej wyczulone zmysły natychmiast zareagowały. Uśmiechnął się znad jej ciała i potarł swoim udem o nogę Jill.

-Chyba wyciągnę co innego na światło dzienne -szepnął.

Zachichotała i przywarła do niego.

-Wydaje mi się, że już to zrobiłeś.

Jill odsunęła od siebie resztki wątpliwości, gdy ją przewrócił na drugą stronę. Do diabła z poszukiwaniami, sprawiedliwością i dziedzictwem.

Spędzi z Rickiem choć jedną noc w białym atlasie.

Dopiero po powrocie do Dworu Diabła, Jill odkryła prawdziwą katastrofę, którą spowodowała noc z Rickiem.

Udało im się w miarę spokojnie zjawić na śniadaniu, a jej udało się ponadto ograniczyć do minimum żal i poczucie winy.

Nie zwróciła zbyt wiele uwagi na kilka spraw, które nie wydawały się być w porządku, zanim Annalissa i inni pomachali im na pożegnanie.

Pułkownik zachowywał się sposobem czarującym i z rozmowy dowiedziała się, że zatrzyma się u Youngów.

Łatwo więc będzie wejść z nim w dalszy kontakt po doprowadzeniu do porządku sprawy z Rickiem. To była rzecz najważniejsza.

Całe szczęście, że nie było mowy o zmianie sypialni w Dworze Diabła. Nie było to możliwe przy stałej obecności Lettice. Jill rozpakowała walizczkę i rzuciła sukienki na łóżko, by Grahame mógł je zanieść do pralni. Sama zajmie się ubraniami nadającymi się do prania w domu, choć nie cierpiała malutkiej pralki i suszarki, które stanowiły część standardowego wyposażenia angielskich domów. W tych koszmarnych urządzeniach mieściło się zaledwie kilka sztuk bielizny, a jedno pranie zajmowało tyle samo godzin, co w dużej, porządnej pralce.

Wyjęła woreczek z biżuterią, w którym był brylantowy naszyjnik i otworzyła szufladę, by włożyć go tam razem z imitacją szmaragdów. Coś przykuło jej uwagę. Zmarszczyła czoło, rzuciła go na łóżko i wysypała klejnoty. Jej serce ścisnęła śmiertelna obawa, gdy spojrzała na zawartość. Powoli wzięła naszyjnik do ręki. Nie świecił się w słońcu. Czy te nędzne blaszki w ogóle mogły lśnić?

Siedziała, wpatrując się bezmyślnie w przestrzeń. Przypomniała sobie, że gdy nad ranem wróciła do sypialni, okno było otwarte.

Nie pamiętała, by je otwierała. Wtedy to zignorowała, ale teraz wiedziała, co oznaczał ten fakt. Kradzież.. Ktoś ukradł naszyjnik. W trakcie regat mówiono nawet o kimś takim.

Nie mogła w to uwierzyć.

Wstała w końcu i zeszła na dół, trzymając w reku blaszany naszyjnik. Znalazła Lettice w salonie razem z Rickiem.

-Zdobyl też mój diamentowy naszyjnik -powiedziała bez ogródek, zaskoczona, że może tak spokojnie o tym mówić.
- Co?! -krzyknęła Lettice, prostując się w krzesle.
- Co? -spytał Rick, marszcząc czoło w niewiedzy.
- Fitchworth-Leeds -wyjaśniła Lettice wnukowi, najwyraźniej wiedząc o co chodzi. -Wyłudził od matki Jill, należący do rodziny od stuleci szmaragdowy naszyjnik. Dlatego tu przyjechaliśmy, by spróbować go odzyskać. Ale Edward wysłał nas do tego durnia w Londynie...
- Co?! -Tym razem w głosie Ricka brzmiało zrozumienie... i złość. Zerwał się w stronę Jill i bez trudu ujrzała gwałtowną wściekłość w jego twardym spojrzeniu. Wiedziała, że zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo go wykorzystała. Poprzedniej nocy kierowała się instynktem... i miłością. Nie mogła już temu zaprzeczyć. Jak bardzo teraz żałowała, że nie wyznała mu swych planów, zanim się kochali. Chociażby dla spokoju własnego sumienia. Nie mogła dłużej go oszukiwać, bo zakochała się w nim.
Jak zwykle, jej wersja Prawa Murphy'ego nie chybiła.

ROZDZIAŁ IX

Rick wpatrywał się w bladą twarz Jill. Najwyraźniej była zdruzgotana. Nie obchodziło go to. Na myśl o tym, że nigdy mu nie wspomniała o swym naszyjniku, ogarnęło go niedowierzenie i więcej niż odrobina złości. Dlaczego mu nic o tym nie powiedziała?
-Chwileczkę -stwierdził, tracąc nagle orientację. - Przecież na przyjęciu miałaś na sobie naszyjnik z brylantów, a nie szmaragdów.
- To oba -odparła Jill, a w jego oczach zbierały się łzy.
Chciał ją pocieszyć, ale coś go powstrzymywało. Mówiła dalej głosem zacinającym się z wrażenia.
-Chciałam powiedzieć, że pułkownik zdobył dwa naszyjniki. Nabral moją mamę, by sprzedała mu szmaragdowy naszyjnik rodzinny, który przybył do Ameryki razem z pierwszym Daneforthem, ponad trzysta lat temu. Pułkownik utrzymywał, że skradziono go jego przodkowi.
-A ta idiotka, Caroline -włączyła się jego babcia - połknęła haczyk, chcąc uniknąć skandalu. Zamiast tego wywołała inny. Jill chciała po

cichu odzyskać naszyjnik, więc przyjechałam razem z nią, by jej pomóc. No i zapomniałam o podróży twego ojca...

- I przyjechałaś tutaj. -Rzucił Lettice spojrzenie pełne wściekłości. - Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo to nie jest twoja sprawa. Ojciec Jill nie wie nawet o zaginięciu naszyjnika, a ona próbowała go odzyskać, zanim on się połapie. Z tym, że ten facet, Havilan, do którego posłał nas twój ojciec, okazał się zupełnie bezużyteczny.

- Kiedy Jill się z nim zdołała zobaczyć...? -Odpowiedź zaświtała mu nagle w głowie i spojrzenie swoje skierował na Jill. -W Londynie, kiedy się mnie pozbyłaś.

Przytaknęła i odwróciła od niego oczy.

-Przepraszam.

Wybuchnął z wściekłością.

-Pozwoliłaś mi myśleć, że moja babcia bada się u specjalisty od demencji...

-Demencji! -zaskrzeczała Lettice, wyskakując z fotela.

-Rodericku Kitteridge'u, ja nie cierpię na demencje!

- Trudno w to uwierzyć -odparł półgłosem, wiedząc, że go oszukała. Obie to zrobiły, ale najbardziej dotknął go podstęp Jill.

Jego babka przymknęła oczy.

-Zapłacisz mi...

- Lettice, proszę. -Przerwała jej Jill. - To nie wszystko. Równie dobrze możecie z Rickiem dowiedzieć się całej prawdy.

Jego babka przerwała swą groźbę i oboje wpatrywali się w Jill. Serce Ricka łomotało boleśnie. W jakiś sposób zdawał sobie sprawę z tego, że cokolwiek usłyszał dotychczas, było to niczym w porównaniu z tym, co miało dopiero nastąpić.

- Ja... -Przełknęła i widział, jak jej palce zaciskają się wokół sztucznego naszyjnika. - Ja wiem, Lettice, że ty pomyślałaś, iż sprawa jest zakończona po naszym spotkaniu z panem Havilanem. Ale ja doszłam do wniosku, że gdyby udało się zdobyć potrzebne mi dowody, by zatrzymać pułkownika, mogłabym odzyskać naszyjnik Dancforthów. Zaczęłam więc szukać Fitchwortha-Leedsa i wrobiłam ciebie, Ricku, byś oprowadzał mnie po miejscach, w których on mógł się znajdować, posługując się jako pretekstem tym, że Lettice chciała spotykać się z ludźmi.

-Naprawdę? To imponujące -stwierdziła Lettice.

Rick nie zwrócił na babkę najmniejszej uwagi. Zamknął oczy, po czym je otworzył.

-Regaty.

-Wszystko -odparła cicho Jill. -Wszędzie. Myślałam, że gdybym go skusiła na próbę nabrania mnie na oddanie mu naszyjnika, miałabym potrzebne dowody. Zamiast tego, to on mnie nabrał. Zaaranżował sprawę, by wyglądało to na włamanie, ale wiem, że to jego dzieło.

Był w stanie zrozumieć, że odczuwa potrzebę odzyskania swej własności i wymierzenia sprawiedliwości. Nie mógł jednak pojąć, dlaczego nie przyszła z tym do niego i bardzo go bolało, że tego nie zrobiła.

-Nie ufałaś mi na tyle, by poprosić mnie o pomoc.

-Nie znałam cię na tyle -odrzekła, a w jej głosie i oczach znowu pojawiła się isierka energii. -Myślałam, że spróbujesz mnie powstrzymać. To nie jest coś, co ogłasza się w telewizji.

-A do mojego łóżka to byłaś jednak w stanie wejść, prawda?

-A niech mnie! -wykrzyknęła zaskoczona Lettice.

-Rozumiem -ciągnął dalej - że nie potrzebujesz zaufania, by się kochać. Nie wysilił się nawet, by spojrzeć w stronę babki. Skupił się natomiast na Jill. Gorsze od braku zaufania było to, że go wykorzystwała... całkowicie i bez skrupułów. Wątpił, czy kiedykolwiek byłby w stanie jej to wybaczyć.

Wówczas zdał sobie sprawę z tego, dlaczego tak bardzo mu przykro na myśl o tym, że go wykorzystwała. Zakochał się w niej. Powinien był to pojąć. Przecież z takim trudem nie zabiegałby o nią tylko dla seksu. On ją kochał. A ona zrobiła wszystko, co było konieczne, by wprowadzić swój plan w czyn. To, co wydawało mu się, że o niej wie, okazało się być w zupełności złudne, jak maska założona, by wszystkich nabrać. Była oszustką co najmniej tej miary, co pułkownik, o ile nie lepszą. W tym momencie do pokoju wszedł Grahame, niosąc tace z podwieczorkiem.

- Co to? -spytał, zauważając napiętą ciszę. - Macie wszyscy takie miny, jakby królowa kopnęła w kalendarz.

-Dziękuję, Grahame -odrzekł Rick, odprawiając go gestem.

-Robisz się ważny, no nie? -Rick zobaczył jednak z ulgą, że postawił tace i zajął się filiżankami i spodkami.

-Pułkownik ma tupet -stwierdziła Lettice, powracając do pierwotnego tematu. -A teraz co?

-Teraz -odpowiedziała Jill -pójdę się spakować, wrócę do domu pierwszym samolotem i powiem ojcu prawdę.

Trzeba było tak zrobić na samym początku. Wiedziałam o tym, ale mój mózg zapadł się chwilowo w obszar panowania genów mojej matki.

Ona sama nie potrafiłaby wykoncypować durniejszego planu.

Rick nie rozumiał tego, co mówiła o swej matce. Aż nazbyt dobrze pojął tylko to, że zamierza wyjechać... i to natychmiast.

Chciał zaprotestować, ale nie pozwoliły mu na to jego pokrzywdzony honor i duma.

-Nie -powiedziała Lettice, kiwając głową. -Nie możesz wrócić bez obydwu naszyjników.

-Lettice, mając takie szczęście jak ja, całkiem prawdopodobnie pozwolę następnie temu facetowi zdobyć moje mieszkanie.

-W jej niepewnym śmiechu brzmiała histeryczna nuta. - Ja tylko chce przyczołgać się z powrotem do domu, słyszysz?

-Nie bądź śmieszna! Ricku, powiedz coś dziewczynie.

Nic nie powiedział i tylko patrzył, jak jej oczy przepęlniają się bólem. Przykro mu było, że teraz to on ją krzywdzi, ale to go nie powstrzymało.

Jego babka spiorunowała go wzrokiem, po czym stwierdziła

- Żałuje, że nie ma tu mojej siostry, Ricku. Wiedziałyby co należy zrobić.

Parsknął.

-Na pewno.

-Zaskoczyłaby ciebie, ona i jej mąż, Remy. Uwierz mi.

Niestety, nie ma tu ekspertów... - Lettice pstryknęła nagle palcami. -Juz wiem. Skradniemy mu diamentowy naszyjnik.

- Co!?! -krzyknęli równocześnie Rick i Jill.

-Teraz kto jest śmieszny? -spytała Jill.

- Dlaczego nie? -odparła Lettice. -Jeżeli on może to zrobić, to mamy być gorsi? Musimy tylko wrócić do Annalissy i wziąć naszyjnik. On na pewno jest tam nadal i założy się, że czuje się bezpieczny i zadowolony z siebie.

-Wybacz mi, kochana pani -powiedział Grahame - ale żaden dbający o przeżycie przestępca nie dalby się złapać z łupem przy sobie. Natychmiast zostawiłby go w swojej kryjówce.

-A ty skąd wiesz? -spytał Rick, zirytowany tym, że Grahame nadal jest w pokoju
Grahame westchnął.

-Dlatego, kochasiu, że na pewnym etapie mojego życia sam byłem włamywaczem -najlepszym w swoim fachu.

Rick gapił się na niego bez słowa.

-Moglibyśmy mu to wykraść? -dopytywała się Lettice.

-Jeśli udałoby się wam dowiedzieć, gdzie ma kryjówkę, to owszem, istnieje taka możliwość. -Grahame prychnął pogardliwie.

-Choć Benny Hill miałby większe szanse niż wasza cholerna trójka.

-No to możesz nas wyręczyć! -ogłosiła tryumfalnie rozpromieniona Lettice.

-O nie! Ja się z tego wycofałem i za nic w świecie do tego nie wrócę. Nawet dla pani

-Pokaż mi więc, jak to robić -powiedział Rick i natychmiast poczuł się zaszokowany, słysząc własne słowa.

- Co! -zawołał Grahame. Teraz była jego kolej, by gapić się z otwartymi ustami. Podobnie zachowały się Lettice i Jill. Rick wiedział, że wstąpił w niego jakiś diabeł i rzucił mu wyzwanie, by udowodnia Jill, i. jest godny zaufania mu tajemnic i że zawsze taki był. W pewnym stopniu był w stanie zrozumieć jej chęć samodzielnego podjęcia się wymierzenia sprawiedliwości. Życie we dworze od czasu do czasu zmuszało go do osobistego brutalnego rozstrzygania spraw... w sposób niekoniecznie zgodny z przepisami. Jemu też nie podobało się, że pułkownikowi wszystko miało ująć na sucho.

W duchu jednak przyznał, że nie kieruje się szlachetnymi pobudkami. Jego zraniona duma pragnęła, by pokazał Jill, że trzeba było przyjść do niego z prośbą o pomoc, a następnie on wysłał by ją do domu, błagając o przebaczenie. Pewien był, że nastolatek wykazałby większą dojrzałość, ale to nie powstrzymało jego szalu.

-Pokaż mi -powtórzył.

-Tyś zupełnie zwariował!

-Całkiem możliwe.

Grahame wpatrywał się w niego, po czym stwierdził

- Ja chyba zupełnie zwariowałem.

-Świetnie -powiedziała Lettice.

-Nie -rzekła Jill. -Przepraszam, ale nie mogę wam na to pozwolić.

- Ty w tej sprawie nie masz głosu -odparł Rick, patrząc na nią chłodno.

-Babciu, zadzwoń do Annalissy i dowiedz się, gdzie jest Fitchworth-

Leeds. Powiedz jej, że usłyszałaś o jego intratnych transakcjach i chcesz w to zainwestować, albo coś w tym stylu. Wymyśl coś prawdopodobnego, żebyś

nie miała problemów. Ja zadzwonię do starego kumpla ze szkoły, który pracuje w Scotland Yardzie i naprawdę będzie mógł nam pomóc z pułkownikiem. Nie wiem, dlaczego zwróciłyście się z tym do taty. On jest tylko ambasadorem i nie zna nikogo, kto by się naprawdę przydał. Grahame, ty w tym czasie przygotuj się do moich lekcji, a my postaramy się dojść do jego kryjówki.

-Widzę chłopcasiu, że już chwytasz .argon -stwierdził Grahame, a w jego głosie słychać było wręcz aprobatę.

-No, idź już.

-Do tego jesteś apodyktyczny.

Kiedy Grahame i Lettice opuścili pokój, Jill powiedziała

-Ricku, przepraszam.

-Nie zaufałaś mi, Jill. -Ogarnęła go gorycz. -Poszłaś ze mną do łóżka i dałaś mi do zrozumienia, że to naprawdę coś znaczy. Czym to miało być? Podziękowaniem za wykorzystanie mnie i mojej rodziny?

Wyglądała na dotkniętą, po czym zamknęła się w sobie.

-Nie. Posłuchaj, dajmy sobie z tym spokój. Ja po prostu wrócę do domu...

- Nie. Pokazałaś bardzo wyraźnie, że jesteś tu tylko po to, by odzyskać swoje cholerne klejnoty. A zatem, kochanie, odzyskamy twoje cholerne klejnoty i, psiakrew, nie wrócisz do siebie, zanim tego nie zrobimy. Rozumiesz?

Odwrócił się na piecie i wymaszerował z pokoju.

Okazało się, że pułkownik ma metę w Konwalii.

Jill zamknęła oczy, gdy mercedes pędził po wiejskiej drodze.

Przyjaciół Ricka rzeczywiście bardziej im pomógł niż pan Havilan, choć potrzebował trzech dni na odkrycie, że pułkownik

ma domek w kornwalijskim kurorcie Falmouth. Po kolejnym dniu wyszło na jaw, że po regatach Fitchworth-Leeds powrócił natychmiast do siebie. Obecnie z powrotem był u Youngów, a jego domek stał teraz pusty. Nie trudno było odgadnąć przyczynę jego krótkiej wyprawy do domu. Nadal jej się w głowie kręciło od energicznych poczynań Ricka, który w przeciągu dwunastu godzin załatwił nocleg w pobliskiej wiosce Penryn i dowiózł ich wszystkich na miejsce. Przejął się tym nie na żarty.

Teraz we dwójkę zmierzali ku Falmouth, by zbadać ewentualną „kryjówkę” pułkownika. Jill stłumiła w sobie westchnienie. Podczas wszystkich przygotowań Rick nie zamienił z nią słowa, chyba że musiał. W ogóle nie chciał słuchać jej zastrzeżeń przeciwko tej wyprawie do Kornwalii. Zamykał się w pokoju z zarządcą fermy lub z Grahame'em. I każdego wieczora, gdy szedł korytarzem, nawet nie przystanął na chwilę przy drzwiach do jej sypialni. Jill nie mogła go obwiniać za te złość. Był człowiekiem honorowym, a ona go okłamała i oszukała. Jednak nie mogła pozbyć się przeczucia, że jej pierwsze odruchy były słuszne - że gdyby wyznała prawdę, to by ją powstrzymał. Wyczuwała każdy jego ruch, gdy prowadził samochód... jego silne ręce, przesuujące się po kierownicy... jego napięte uda, gdy hamował... Była głupia. Wiedziała już, że chętnie zamieniłaby oba naszyjniki na Ricka. Teraz jednak było to bez znaczenia. Całkiem wyraźnie dał jej do zrozumienia, że jej nie chce. Ona sama by siebie nie chciała. Zasłużyła na tę karę.

-Jak się nazywa ta ulica?

Wyprostowała się szybko na siedzeniu, zaskoczona, że się do niej odezwał. Spojrzała przez szybę, zdziwiona, że nie zauważyła, jak dotarli do Falmouth.

-Ulica Sea Mist, numer 27 -odparła, patrząc na plan,który wzięli ze sobą. -A co będzie, jak to nie tu trzyma swój towar?

-Dlaczego więc zadałby sobie tyle trudu, żeby zataić swe nazwisko na akcie własności nieruchomości, tak jak według Jerry'ego zrobił? -spytał Rick. -Już od dawien dawna Falmouth stanowiło teren przemytników i idę o zakład, że jest to nadal świetne miejsce, z którego można wyprawa nielegalnie towary na kontynent. Miejmy tylko nadzieje, że twoich

rzeczy jeszcze nie wysłano. Jill nic nie odrzekła. Co w końcu mogła powiedzieć, by nie zabrzmiało optymistycznie, gdyż tego na pewno nie chciałby usłyszeć.

Numer 27 okazał się być jednym z kilku domków w miarę oddalonych od siebie, ciągnących się wzdłuż, cichej pagórkowatej dróżki na obrzeżach kurortu. Rick podjechał dalej i zaparkował za rogiem, po czym oboje wysiedli i zawrócili krokiem spacerowym, jak para przypadkowych turystów.

-Chyba nikogo nie ma -stwierdziła Jill, przyglądając się małemu białemu domkowi, stojącemu wśród kilku podobnych. W jasnym świetle poranka nie widać było żadnych śladów ludzkiej obecności.

-Te wysokie mury między posiadłościami wyglądają obiecująco - powiedział Rick z twardym uśmiechem. -Przynajmniej nikt nie powinien nas widzieć, gdy będziemy wchodzić i wychodzić.

Jill przytaknęła, czując w żołądku nerwowy skurcz. Grahame ograniczył się do udzielenia porad i lekcji, a wiek Lettice uniemożliwił jej wzięcie czynnego udziału. Urządzali we dwoje maraton kulinarny, podczas gdy ona i Rick byli zdani wyłącznie na siebie. Zwróciła uwagę na pewną cechę domu.

-Te szklane drzwi też nie zaszkodzą.

Rick zaczął szybciej schodzić po stromym zboczach ulicy.

-Grahame nazwałby to miejsce skarbem. Pomyślałby człowiek, że kto jak kto, ale pułkownik powinien mieć więcej rozumu w głowie.

-Niby dlaczego? -spytała sucho. -Zachowuje się i wygląda tak normalnie, że nikt nie będzie go podejrzewać.

A ten domeczek zbyt skromnie wygląda, by skusić zwykłego włamywacza.

-Ty się znasz na udawaniu -powiedział Rick, patrząc prosto przed siebie. -Więc pewnie masz rację.

Zacisnęła zęby, żeby mu się nie odciąć. Skończyło się chwilowe zawieszenie broni. Ta wojna zaczynała jednak już nieco męczyć.

Późną nocą Jill doszła do wniosku, że zewnętrzne szczegóły domu nie były takie oczywiste

-Nic nie widzę -szepnęła, zastanawiając się, jak im się w ogóle udało znaleźć właściwy dom w ciemnościach. Zderzyła się prosto z plecami Ricka.

-Uważaj! -szepnął ostro.

Wypluła z ust nitkę jego swetra.

-Cholera, nie widzę, gdzie jesteś. -Oboje byli ubrani całkowicie na czarno. -Nic nie widzę!

- To dlatego, że nie ma księżycy, a w tym miejscu nie stoją też latarnie - odparł cierpliwie, po czym warknął. -A teraz złap się za mój sweter, trzymaj się go mocno i siedź cicho!

Wykrzywiła się w jego stronę, ale on się już odsuwał, pozostając pod osłoną krzewów w ogrodzie pułkownika. Złapała szybko za jego sweter, zanim zupełnie zniknął w ciemnościach, tak jak poprzednim razem.

Ku jej zdziwieniu, przemknęli przez podwórko prawie bezszelestnie.

Wymusiła na nim swój udział i było to jedyne ustępstwo, na które poszedł. Teraz omal tego nie żałowała, czując się tak, jakby przeszkadzała Rickowi. Z drugiej strony Grahame zgodził się z nią. Dodał nawet, że jeśliby ktoś ich zobaczył, mogliby zachować się jak para kochanków, myśląca tylko o najbliższym łóżku.

Nawet teraz na wspomnienie tych słów poczuła, że krew uderza jej do policzków. Rick tylko spojrzał na niego wilkiem i powiedział Grahame'owi, by nie był głupi. „Świetnie -pomyślała. -Wolał zaryzykować, że nas złapią niż znów mnie pocałować”.

Myśli te spowodowały, że była aż nazbyt świadoma muśnięcia jego talii o jej rękę, gdy się przesuwali. Zwolniła nieco, pozwalając mu oddalić się i oddzielając ich dłoń o centymetr.

-Jill!

-Przepraszam -wymamrotała, przysuwając się ponownie.

Omali się z nim znów nie zderzyła, gdy zatrzymał się nagle.

- Oszklone drzwi. -Jego głos był ledwo słyszalnym szeptem.

Wpatrywała się zza jego pleców w ciemność. Tu. przednimi zdawała się być ciemniejsza plama, ale nie była tego do

końca pewna. Cieniutki strumień światła z małej latarki Ricka

zatoczył szybkie koło i znikł, ale zdążyła ujrzeć w przelocie ceglana posadzkę i składany stolik.

- Taras. Uważaj na różne przedmioty.

Przytaknęła i szła za nim na palcach. Choć bardzo chciała

mu dać klapsa, musiała przyznać, że zachowywał się w sposób godny podziwu. Był przez cały czas na luzie. Gdyby go nie znała, przysięgłaby wręcz, że jest fachowcem. Oparła się pokusie zanucenia melodii z filmu o Różowej Panterze. Rick przypuszczalnie by tego nie docenił. Zatrzymali się w chwili, gdy zobaczyła, że coś wyłoniło się przed nimi z ciemności.

Usłyszała cichutki brzęk metalu, gdy wyciągnął zestaw specjalnych kluczy, który mu dał Grahame. Dodał też, że jeśli one nie poskutkują, to niczego innego nie znajdą. Chłodny wiatr przywiał znad La Manche i Jill zadygotała, ciesząc się ze swoich rękawiczek. Rick musiał wypróbować kilka kluczy, zanim się wyprostował.

-Zrobione.

-Tylko jeden zamek?

-Tak.

Kiwnęła głową. Było tak, jakby Fitchworth-Leeds sam chciał, by go okradzione. Gdyby to było w Stanach, już by to się dawno stało.

Rick otworzył uważnie drzwi i weszli do środka. W świetle malutkiej latarki zobaczyli pokój przepięknie obitymi perkalem meblami, stolikami, lichtarzami i oprawionymi fotografiami.

Jill zmarszczyła brwi. Pokój był przeładowany ozdobami, jakby urządziła go kobieta. Spodziewała się męskiego, spartańskiego wystroju

-Od czego zaczynamy? -spytała półgłosem, czując się przytłoczona.

-Grahame mówił, żeby obejrzeć pokoje po kolei -odparł cicho Rick. -Zacznij od tej strony, a ja zajmę się tamtą ścianą. Wykładzina pokrywa całą podłogę, więc możemy sobie ją darować.

Przytaknęła i włączyła swoją latarkę. Uważnie odchyliła wszystkie obrazy i zajrzała z trudem za obszerną serwantkę.

Jej bębenki drżały od gwałtownego łomotania serca. Czowała się tak, jakby miała za chwilę zemdleć i przez moment zastanawiała się, czy przeżycie połączone z ilością wrażeń nie przyprawi ją o atak serca. Rick by ją pewnie zabił, gdyby miała teraz zawał.

W głowie rozbrzmiewało jej, jak litania, ostrzeżenie Grahame'a, by szukać przedmiotów albo bardzo zwykłych, albo wyjątkowo niecodziennych, które by mogły służyć za kryjówkę. Rzuciła okiem na zdjęcie, stojące na jednym ze stolików, po czym poszła dalej. Po chwili cofnęła się i wlepiła spojrzenie w małe dzieci, występujące na kilku

fotografiach. Były trzy zdjęcia szkolne, ale największe, na którym dzieci były w strojach kąpielowych, zrobiono na tarasie pułkownika. Na innej fotografii widać było starsze małżeństwo z siedzącym obok małym terierkiem rasy John Russell. Czyżby to byli krewni pułkownika?

W tej chwili rozległo się nad nimi rozszalałe szczekanie, po czym usłyszała krzyki. Rick poświęcił w jej stronę latarką i równocześnie dał się usłyszeć tupot łapek, wybiegających z pokoju na górze.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Rick już wyciągał ją z domu. Zamknął za nimi oszklone drzwi.

- To chyba nie jest dom pułkownika! - wysapała.

- A to nie na żarty - odparł Rick. - Wiejemy!

Popędzili w stronę tylnego muru, którą weszli. Kiedy tam dotarli, Rick nieomal przerzucił ją przez ponad metrową stiukową barierę. Wyłądowała na dużym podwórku domu, leżącego na tyłach. Obróciła się błyskawicznie, słysząc, że wrzaskliwe szczekanie jest już coraz bliżej, poza domem.

- Algernonie, to tylko znów ten cholerny kot! - Dał się słyszeć krzyk przez psi jazgot. - Algernonie!

- Chodź, Ricku - powiedziała, widząc w przelocie pędzącą prosto w ich kierunku małą plamkę.

Rick zaczął wspinać się po murze, ale plamka przyczepiła się do jego nogawki. Spadł na podwórko, wydając z siebie zduszony jęk. Odwrócił się i odgonił od siebie zwierzę. Pies nie był duży, ale przyjął bojową pozę przed Rickiem.

- Zostań, Algernonie! Siad! - syknęła Jill do psa.

Zwierze wyskoczyło w górę akurat na wysokości krocza Ricka. Słychać było, jak zwarty się szczeki psa, chybiając o kilka centymetrów.

- Cholera jasna! - krzyknął Rick i przeskoczył przez mur prawie tak efektywnie jak Algernon.

Gdy Rick wyłądował bezpiecznie u jej boku, Jill pobiegła w stronę zaparkowanego na ulicy samochodu. Zasłaniała sobie bez przerwy usta ręką, by stłumia śmiech.

ROZDZIAŁ X

- Czy jesteś pewien, że to właściwy dom?

Rick zacisnął zęby, słysząc rozbawiony głos Jill.

-Nie, to rezydencja premiera. Tak, to właściwy dom. Tym razem sprawdziłem dokładnie.

-Miejmy więc nadzieje, że tu nas Algernon nie usłyszy.

Rick wykrzywił usta na wspomnienie zeszłej nocy. O mały włos uniknął nieszczęśliwego zetknięcia z psem z sąsiedztwa.

Nie miał pojęcia, że takie maleństwo może tak wysoko skoczyć. Najwyraźniej, jeśli Algernon nie był w stanie osiągnąć szyi, równie dobrze zadowoliliby się czym innym.

Wyglądając zza drzew, poprzysiągł sobie, że tym razem nie będzie żadnych komplikacji. Noc była równie ciemna jak poprzednia i z trudem rozpoznawał dom. Gdy tego dnia pojeździli po okolicy, dowiedział się, że domek jest dokładnie taki sam, jak mieszkanie Algernona. Nic dziwnego, że mu się pomieszało. Nie zrobił żadnego ruchu, chcąc być w pełni przekonany, że dom jest pusty,

-Chyba nikogo nie ma -szepnęła Jill, patrząc razem z nim.

Opierała się lekko o jego bok i zdawało mu się, że jej ręka wypala mu piętno na ramieniu. Ciepło ciała Jill ogrzało mu krew, gdy piersią musnęła jego rękę. Ogarnęła go delikatna

woń jej perfum. Rick wstrzymał oddech i poczuł głęboki dreszcz pożądania. „Tak szybko wywołuje we mnie reakcja pomyślał, walcząc z chęcią odwrócenia się i wzięcia jej w ramiona. Od czasu przyjazdu do Kornwalii była taka bierna. Spodziewał się, że będzie jakoś sprzeciwiać się jego złości, że wykaże choć trochę, że zależy jej na nim, a nie tylko na swoich klejnotach. Jej postawa była jednak wymownym świadectwem.

Nie miał zamiaru dwukrotnie robić z siebie idioty, więc zmusił się do wyprostowania i przerwania nastroju bliskości.

-Chodźmy.

Gdy posunął się do przodu, złapała go za sweter. Pomyślał, że musi być chory umysłowo, by próbować jeszcze raz. Ale w związku z własną dumą i doborowymi uwagami Grahame'a na temat ostatniego niepowo-

dzenia, jego zdrowy rozsądek zupełnie zбочył z drogi. Fakt, że Jill mu towarzyszyła, świadczył tylko dobitniej o tym, że wpadał w obłąd.

Zatrzymał się, czując pod stopami coś innego niż trawę i zatoczył łuk latarką. Ten taras był betonowy i pozbawiony jakiegokolwiek umeblowania. Uśmiechnął się. Na pewno nie był to dom Algernona.

Oszklone drzwi stanowiły dokładną kopie tych z poprzedniego dnia, podobnie zresztą, ku jego zdumieniu, jak i zamki.

Uważne sprawdzenie framugi nie ujawniło śladów skomplikowanego systemu alarmowego. Najwyraźniej Jill miała racje co do psychologii pułkownika. Wszystko wyglądało równie normalnie, jak u każdego przeciętnego człowieka.

Rick uśmiechnął się groźnie i wyciągnął swoje klucze. Tego pewnego siebie drania spotka duża niespodzianka.

Ku własnemu zaskoczeniu zawahał się przez chwile, czując wyrzuty sumienia, że samodzielnie szuka zadośćuczynienia. Chciał jednak odzyskać własność Jill. Jego wściekłość z powodu sposobu, w jaki go potraktowała, w niczym nie ostudziła jego miłości, choć powinna była. Nie powinien już potrzebować jej tak, jak poprzedniej nocy... i teraz. Nie powinien jej pomagać w wymierzeniu pułkownikowi surowej sprawiedliwości.

-Ricku! -Trąciła go łokciem w plecy.

-Racja -odparł półgłosem i wepchnął „czarodziejski” klucz do zamka. Gdy już byli w środku, oboje na chwile włączyli latarki, zasłaniając światło rekami. Zasłony nie były do końca zasunięte i Rick oparł się pokusie poprawienia ich. Fitchworth-Leeds, czy nawet jakiś sąsiad, mógłby zauważyć zmianę. Facet im jednak całkowicie sprawy nie ułatwił.

- To wygląda bardziej obiecująco -szepnęła Jill, oświetlając latarką skromną linie skandynawskich foteli.

- Dlaczego? -spytał zaintrygowany. On sam niczego nie zauważył.

- Żadnych śladów kobiecej reki. Miejmy nadzieje, że nie ma też bliźniaka Algernona.

Rick zaśmiał się i wyłączył latarkę.

-Uważaj, Jill, bo wykrakasz. Zacznij od tej strony pokoju, a ja zajmę się tamtą.

Działali szybko. Rick sprawdzał za obrazami i odsuwał

meble od ścian. Próbował nawet wyważyć gniazdko, na wypadek, gdyby za nimi kryły się sejfy. Jill pomogła mu wyszarpnąć brzegi dywanów spod krzesła, które wyglądały na łatwe do przesunięcia. Niestety, zadanie wydawało się równie monumentalne, co poprzedniej nocy.

- Nic. Do następnego pokoju -szepnął, dumny z tego, że tak sprawnie i cicho pracowali razem.

Przeszli przez kolejne dwa pomieszczenia, zanim zwrócił uwagę na pewien szczegół wykładziny w łazience na dole.

Pokrywała całą podłogę, co samo w sobie nie było niezwykle.

Przykłęknął jednak i pociągnął za brzeżek pod małą umywalką. Był luźno przybity.

- Co jest? -spytała Jill, kucając za nim i świecąc na wykładzinę. Łazienka ta znajdowała się w sercu domu i nie miała okien.

-Nie wiem. -Odciągnął wykładzinę i przyjrzał się małemu metalowemu krążkowi, wprawionemu w podłogę. Był średnicy około piętnastu centymetrów i w samym środku miał zamek, a wokół zewnętrznego brzegu widniała wetknięta rączka. Serce zabiło mu żywiej.

-Trafililiśmy! -stwierdziła Jill głosem drżącym od emocji.

Zawahała się. -Jak to otworzymy?

Uśmiechnął się do niej.

-Używając magicznych kluczy Grahame'a, oczywiście. Zamek nie był tak prosty, na jaki wyglądał i Rick przeklinał, mecząc się z kolejnymi kluczami. Połowa z nich nie chciała nawet wejść, a reszty nie można było obrócić. W małym pomieszczeniu oprócz nich znajdowała się jeszcze umywalka i ubikacja. Jill właściwie leżała na jego plecach, by świecić mu latarką przez ramię. Każdy ruch powodował przesuwanie się światła. Co gorsza, wiedział, że nie usłyszy żadnego hałasu, dobiegającego z reszty domu. Poczł skurcz w żołądku na myśl o tym, że ktoś ich może nakryć.

-Spróbuj przekręcić zamek w drugą stronę -poradziła usłużnie.

-Nie ruszaj tej cholernej latarki! -warknął, kręcąc kluczykiem w odwrotną stronę. Pociągnął gwałtownie za rączkę, ale nie drgnęła.

-Nie muszę tego wysłuchiwać! -warknęła z kolei ona. -Od samego początku mi przygadujesz. Jeśli to stanowi dla ciebie taki problem, to wróćmy do domu.

-Daj sobie spokój, Jill. -Chrząknął z wysiłku, próbując

przekręcić klucz. Był tak zdesperowany, że już się nie przejmował możliwością złamania klucza w zamku.

-Nie -odparła. -Nie prosiłam cię o pomoc. Chciałam sama się zająć tą sprawą. Miałam nawet zamiar wrócić do domu, gdy wszystko się pokręciło. Ale nieeee -powiedziała przeciągle. -Szanowny rycerz na białym koniu musi się poświęcić, a potem przez cały czas narzekać. Nie potrzebuje twojej pomocy, Ricku, słyszysz?

-Powiedziałem, że ci pomogę, do jasnej cholery! -przeklął sążnięcie, gdy kolejny klucz omal nie utkwił w zamku.

- Ty tylko próbujesz wywołać we mnie poczucie winy za to, że cię skrzywdziłam -stwierdziła, przyciskając się mocniej, by mogła ujrzyć jego twarz.

Jej piersi wgniatały się w jego plecy. Krew w nim pulsowała teraz z pożądania, a nie złości.

-Zdażyłeś odplacić mi pięknym za nadobne... i to z nawiązką. Czy teraz jesteś zadowolony?

Krażek nagle wyskoczył z podłogi. Rick wpatrywał się w niego zdziwiony. Jill wciągnęła nagle powietrze i owinęła mu rękę wokół szyi, nachylając się bliżej z latarką.

Przekręcił głowę w jej stronę, rozradowany i podniecony.

- Co mówiłaś?

Uśmiechnęła się szeroko. Jej twarz była w półmroku.

-Nie pamiętam.

Przycisnął jej usta do swoich w pocałunku, który wywrócił świat do góry nogami. Było to tak dobre, tak słuszne i tak delikatne, że nie był w stanie sobie przypomnieć wszelkich przeciwwskazań. W końcu zdali sobie sprawę z niewygodnego położenia.

Podniósł głowę.

-Przykro mi, że o to proszę, ale czy mogłabyś przestać figlować po moich plecach jak małpka?

Zachichotała i odsunęła się trochę, choć nadal była na tyle blisko, że czuł jej przytulone ciało.

Uśmiechnął się zadowolony, po czym odsunął krążek, pod którym znajdowała się walcowata skrytka. Zbyt wiele nie mogło się w niej zmieścić, ale była wypchana po brzegi.

Wyciągnął papierowe koperty z napisami: „Umowa pisemna”,

„Testament” oraz „Akta sprzedaży” -zupełnie w normie. Małe zamszowe zawiniątko nie było jednak równie zwyczajne. Drżącymi palcami rozwinął je. Oddech Jill stał się nierówny. Nastrój podniecenia był wszechogarniający.

W świetle latarki zabłysnął nagle zielony promień szmaragdów.

Były spore, największe, jakie kiedykolwiek widział.

Oszlifowane kwadraty były tak piękne, że zapierały dech w piersiach.

Kamienie poprzepłatano perłami, które lśniły różowym blaskiem.

Trzymał z czcią naszyjnik, zachwycając się wspaniałym rzemiosłem minionej epoki. Była to ozdoba godna królowej.

-Rozumiem. -Westchnął. Gdyby te szmaragdy należały do niego, zabiłby każdego, kto by je nawet dotknął. Widząc naszyjnik, był w stanie wybaczyć jej to, co zrobiła, by go odzyskać.

Sedno sprawy tkwiło w tym, czy coś do niego czuła.

Miał nadzieje, że tak...

Jill wolną ręką sięgnęła i przesunęła palcami po kamieniach.

-Dziękuję -szepnęła.

Kiwnął głową. Przyszło mu na myśl, że marnują czas, a on nadal zbyt dobrze nie słyszał, co się wokół działo.

-Powinniśmy się stąd wynieść.

Włożyła rękę do drugiej kieszonki zamszowego etui i wyciągnęła diamentowy naszyjnik. Był piękny, ale nie dorównywał pierwszemu.

- Co za drań -powiedział półgłosem Rick, myśląc o tym, w jaki sposób pułkownik poniżył Jill. Stwierdził, że lepiej dla tego faceta, i. nie ma go w tej chwili przed sobą.

- Zaczekaj. - Jill odwróciła się. Zmuszony był również zmienić położenie z powodu braku miejsca. Odkręcił się do niej twarzą, by ujrzeć, jak sięga w głąb swych spodni Wyciągnęła woreczek, a z niego wierną kopie szmaragdowego naszyjnika. Rick podniósł brwi.

-Wiedziałem, że masz tam skarb...

-Ricku! -upomniała go, ale z uśmiechem. Wyjęła następnie sfalszowany naszyjnik, zostawiony jej przez pułkownika w miejsce brylantowego.

-Jaki będzie twój bisowy numer?'-spytał.

-Poczekaj to zobaczysz.

-Chyba tak zrobię.

Zgasł jej uśmiech, gdy patrzyła na niego. Wzięła mu z reki prawdziwe szmaragdy i włożyła je do woreczka razem z diamentowym naszyjnikiem. Wepchnęła sztuczną biżuterię do zamszowego etui.

- To go na trochę zajmie.

Rick też zastanowił się nad reakcją pułkownika, po czym przypomniało mu się coś, co powiedziała jego babka w dniu wyznania prawdy przez Jill. Podniósł kopertę z napisem „Akt sprzedaży” i otworzył ją. Tak jak się spodziewał, pismo w środku dotyczyło naszyjnika. Potwierdzał to kwiecisty podpis Caroline Dancforth. Prztyknął papierem w stronę Jill, a ona skierowała na nie latarkę. Wzięła następnie akt sprzedaży i schowała pod swetrem.

- To niesamowite, że jeszcze nie przekazał tego paserowi -stwierdził.

-Wiem. Modliłam się, żeby tego nie zrobił, ale nadal trudno mi w to uwierzyć. Cóż, on jest oszustem, a nie zawodowym złodziejem. Pewnie okazało się, że trudniej sprzedać naszyjnik niż mu się to wydawało.

Rick uśmiechnął się.

- To dobrze dla nas.

Wzięła kopertę i mrugnęła okiem.

-A teraz moja następna sztuczka -powiedziała i włożyła dokument pod sweter.

„Jest bardziej wciągająca, niż jakiegokolwiek przygody” pomyślał, coraz bardziej ogarnięty chęcią wydostania się z domu i bycia z nią sam na sam. Przejrzał najpierw pozostałe koperty. Uniósł brwi na widok jednej i włożył ją do kieszeni

Jego koledze w Scotland Yardzie bardzo się przyda zawarta tam informacja na temat rolls-royce'ów.

-Wydaje mi się -stwierdził –że właśnie daliśmy pułkownikowi do zrozumienia, że zakończył interes i to na dobre. Ustawili wszystko z powrotem na miejsce, usuwając wszelkie ślady swej obecności. Wyszli z domu dwa razy szybciej niż weszli i w mig przebiegli przez trawnik. Na zewnątrz wszędzie panowała cisza i żaden hałas ani ruch nie świadczył o czymś niezwykłym. Przedostali się przez niski murek, tym razem na podwórko innego sąsiada. Nikt nie drgnął w obu wyciemnionych domach.

Zwycięska radość przepelniła Ricka i uśmiechnął się szeroko.

Za jakimiś azaliami i pod bezpieczną osłoną dębu, wciągnął Jill w swe objęcia.

-Kocham cię -powiedziała.

Tego mu tylko do szczęścia brakowało. Odnalazł jej wargi i usta ich zwały się. Ich języki poruszały się razem bezustannie.

Przycisnęła się do niego w tej samej chwili, gdy on przyciągnął do siebie jej ciało. Wpijała mu w ramię paznokcie przez sweter, ogarnięta rosnącą namiętnością.

Było to nieroztropne, ale możliwość, że ktoś może ich w każdej chwili schwytać jeszcze bardziej go podniecała. Nie obchodziło go ani to, ani jakiegokolwiek inne ryzyko. Oderwał od niej usta.

-Kocham cię. Pragnę cię.

Ona już go ciągnęła na ziemię.

- To nie jest bezpieczne -wymamrotał, gdy na jego świadomość wpłynęła resztką zdrowego rozsądku.

- Wiem. -Popchnęła go na plecy, po czym ściągnęła mu sweter i przejechała rękami po jego klatce piersiowej. -Wiem. Myślałam, że cię utraciłam.

-Nigdy.

-Kochaj mnie, Ricku.

Przeszedł przez niego dreszcz i ich usta złączył pocałunek, który nimi wstrząsnął. Pozbyli się odzieży i przycisnęli do siebie nagie ciała. Połączyli się z namiętnością i miłością, trzymając w ściśle splecionych rękach biżuterię wartą majątek.

- To dziwne uczucie być zwyczajnym szarym turystą.

Szczególnie po zabawie we włamywaczy.

Jill uśmiechnęła się w odpowiedzi na słowa Ricka. Wędrowali przez centrum Falmouth zupełnie jak para turystów.

Pomyślała, że to dość bezczelne, uwzględniając, że minęły dwa dni od przygody, ale Grahame im zalecił, by pozostali na miejscu przez jakiś czas, zachowując się normalnie.

Skoro Falmouth było największym miastem na półwyspie Lizard, Rick doszedł do wniosku, że w ramach tego należy je zwiedzić.

- Czy uważasz, że było to rozsądne wracać na miejsce wiesz czego? - spytała, gdy inni przechodnie byli poza zasięgiem słuchu.

-Przecież tylko przejechaliśmy jedną ulicę. -Uśmiechnął się. -No dobrze, więc była to akurat jego ulica. Spokojnie. Jesteśmy tu na drugim krańcu miasta. To tak, jakbyśmy byli na drugim krańcu Londynu. Dobrze, że babcia nie przyjechała. Zabiłaby się na tych stromych wzgórzach.

-Prędzej my się na nich pozabijamy.

Jill była nieco odchyłona w tył, by zrównoważyć ostry spadek terenu, a mięśnie jej nóg już były napięte. Z przyjemnością jednak czuła słońce na swej twarzy, choć bezustanny wietrzyk oblepiał jej dzinsową spódnice wokół nóg. Pięknie utrzymane domki z tarasami, tłumy spacerowiczów i ochryple krzyki kołujących mew wpływały na nią uspokajająco. Tamta noc wydawała się nieprawdziwa... oprócz naszyjników, bezpiecznie schowanych do walizki. Powodzenie wpłynęło jednak zbyt korzystnie na śmiałość Ricka, będzie musiała go przypilnować, co nie stanowiło przykrego zadania.

-Tak się cieszę, że mi przebaczyłeś -powiedziała, opierając się o jego ramie.

Ścisnął mocno jej rękę i przepełniła się jego ciepłem dzięki temu poczuła się zarazem upragniona i pragnąca. Przez ostatnie kilka dni potrzeby te zostały tak wspaniale spełnione, że omal nie zrobili z siebie widowiska. Lettice kazała im wyjść trochę na światło dzienne.

-Właściwie to ja ci jeszcze nie przebaczyłem -stwierdził Rick. Nie mogła zobaczyć jego oczu -przesłoniętych okularami słonecznymi, ale był bardzo na luzie. Zatrzymał się i szepnął dramatycznie. -Mam zamiar zrobić z ciebie moją nałożnicę.

Roześmiała się.

-Potrafisz świetnie podbudować męskie ja. -Spoważniała. -

Nienawidziłam tego, co robiłam, Ricku, nie wiem, jak ci będę mogła to kiedykolwiek wynagrodzić.

- Po prostu ciągle mi mów, że mnie naprawdę kochasz.

Uśmiechnęła się.

-Naprawdę ciebie kocham, Rodericku Kitteridge'u.

- To dobrze. Kiedy ujrzałem... -Przerwał. -Nie mogłem ciebie winić.

Gdyby był mój, zrobiłbym wszystko, by go odzyskać.

-Nie myślałam, że to zrozumiesz.

-Nie rozumiałem, dopóki sam go nie zobaczyłem przyznał. -A propos, zanim wyszliśmy, zadzwoniłem do mojego kolegi. Stwierdził, że przesłany mu materiał jest niezmiernie interesujący. Scotland Yard go wykorzysta. Teraz my możemy już tylko zajadać się kornwalijskimi ciasteczkami i pić herbatę z plackami z kwaśną śmietaną.

- To brzmi wspaniale. -Mieli też dużo do omówienia i do ustalenia.

Czuła się wdzięczna, że jest coś do rozpracowania. - Czy zastanawiałaś się w ogóle nad tą książką? -spytał.

Zamarła w bezruchu, czując w żołądku skurcz przerażenia.

Rick również się zatrzymał.

- Za szybko to rozgrywam, prawda?

-Chyba trzeba by coś szybko rozegrać. -Wskazała na bank po drugiej stronie ulicy.

Na schodkach stał pułkownik Fitchworth-Leeds i przeglądał jakieś papiery. Lada moment mógł zerknąć w górę i ich zobaczyć. Nie wątpiła ani przez chwilę, że odgadnie przyczynę ich obecności. Wówczas wszystko mogło się zdarzyć i to ją martwiło.

Rick przeklął i rozejrzał się wokół.

-Nie ma w pobliżu żadnych bocznych ulic, do których można by dać nurka. Postój taksówek.

-Ale samochód...

- Jest zaparkowany daleko i to za rogiem. -Popędził ją przez przejście dla pieszych i na środkową wysepkę pełną drzew i ławek. -Wrócimy po niego później.

- Sklepy... -zaczęła, ale popchnął ją w kierunku pierwszej taksówki.

-Podwieź was gdzieś, kolego? -spytał młody kierowca.

Rick przytaknął, otwierając tylne drzwi i wypychając Jill do środka ciastnego fiata. Następnie sam się wgramolił i oboje osunęli się na siedzenia. Jill złapała Ricka za rękę i trzymała mocno. Ścisnęła jej palce uspokajająco.

-Cześć, jestem Chris! -powiedział kierowca, wsiadając z przodu i włączając silnik. -Piękny mamy dziś dzień, prawda?

-Śliczny -odparła Jill, marząc o tym, by się pospieszył.

Samochód opuścił postój z szybkością żółwia na wyścigu.

-Byliście już przedtem w Falmouth?

Jill siłą woli zmusiła się do spokoju.

-Nie. Ja jestem ze Stanów.

-Amerykanka! -zawołał Chris. -Cudownie. A pan?

-Wzgórza Cotswold.

Mieszkamy w wynajętym domku w pobliskiej wiosce Penryn ...Ale chcielibyśmy zwiedzić półwysep.

- Nagle zobaczyli że za nimi jedzie samochód pułkownika, który musiał ich jednak zauważyć i postanowił ich dogonić.

Chris jechał powoli i zaczął opowiadać rozwlekłe o sprawach, które ich wcale nie interesowały. Dowiedzieli się też że w Helford mieszkał Roger Moore . Ricka interesowało tylko to by pułkownik Fitchworth-Leeds nie zdołał ich dogonić zanim oni nie znajdą się bezpiecznie w swoim domku.

W końcu wykład Chrisa na temat wszystkich spraw Konwalii nie był wysoką ceną za bezpieczeństwo.

-Przepraszam -mruknął Jill do ucha. -Byłem, do cholery, zbyt pewny siebie.

-Chyba jakoś zdołam ci przebaczyć -szepnęła mu z kolei.

Dróżka ostro zakręciła w dół, wylaniając się spośród drzew i prowadząc ich wzdłuż małej rzeczki o przytulnym wyglądzie.

-Oto rzeka Helford -ogłosił dumnie Chris, gdy taksówka przejechała obok niej pędem. -Nie jest taka łagodna, na jaką wygląda. Bardzo zdradliwa. Daphne du Maurier mieszkała gdzieś nad nią, na którejś z tych dróg, jak fama głosi. A my wjeżdżamy właśnie do wioski Gweek. Zabawna nazwa, prawda?

Jak tylko taksówka wjechała na teren wioski, zatrzymała się z piskiem hamulców przed migającymi na żółto światłami, oznaczającymi przejście dla pieszych. Grupa dzieci przekłusowała przez jezdnie.

-Wycieczka do Rezerwatu Fok -wytłumaczył wesoło Chris. -

Przysięgłbym, że każda szkoła w południowo-zachodniej Anglii przysła tu uczniów.

Rick odetchnął, gdy samochód ponownie ruszył. Spojrzał do tyłu. Nadal nikogo nie było. Pięć minut później, już będąc na drugim końcu wioski, taksówka znów zatrzymała się gwałtownie. Stado krów, stąpając ciężko, przekraczała dróżkę.

-Przejdźcie krów -ogłosił kierowca. -A to tak zwana wyżyna Goonhilly. To nazwa irlandzka. Dużo tu przejść dla krów.

Jill i Rick wymienili spojrzenia, po czym oboje zerknęli za siebie. Spokojnie. Rick rozsiadł się wygodniej i patrzył, jak suma na liczniku dochodzi do dziesięciu funtów. Ucieczka stawała się kosztowna.

Udało im się dotrzeć do kolejnej wioski, zanim samochód znów stanął.

Dwie starszuszki powoli przeszły przez jezdnię.

-Przejdźcie dla starszych osób -ogłosiła tym razem Jill, wskazując na żółty znak, na którym namalowano postacie mężczyzny i kobiety. Kobiętę wyróżniała tylko torebka przewieszona przez jedno ramie. Drugim trzymała się mężczyzny.

Jill roześmiała się i dodała. -Ona wygląda jak złodziej kieszonkowy.

-Byle tylko nas nikt nie okradł -powiedział półgłosem

Rick, kolejny raz patrząc do tyłu. Nikogo za nimi nie było.

Gdy opuścili wioskę, zatrzymali się jeszcze dwa razy prawie pod rząd, raz z powodu owiec, drugi -traktora. Włosy jeżyły się Rickowi na głowie i często oglądał się za siebie, choć nie widział nic podejrzanego.

Stwierdził, że po prostu ciągle postoje wyprowadzają go z równowagi, podobnie jak i kierowca. Opłata przekroczyła już piętnaście funtów - prawie trzydzieści dolarów amerykańskich. Miał przeczucie, że nie tylko pułkownik był oszustem.

Następne słowa Chrisa potwierdziły to. Wskazał on na trzy domy osadzone na stromym urwisku nad Helfordem.

- To tutaj! Roger Moore zatrzymał się w jednym z nich.

- Och! -westchnęła Jill, stosownie do okazji.

Patrząc na nią, kątem oka zobaczył, że usiłuje przewyciężyć chichot. Pomyślał, że tylko Jill mogła wynaleźć coś zabawnego nawet w najgroźniejszej sytuacji. Bardzo kochał tą cechę charakteru, tak zresztą, jak i inne. Przestał zamartwiać się kosztem taksówki i pułkownikiem, który na pewno stracił już ich ślad.

W wiosce Helford, na rzece Helford gwarno było od łódkarzy i turystów. Ulice były tłoczne, a ruch spory. Taksówka sunęła bardzo wolno.

- Wszyscy chyba wyszli szukać Morgawra -powiedział Chris. - To nasza wersja potwora z Loch Ness. Ma garbaty, grzbiet i krótkie, grube rogi. Brzydki jest jak sam diabeł. Jeśli chcecie, mogę z wami pojechać dziś wieczorem na poszukiwania...

Zatrzymał wóz tak nagle, że Jill i Rick polecieli do przodu.

- Co teraz? - spytał Rick, wyciągając szyje, by ujrzeć obecny powód postoju .

-Przejdźcie łabędzi. Te cholerstwa godzinami przekraczają dopływ rzeki.

-Przejdźcie łabędzi! -wybuchnął Rick. -Słuchaj, ja nie jestem jakimś durnym i naiwnym turystą, którego możesz nabierać...

-No i masz! -zawołał kierowca, odwracając się.

Jill pociągnęła Ricka za rękę. Przekreślił się szybko, by spojrzeć w jej stronę.

Pokazała palcem w dół.

Spojrzał przez boczną szybę i ujrział kilka dorosłych łabędzi i dwa małe, wędrujące prawie pod kołami samochodu.

Duże ptaki głośno krzyczały. Nad nimi napis przytwierdzony do budynku oznajmiał, że istotnie było to przejście dla łabędzi.

Jill roześmiała się. Taksówkarz zrobił minę urażonej niewinności, a Rick mrukiwie przeprosił.

-Przynajmniej jesteśmy z dala od pułkownika - powiedział i spojrzął do tyłu, sprawdzając na wszelki wypadek.

Ruch zatrzymał się na wąskiej ulicy, ale trzy samochody dalej stał mężczyzna przy otwartych drzwiach swojego wozu.

Zobaczyli się w tej samej chwili. Fitchworth-Leeds wsiadł z powrotem do środka i zaczął skręcać na przeciwny pas ruchu.

Rick przeklął cicho i sprawdził, co z łabędziami. Nadal wędrowały, krzycząc, przez sam środek jezdni. Za nic nie zdążą. - dzięki ogromne za wycieczkę, kolego -zawołał, wyciągając z kieszeni pieniądze. Rzucił na przednie siedzenie trzy banknoty dziesięciofuntowe. - To chyba wystarczy. Jill, kochanie... pułkownik. Wsiądź z mojej strony.

- Ale, Ależ.. -bełkotał zaskoczony kierowca, widząc, jak pasażerowie wyślizgują się z samochodu. Popędzili ulicą. Rick liczył na to, że łabędzie będą nadal tamować ruch, a im tym razem uda się uciec tanim kosztem.

-Jak mógł wpaść na nasz trop? -spytała Jill, łapiąc oddech.

Miała oczy szeroko otwarte ze strachu.

-Jakoś mu się udało. -Rick rozważył jednak te kwestie i dodał: -Musiał przez cały czas tędy jechać w nadziei, że nas dogoni.

- Pewnie jest zdesperowany.

-Na pewno. Tędy.

Skreśli z głównej ulicy wiodącej wzdłuż plaży i kierowali się z powrotem w stronę półwyspu. Spojrzeli do tyłu, po czym zatrzymali się i nie wierzyli własnym oczom.

Samochód pułkownika, który teraz skutecznie blokował ruch z przeciwnej strony, był otoczony rozwścieczonymi, krzyczącymi łabędziami. Były gotowe bronić rodzinę przed tym nowym zagrożeniem. Jasne było, że nie ruszą się, póki pułkownik nie pojedzie, a on nie mógł się wycofać, póki tam tkwiły ptaki. Wokół trąbili i wrzeszczeli zdenerwowani ludzie.

Jill osunęła się w ramiona Ricka i oboje się roześmiali.

-Przy tobie życie niewątpliwie staje się ciekawe -wydusił z siebie.

-Przy tobie też.

-Na tyle, byś została na zawsze? -Był nagle śmiertelnie poważny.

-Tak. - Owinęła mu ręce wokół szyi. - Och, tak!

Zerknął znów w stronę ulicy. Wóz policyjny na sygnale zatrzymał się właśnie za samochodem pułkownika. Rick uśmiechnął się.

-Chodźmy do domu.

EPILOG

-Nadal nie jestem w stanie uwierzyć, jak jest piękna powiedział Rick, wpatrując się w wystawioną na stoliku książkę.

- Ja też nie. -Jill uśmiechnęła się i oparła o Ricka, ciągle zdziwiona na widok własnych stów przemienionych w książkę... i to taką, która spodobała się czytelnikom. Zamki i chatki: zwyczaje średniowiecznego człowieka autorstwa Jill Dancforth-Kitteridge od trzech miesięcy nie schodziły z li-sty bestsellerów londyńskiego Timesa.

Objął ją i pocałował.

-Jestem z ciebie taki dumny.

-Nie jest to równie pełne przygód, co nasze złodziejskie życie, ale może być-powiedziała cicho. Przez dwa lata zbierała materiały i pisała te książkę. Była to praca jak najbardziej zadowolająca i stosowna, jak się okazało. Książkę te tworzyła strona po stronie, jak średniowieczną katedrę, którą budowano kamień po kamieniu.

Rick rozejrzał się po przyjęciu wydawanym we Dworze Diabła z okazji ich rocznicy. Jego babcia zachowała się typowo, zwalając im się na głowę razem z rodzicami i całkowicie niszcząc ich spokojne życie. Nie takie znowu spokojne, doszedł do wniosku, przypominając sobie wszystkie przerwy na kochanie się. Niesamowitym cudem był fakt, że Jill udało się książkę wydać, a jemu utrzymać posiadłość na chodzie.

Uśmiechnął się do niej szeroko i ukradkiem osunął rękę poniżej jej talii.

-Maniak seksualny -mruknęła czule.

-Nałożnica. -Rozejrzał się ponownie po przepelnionym salonie i pokiwał głową.- Babcia musiała chyba wynająć cały cholerny odrzutowiec. Pułkownik miałby tu pole do popisu.

- To racja, dobrze że moje szmaragdy brylanty są pod dobrą opieką. Inaczej nie miałabym spokoju.

-Ojciec mówi że mają najlepszą ochronę na świecie – powiedział Rick obejmując ją remieniem.

Pocałowała go w policzek. - Pewnie twój ojciec ma racje. W każdym razie cieszę się, że nie będę się teraz musiała o nie martwić.

-Teraz za to, do cholery, ja muszę -stwierdził z oburzeniem Grahame. Wyciągnął do Caroline tacę. - Niech pani weźmie przekąskę z łososia i kraba, pani D.

Rick wyjął szmaragdy z pudełka i zapiał Jill na szyi. Czują, jak perły ogrzewają jej szyję, podczas gdy zielone kamienie płonęły chłodno. Dotknęła naszyjnika.

-Kiedys będzie dla naszej córki -szepnęła, wpatrując się w męża.

-Kocham cię -powiedział jej cicho Rick, wciągając ją w swe objęcia. Lettice uśmiechnęła się.